

Berlin, grudzień (Dezember) 1987 r. Rok VI, nr 19 (140)

A 9878 D

Miesięcznik „Towarzystwa Solidarność”

Pogląd

Wesołych
Świąt

Cena numeru
świętecznego DM 8.-



Gorbi
et orbi

ISSN 0930-9500 Cena. Austria — 45.- oS; Kanada — 5.- S kanad.; Francja — 22.- FF; Szwecja — 22.- skr; USA — 5 \$ ameryk.; Wielka Brytania — 2,25 £

Andrzej Stroiński Nagi król nad Potomakiem	1
Maciej Rybiński Nadzieje i rzeczywistość	3
Dariusz Fikus Porażka	14
Leszek Wyrwa Surrealizm polski	16
Morawiecki aresztowany	22
Krzysztof Sudecki Rozmowa z Jadwigą Morawiecką	24
Dwugłos o „Projekcie zasad ideowych i programie SW”	31
Marian Sabat Geografia wolnego słowa	34
Tomasz Tkaczyk Program i etap	37
Jan Pawlicki Byt i świadomość	42
Ziemia oskarża	47
Mateusz Fiszcer Czas	50
Hans Maier Historia niczego nie wybacz	51
Władysław Bartoszewski Różnorodność kulturowa czy kulturowa jedność Europy	56
Piotr Kowalczyk Parada kłamców i błagierów	61
Andrzej Wirocki Paryskie forum	64
Maciej Radwan-Rybiński Prywatne rozmyślenia	68
Piotr Kowalczyk Tybet a imperializm chiński	74
Spotkanie polskich biskupów z biskupami ukraińskimi w Rzymie	88
Roman Śmigajski Z Kopenhagi	91
Andrzej Kołatorski List z Berna	92
Stanisław Dawidowicz Jazzowa Warszawa jesienią	94
Wiktor Grotowicz Zjazd zjednoczeniowy PPS	98
Anatol Kobyliński Polska filatelistyka na emigracji	101
Marta Walszewska Z biblioteczki emigrantki	106
Młoda poezja	108
KRONIKA EMIGRACYJNA	109
Oddano do druku dn. 14.12.87r.	

W początkach grudnia cały świat wstrzymał oddech. Sowiecki wódz udał się do Waszyngtonu by podpisać układ rozbrojeniowy. Andrzej Stroiński, śledzący znad Potomaku przebieg wizyty Gorbaczowa dla »Poglądu« uważa, iż prezydent Reagan podpisując układ „kupił pokój dla własnego kraju za cenę państw trzecich”, zaś Maciej Rybiński w artykule »Nadzieje i rzeczywistość« na str. 3 przestrzega przed popadaniem z tego powodu w euforię przypominając, iż „brak wojny nie jest równoznaczny z pokojem. Pokój zaczyna się dopiero tam, gdzie nie ma wroga”.

Tymczasem nieco wcześniej w Polsce ekipa rządowa w referendum usłyszała stanowcze NIE od rządzonych, w czym Dariusz Fikus widzi manifestację siły »Solidarności«, polegającej głównie na zdolności wywołania biernego oporu (str. 14), natomiast Leszek Wyrwa jest zdania, iż wyniki referendum jeszcze raz wskazały na zasadniczy i główny problem GENERAŁA — brak wiarygodności.

Prof. Władysław Bartoszewski w przemówieniu na konferencji ASPEN INSTITUTE, które publikujemy na str. 56 wyraził piękną myśl humanistyczną: „Prawdy i sprawiedliwości, wolności i solidarności trzeba szukać na drogach do duchowej i kulturalnej jedności ludzi”.

Wejściem „szlemikowym” — obszernym artykułem poświęconym historii stosunków chińsko-tybetańskich — wchodzi w licytację na łamach »Poglądu« mój nowy redakcyjny współpracownik Piotr Kowalczyk, który ponadto w „Paradzie kłamców i błagierów” (str. 61) wyraża stanowisko redakcji wobec kłamstw Radia Bawarskiego o rzekomym mordzie popełnionym przez Polaków po wojnie na 200 tys. Żydów w... Górach Świętokrzyskich.

Świąteczny numer »Poglądu« ze względu na zwiększoną objętość kosztuje wyjątkowo 8.- DM co, mam nadzieję, znajdzie zrozumienie naszych P.T. Czytelników.

Redaktor



P.T. Czytelnikom »Poglądu« życzymy pogodnych Świąt i wiele dobrego w nadchodzącym roku 1988, opozycji w kraju więcej wglądu we wspólny »Pogląd«.

Redakcja

Nagi król nad Potomakiem

WASZYNGTON. Nie było troglodytów. Przyjechali gładcy starci i młodszy panowie w garniturach i w jednakowych butach. Wielu z nich zdarto pewnie żelówki na waszyngtońskim bruku, głównie w poszukiwaniu odbiorników tranzystorowych i baterii do komputerów osobistych. Mieli szczęście, że rozlokowano ich w pobliżu sklepu ze sprzętem elektronicznym. Tylko u Bloomgdale'a nie doczekano się Raisy z kartą kredytową, toteż nie wykluczone, że przygotowane dla obojga z pierwszych małżonków ojczyzny proletariatu prezenty i szampan trafią na poczesne miejsce w kolekcji odrzutów; ostatecznie będzie je można odpisać od podatku. A szkoda, bowiem wizyta „Pierestrojczika” z małżonką, której ponoć w kraju mają za złe, w magazynie mody zostałyby powitana okrzykami zachwyty, że przyczyniła się niewątpliwie do lepszego zrozumienia między sprzedawcą a kupującym. Tyle, że to Gorbaczow sprzedawał, a reszta kupowała.

Można to już było dostrzec w wystąpieniach, które poprzedziły spotkanie na szczycie. Pierwszy głos zabrał Gorbaczow w wywiadzie udzielonym prezydentowi amerykańskiej telewizji, którego specjalnie z tej okazji powleczono do Moskwy. O przebudowie i „głasności” słyszeliśmy już wiele, więc nie powtarzam, co Gorbaczow miał w tej mierze do powiedzenia. Na uwagę natomiast zasługują jego wypowiedzi dotyczące spraw konkretnych. Do Afganistanu, powiada Gorbaczow, wojska sowieckie weszły na zaproszenie tamtejszych władz. Afganistan jest państwem ze Związkiem Sowieckim zaprzyjaźnionym. Proszę bardzo, Moskwa traktuje sojuszników, tak jak traktuje Afganistan. Ano traktuje. Potraktowała szczególnie dotkliwie Węgry, Czechosłowację, a zanosilo się na to, że postąpi podobnie w przypadku Polski.

Kto kupił wypowiedziane poważnym tonem niedorzeczności Gorbaczowa? Kupił je czołowy ultrakonserwatysta amerykański, zbawienie narodów (zniewolonych) i człowiek, który nie tyle ukuł, ile zręcznie powtórzył termin „imperium zła” — sam Ronald Reagan. W wywiadzie udzielonym wkrótce po wynurzeniach Gorbaczowa Ronald Reagan doszedł do wniosku, że może Gorbaczow nie wie, jak doszło do inwazji na Afganistan i autentycznie zawierzył mistrzom dezinformacji. Może nie zna szczegółów.

Tym, którzy zapomnieli, przypomnijmy szczegóły. Ronald Reagan stawał w szranki wyborcze w roku 1980 z programem ma-



KOMUNIKAT SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ

Od dnia 11 listopada 1987 r. organizacją „Solidarność Walcząca” kieruje Komitet Wykonawczy, którego pracom przewodniczy Andrzej Kołodziej.

Za Komitet Wykonawczy SW,
Andrzej Kołodziej
Andrzej Lesowski

(*Solidarność Walcząca*, nr 22/166, z dn. 15-29.11.87)

KOMUNIKAT

1. Na wspólnym posiedzeniu Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” i Tymczasowej Rady NSZZ „Solidarność” z udziałem przewodniczącego Lecha Wałęsy powołano jednolite kierownictwo Związku o nazwie Krajowa Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność”.

2. Skład Krajowej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność”:

Przewodniczącym jest Lech Wałęsa.

Członkami KKW są: Zbigniew Bujak (Region Mazowsze), Jerzy Dłużniewski (Region Ziemia Łódzka), Władysław Frasyniuk (Region Dolny Śląsk), Stefan Jurczak (Region Małopolska), Bogdan Lis (Region Gdańsk), Andrzej Milczanowski (Region Pomorze Zachodnie), Janusz Pałubicki (Region Wielkopolska), Stanisław Węglarz (Region Środkowo-Wschodni).

Przedstawiciele Regionów

Śląsko-Dąbrowskiego i Toruńskiego zostaną ogłoszeni w terminie późniejszym.

3. Z dniem dzisiejszym zakończyły swoją działalność i przestały istnieć TKK NSZZ „Solidarność” i TR NSZZ „Solidarność”. Wszystkie dotychczasowe kompetencje i zobowiązania TKK i TR NSZZ „Solidarność” w kraju i poza granicami zostają przejęte przez KKW NSZZ „Solidarność”. Współpraca KKW ze wszystkimi Tymczasowymi Komisjami Zakładowymi i innymi strukturami związkowymi w zakładach pracy pozostaje oparta na dotychczasowych zasadach.

Gdańsk, 25.10.87

TKK NSZZ „Solidarność”,
Lech Wałęsa, TR NSZZ „Solidarność”
(wiadomości bieżące, nr 200,
2-14.11.87)

* * *

Wszyscy członkowie Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarność” otrzymali wezwania do Wydziałów Społeczno-Administracyjnych Urzędów Wojewódzkich.
(Tygodnik Mazowsze, nr 226, 4.11.87)

* * *

12.10.87 ruch „Pomarańczowa Alternatywa” w Dniu Wojska Polskiego zorganizował pokojowy happening. Wzięła w nim także udział milicja. Natomiast nie mamy wiadomości, czy obchody rozszerzyły się także na kolegia.

(Solidarność Dolnośląska, nr 43, 25.10.-7.11.87)

* * *

W Dniu Wojska Polskiego, 12.10.87 we Wrocławiu na ul. Świdnickiej kilkudziesięciu „komandosów” — uzbrojonych w broń plastikową i kapiszony, pod osłoną tektrowego czołgu — odbyło manewry „Melon w majonezie 87”.

Po półgodzinnym wznoszeniu haseł „Układ Warszawski awangardą pokoju” i „Precz z NATO” interweniowało ZOMO. Zatrzymano 30

jącym stanowić antidotum na słabość administracji Cartera. To za władzy Cartera wojska sowieckie wkroczyły do Afganistanu, podpisany został układ SALT 2, któremu kandydat Reagan nie dowierzał, wreszcie — komuniści urządzili w Nikaragui coup d'état, i to częściowo za pieniądze amerykańskie. Wszystko, co reprezentował sobą Ronald Reagan jeżyło się na myśl o komunistycznej ekspansji za władzy farmera z Georgii.

Nagle jednak okazuje się, że słaby Carter potrafił pojąć, że to nie jeden, określony, konkretny aparatczyk, który podpisywał układ, ponosi odpowiedzialność za totalitarny podbój świata, lecz ideologia totalitarna. Słaby Carter zdobył się na obłożenie Moskwy sankcjami, a zdominowany przez demokratów kongres z pewnością w myśl własnych, partykularnych — jak by to ujął Reagan — interesów, odrzucił układ SALT 2.

Ronald Reagan uważa jednak, że Gorbaczow nie ma pojęcia o tym, co jego państwo wyprawia na arenie międzynarodowej. Więcej — że Misza jest pierwszym przywódcą sowieckim, który nie tylko nie mówi publicznie o pragnieniu narzucenia światu komunizmu, ale nawet nadmienia, że pragnie święcić milenium chrztu Rusi. To właśnie, jak wyznał prezydent Reagan w wywiadzie udzielonym już podczas spotkania na szczycie, przekonało go, że Związek Sowiecki nie dąży do zdominowania świata marksizmem (w wydaniu Reagana brzmiało to raczej jak marsjanizm, bowiem użył wyrażenia *Marxian domination theory*, co brzmi prawie identycznie jak „Marsian” (ang. przymiotnik od Marsa - przyp. red.)). Ale już w przemówieniu do narodu amerykańskiego pojawia się u Reagana słowo „ekspansja” w odniesieniu do Związku Sowieckiego. Czyżby więc kłopot polegał na nieumiejętności nazywania rzeczy po imieniu?

Tak czy inaczej, te i inne wypowiedzi — ale do nich wrócę niżej — nadały amerykańsko-sowieckiemu spotkaniu na szczycie ton, utorowały drogę do ostatecznych jego rezultatów. Najważniejszym, z punktu widzenia interesów międzynarodowych, jest podpisanie układu o eliminacji arsenałów broni jądrowych średniego zasięgu obu państw. Podpisy pod układem złożyli osobiście: Ronald Reagan i Michał Gorbaczow. Ministrowie Shultz i Szewardnadze dobilił targów w trzech dziedzinach: w bezpośrednich lotach z Nowego Jorku do Moskwy, badań oceanograficznych, eksperymentalnej weryfikacji prób jądrowych.

Przed spotkaniem na szczycie Reagan ustawicznie dawał do zrozumienia, że stroną amerykańską interesują cztery dziedziny zagadnień: kontrola zbrojeń, prawa człowieka, konflikty regionalne i stosunki dwustronne. W zakresie kontroli zbrojeń rzeczywiście osiągnięto porozumienie. Chodzi tu też o stosowanie się do układu o ograniczeniu systemów broni przeciwrakietowej (ABM — 1972) przez okres, który mają określić dopiero delegacje w Genewie. Ponadto wydano instrukcje dla genewskich negocjatorów, by jak najszybciej uzgodnili tekst traktatu o 50%-owej redukcji broni strategicznych — najlepiej do podpisania w czasie spotkania na szczycie w Moskwie, w pierwszej połowie przyszłego roku.

MACIEJ RYBIŃSKI

Nadzieje i rzeczywistość

Jeszcze przed kilkoma tygodniami Michał Gorbaczow był dla prezydenta Reagana imperialistą, militarystą i chorobliwym antykomunistą. Reagan nazywał Gorbaczowa przywódcą imperium zła. Po trzydniowym, perfekcyjnie przygotowanym show propagandowym w Waszyngtonie rozstali się jako Roni i Misza. Świat obserwował podpisanie układu i towarzyszące mu rozmowy z nadzieją po części euforyczną, po części wstrzemięźliwą. Czy istotnie układ w sprawie usunięcia rakiet średniego zasięgu z Europy może stanowić pierwszy krok do powszechnego rozbrojenia nuklearnego, do ustanowienia trwałego światowego porządku pokojowego?

Spotkanie Reagana z Gorbaczowem w Waszyngtonie było już trzynastym spotkaniem na najwyższym szczeblu między przywódcami obu wielkich mocarstw. Jedynie dwa spotkania z dotychczasowych przyniosły konkretne rezultaty. Nixon i Breżniew podpisali w maju 1972 r. w Moskwie układ Salt-1 oraz tzw. układ ABM w sprawie ograniczenia i obrony przeciwrakietowej. W czerwcu w 1979 r. w Wiedniu Carter i Breżniew podpisali układ Salt 2. W trakcie dyskusji na ratyfikację tego dokumentu przez Kongres USA w grudniu tegoż roku Armia Czerwona wkroczyła do Afganistanu. Układ nigdy nie został ratyfikowany.

Droga do obecnego układu była długa, ponad 10-letnia. W początkach roku 1977 Związek Sowiecki rozpoczął rozstawianie rakiet średniego zasięgu typu SS-20 w europejskiej części swego terytorium oraz w NRD i Czechosłowacji. W styczniu 1979 r. podczas spotkania na Gwadelupie przywódcy USA, Francji, Wielkiej Brytanii i RFN wystosowali do Moskwy apel o usunięcie rakiet SS-20 uzależniając od tego rezygnację z dozbrojenia NATO. W październiku 1979 Breżniew zaproponował zamrożenie liczby tych rakiet pod warunkiem, że NATO nie uzbroi się w podobne systemy. W dwa miesiące później NATO uchwaliło jednogłośnie tzw. podwójną decyzję. W listopadzie 1981 r. podczas rokowań w Genewie strona zachodnia zaproponowała Moskwie opcję zerową. W odpowiedzi Związek Sowiecki wysunął koncepcję układu o ograniczeniu liczby rakiet średniego zasięgu do 300 sztuk po obu stronach, włączając w to rakiety francuskie i brytyjskie. W listopadzie 1983 r. rozpoczęto rozstawianie rakiet Pershing i Cruise w Niemczech i Wielkiej Brytanii. W styczniu 1986 r. Gorbaczow ogłosił rezygnację Moskwy z warunku włączania uzbrojenia francuskiego i brytyjskiego do rokowań ze Stanami Zjednoczonymi. Odbyte w październiku tego samego roku spotkanie prezydenta i sekretarza generalnego w Reykjaviku zakończyło się jednak fiaskiem, gdyż tym razem strona sowiecka uzależniła układ o rakietach średniego zasięgu od porzucenia przez USA badań nad programem SDI — gwiazdnych wojen.

Dokończenie na str. 71

osób, jedną pobito.

(Tygodnik Mazowsze, nr 226, 4.11.87)

* * *

Z inicjatywy W. Ziemińskiego prowadzi się ogólnopolską akcją w celu zmiany tekstu przysięgi wojskowej. We Wrocławiu petycję w tej sprawie podpisało co najmniej 500 osób.

(Solidarność Dolnośląska, nr 43, 25.10.-7.11.87)

ODPLYW TALENTÓW

Ocenia się, że w ostatnich latach wyjechało z Polski ok. 200 tys. ludzi z wyższym wykształceniem. Na świecie żyje obecnie ponad 3 tys. profesorów wyższych uczelni polskiego pochodzenia.

(KOS, nr 16/124, 27.09.87)

LUDZIE I ZIEMIA

Dnia 23.08.87 grupa rolników z woj. siedleckiego wystosowała do Sądu Wojewódzkiego w Siedlcach wniosek o wpis do rejestru sądowego społeczno-zawodowej organizacji rolników pod nazwą „Solidarność Rolników Indywidualnych Województwa Siedleckiego”. Wniosek podpisali rolnicy: E. Dygiel (Siedliska), F. Lipka (Jaworek), E. Kokoszka (Skórzec), S. Żelazowski (Suchożebrzy), Z. Adamiuk (Molomotki).

(KOS, nr 16/124, 27.09.87)

ZA DUŻO

Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego „Torimex” zajmuje się sprzedażą towarów, których mamy za dużo. Okazuje się, że za dużo mamy: porcelany stołowej, sprzętu oświetleniowego, upominków, suszu owocowo-warzywnego, butelek, słoików, makulatury i trocin. Zwłaszcza trocin.

(KOS, nr 14/122, 30.09.)

OBCHODY 11 LISTOPADA

Tegoroczne obchody rocznicy 11 listopada organizowane były centralnie przez Konfederację Polski

Niepodległej. Podczas przygotowań do obchodów KPN przeprowadziła szeroko zakrojoną akcję propagandową.

W Warszawie rozrzucono 60.000 ulotek, a na Górnym Śląsku 50.000. Równocześnie rozwieszono tysiące zawiadomień, doręczono zaproszenia do domów lub wrzucano do skrzynek pocztowych.

W Warszawie w dn. 10 listopada KPN wywiesiła dwa duże transparenty na ul. Marszałkowskiej: „Od Solidarności do Niepodległości” oraz „Od nas tylko zależy czy nasz 11 listopada będzie już jutro — KPN”.

W niedzielę 8 listopada w Łodzi, po nabożeństwie w kościele Ojców Jezuitów demonstranci przemarszerowali do płyty Marszałka Józefa Piłsudskiego. Złożono kwiaty i wieńce i wygłoszono przemówienia.

Tego samego dnia w Olszuszku (woj. katowickie) przewodniczący KPN Leszek Moczulski przemawiał podczas manifestacji zorganizowanej przy Grobie Nieznanego Żołnierza.

Warszawa, dn. 11.11. Przed rozpoczęciem mszy do Katedry wprowadzony został transparent KPN „Chcemy Polski katolickiej a nie bolszewickiej”. Po mszy uformował się pochód, który skierował się w kierunku Grobu Nieznanego Żołnierza. Drogę pochodu zagroziło ZOMO. W tym czasie na Zamku Królewskim kończyła się oficjalna galówka. Wychodzący z Zamku komunistyczni dygnitarze gwałtownie odjeżdżali samochodami podczas gdy tłum skandował „KPN, KPN, KPN”. Milicja i ZOMO zażarcie walczyły, żeby nie dopuścić manifestantów na Plac Zamkowy. Pomimo to kordon ZOMO został kilkakrotnie przerwany. Zatrzymano kilka osób.

O godz. 18.00 rozpoczęła się druga manifestacja. Po mszy uformowany został pochód, który udał się w kierunku pomnika 3 Maja. Po dotarciu pod pomnik rozpoczęła się manifestacja. Po jej zakończeniu ZOMO zatrzymało m.in. Janusza Poleszczuka, który został ciężko pobity na posterunku MO.

Odbyły się też manifestacje w Toruniu, Krakowie, Lublinie, Katowicach, Płocku i Białymstoku.

(inf. KPN)

Kraj w prasie zachodniej



PECUNIA NON OLET

Jak już donosiliśmy w październikowym wydaniu *Poglądu*, sąd w PRL skazał dwóch obywateli duńskich na karę długoletniego więzienia za działalność szpiegowską. Jak donosi *Süddeutsche Zeitung* z dn. 5.11.87, obu wykupił rząd duński w końcu października za ponad pół miliona dolarów.

DZIEŁA SZTUKI DLA POLSKI

Para polskich emigrantów w Wielkiej Brytanii, państwo Janina i Zbigniew Porczyński spieniężyli swój majątek o wartości wielu setek milionów funtów zakupując ok. 400 dzieł sztuki, m.in. obrazy Rembrandta, Rubensa, van Dycka, Tycjana, Cranacha, Velazqueza, Goyi, Caravaggio, Renoira, który składają się na „Fundację Jana Pawła II”, administrowaną przez Kościół.

Podczas otwarcia wystawy w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej Zbigniew Porczyński powiedział, iż dar ten powinien symbolizować jedność wszystkich Polaków bez względu na to, gdzie żyją — *Tagesspiegel*, 7.11.87.

WOLNE ŻARTY WE WROCŁAWIU

W największej jak dotychczas tegorocznej akcji wrocławskiej milicji aresztowano dn. 7.11.87 ok. 150 osób, które usiłowały na swój sposób uczcić 70-rocznicę sowieckiej rewolucji. Demonstranci należący głównie do grup teatralnych zbliżonych do kół opozycyjnych domagali się rehabilitacji Trockiego i powrotu wyrzuconego ze stanowiska szefa moskiewskiej partii Jelcina — *Die Welt*, 9.11.87.

TRĄD W PAŁACU SPRAWIEDLIWOŚCI

Dn. 6.11.87 przed sądem we Wrocławiu stanęło 30 pracowników wydziału finansowego za nadużycia i wymuszenia łapówek (ok. 135 tys. dol.) od wyjeżdżających na Zachód artystów. Przed sądem zeznawać będzie ok. 300 świadków — *Neue Zürcher Zeitung*, 8.11.87

DLUGI PRL: 1000 DOLARÓW NA GŁOWE

Tyle długu u banków zachodnich zafundowali każdemu mieszkańcowi PRL ekonomiczno-handlowi spece. Wg oświadczenia Ministra Finansów PRL, Andrzeja Dorosza z dn. 9.11.87 zadłużenie Polski przekroczyło 36 mld dolarów. (W końcu 1986 r. — 33,5). Nadwyżka handlu z Zachodem za rok 1986 wyniosła 1 mld dolarów miast planowanego 1,6 mld. Wiadomość ta musi jeżyć włosy na głowie paryskich „klubowiczów”. W ramach działalności klubowej plużący sobie zapewne w brodzie wierzyciele zachodni w końcu października br. zdecydowali się przełożyć spłatę 8 mld dolarów na 15 lat. Na dzień dzisiejszy Polska nie jest w stanie spłacić 40% odsetek od zaciągniętych pożyczek. — *NZZ*, 11.11.87

NIE PODGLĄDAĆ!

W dn. 12.11.87 władze PRL zatrzymały, a następnie nakazały w przeciągu 48 godzin opuścić terytorium Polski pięciu zachodnim działaczom pokojowym. Jednym z nich jest Holender Bram van de Lek de-

putowany do Parlamentu Europejskiego z ramienia Socjalistycznej Partii Pacyfistycznej. „Wina” zachodnich gości było przyglądanie się polskim opozycjonistom, którzy rozdawali ulotki „Solidarność” pod jedną z fabryk we Wrocławiu — *Tagesspiegel*, 14.11.

BEZ ENTUZJAZMU

Rząd Stanów Zjednoczonych bez entuzjazu odniósł się do ostatniej inicjatywy pokojowej gen. Jaruzelskiego, który zaproponował redukcję broni pancernej Układu Warszawskiego w zamian za zmniejszenie ilości bombowców NATO w Europie. Wg danych londyńskiego Instytutu Studiów Strategicznych, NATO posiada w Europie 3.292 samoloty w czym 285 bombowców naprzeciw 7.524 samolotów Układu Warszawskiego (450 bombowców) — *Tagesspiegel*, 14.11.

DEMONSTRACJE Z OKAZJI 11 LISTOPADA

Jak podaje *Neue Zürcher Zeitung* z dn. 14.11.87 w Warszawie i w Krakowie doszło do demonstracji z okazji 69 rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. W Warszawie ok. 2 tys. osób demonstrowało pod Grobem Nieznanego Żołnierza. Do akcji wkroczyła milicja. Użyto pałek i aresztowano wiele osób. Demonstranci należący w dużej części do KPN wznosili okrzyki: „Lech Wałęsa”, „Nie ma wolności bez „Solidarność”, „Pierestrojka”, „Precz z juntą”. W przeważającej części młodzi ludzie rzucali milicjantom pod nogi monety krzycząc: „Młodzież rozliczy się z partią”.

Podobne demonstracje miały miejsce w Krakowie, Gdańsku, Katowicach i Toruniu.

MILICJA ROZPĘDZA PPS

W dn. 15.11.87, milicja rozpędziła zebranie założycielskie Polskiej Partii Socjalistycznej. 20 tajniaków aresztowało sześciu z 38 zebranych w oficjalnie wynajętej sali w Warszawie — *Tagesspiegel*, 17.11.87.

Przewodniczącym nowo powołanej PPS został historyk Jan Józef Lipski. 60-letni obecnie Lipski był jednym z założycieli KOR-u i czołowym aktywistą „Solidarność” — *Tagesspiegel*, 24.11.87.

TERTIUM DATUR

Podczas konferencji prasowej w dn. 19.11.87 w Atenach gen. Jaruzelski na pytanie, kto jest popularniejszy w Polsce: on czy Wałęsa, szef partii stwierdził, iż najpopularniejszym człowiekiem w PRL jest papież Jan Paweł II — *Tagesspiegel*, 21.11.87

PRL KŁADZIE KRES WALCE Z WIATRAKAMI

Ministerstwo energetyki w Katowicach w związku z przeciżeniem elektrowni podjęło decyzję aktywizacji pozostałych w Polsce młynów i wiatraków. Urzędnicy ministerstwa odkryli dotychczas 1.600 takich obiektów, z których tysiąc można doprowadzić do stanu używalności w przeciżu najbliższych 10 lat. Odnaleziono też 30 byłych młynarzy, którzy od zaraz mają zająć się produkcją prądu — *Die Welt*, 24.11.87

Kraj w prasie PRL



BELKOT DIALEKTYCZNY

Kapitan Roman Przeciszewski o towarzyszu kapitanie Ordyńcu:

„Te czasy! Bo cóż to jest dla historii 70 lat?! Jedno życie, tak jak jego — Ordyńca. Jedno życie, w którym nie może zostać wszystko rozstrzygnięte. Ot, dialektyka. Rewolucja, nawet jeśli należy do stosunkowo odległej przeszłości, to zawsze dzień dzisiejszy — czyta Ordyńiec w gazecie i wie, że to prawda. Politykiem nie jest, ale politykę rozumie. Jak to pisał dalej Antioch Wiesołyj? Ze okręt rewolucji wypływa dumnie z morza wojny domowej... I płynie. Cały czas do dzisiaj. Bo czy większy zakres socjalizmu, to odwrót od socjalizmu? Śmiejecie się, towarzyszu Ordyńcu? Dla was to normalne, że więcej demokracji to więcej socjalizmu, ale nie każdy to jeszcze rozumie.”

(*Żołnierz Wolności*, 11.11)

DOCELOWO — 100% ?

Józef Najdek, dyrektor Departamentu Ekonomicznego Ministerstwa Współpracy Gospodarczej z Zagranicą:

„Polityka kursowa jest nie tylko sprecyzowana, ale już nawet realizowana. Kurs już w tym roku powinien zapewnić 80% opłacalności eksportu do krajów zarówno I jak i II obszaru płatniczego.”

(*Rzeczpospolita*, 10.11)

ZWYCZAJNE USTAWY NADZWYCZAJNE

Ze sprawozdania Komisji KC PZPR d/s Prawa, Praworządności oraz Zdrowia Moralnego:

„Członkowie komisji wypowiedzieli się za przyjęciem na stałe do kodeksu karnego regulacji zawartych w ustawie o szczególnej odpowiedzialności karnej, które zdają egzamin w ograniczaniu zagrożeń, jakie niesie przestępczość.”

(*Trybuna Ludu*, 10.11)

VOTUM SEPARATUM PRAWO KARNE TO NIE LASKA

Pułkownik Zdzisław Ilowski, prokurator Prokuratury Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy: „Obiektywnie rzecz biorąc, u nas

ani państwo ani społeczeństwo nie są zainteresowane w przesadnej państwowości życia społecznego ani w nadmiernej represyjności prawa karnego. W dobrze pojętym interesie społeczeństwa i państwa leży, by represja karna była nie tyle surowa, nie tyle łagodna, ile zawsze społecznie sprawiedliwa i praworządna (...). Jeśli ktokolwiek zdradzałby najmniejsze ciagotki do traktowania naszego prawa, w tym i prawa karnego, niczym przyswojonej laski, którą można przemienić, w zależności od doraźnych potrzeb, wygrażać lub podpierać się, to dałby dowód, że nie rozumiał istoty idei X Zjazdu PZPR."

(*Prawo i Życie*, nr 42)

DROGA ROZWOJU

Wojciech Krasucki przedstawia centralny aparat administracyjny w Polsce, nie tylko Ludowej: 1928 — 13 ministerstw; 1932 — 11 ministerstw; 1944 — 15 ministerstw; 1945 — 18 ministerstw; 1947 — 20 ministerstw; 1955 — 37 ministerstw; 1957 — 33 ministerstwa; 1966 — 27 ministerstw; 1978 — 28 ministerstw; 1981 — 27 ministerstw; 1986 — 26 ministerstw; 1987 — 19 ministerstw.

Zmiana liczby ministerstw była zawsze związana albo z reformą, albo przynajmniej z manewrem gospodarczym. Najczęstsza operacja — łączenie i rozdzielanie górnictwa, hutnictwa i energetyki.

(*Perspektywy*, nr 44)

POLAK W KATYNIU

Władysław Machejek wspomina swoją wizytę w Katyniu:

„Zimne przekąski już czekały, i dwie butelki stołecznej otwarto: to na początek. Ba, kawioru w puszczykach, którego w »Ukrainie« brakowało — skolko ugodno! Gospodarz ze wspaniałą brodą, siwą; był kościasty, co wynioskowałem po chrząstce zgiętych palców, którymi pukał w długi stół i prosił o uwagę, równocześnie podnosząc na wysokość piersi szklaneczkę napełnioną płynem.

— Mam polecenie przywitać

braci Polaków. Cieszę się bardzo i na dowód tego wypijam 150 gramów dobrej, rosyjskiej wódki. Zastanowił się, powiódł po komnacie przymrużonymi oczami i dodał: — Każdy z gości ma 150 gramów. W Moskwie pije się po 100 gramów, a u nas i na Ukrainie pije się po 150. Wot, taka autonomia... (...)

— Co jest napisane na tym wieńcu?

— Na szarfit? Oficerom Polski — ofiarom zbrodni.

— Rany Boskie, skąd wziął się system zbiorowy mordowania?"

(*Życie Literackie*, nr 43)

SYNDROM PATRIOTYCZNO-PROLETARIACKI

Adam Kowalczewski pisze o losach grobowca europejskiego króla bawelny i łódzkiego fabrykanta Karola Scheiblera. Kaplicę na cmentarzu ewangelickim przy ul. Ogrodowej w Łodzi zaprojektowali Dziekoński i Lilpop, kosztowała 220 tys. rubli w złocie.

„Potem (po roku 1945) zaczęto ją systematycznie dewastować. Pomagało w tym fałszywe przekonanie, że to, co ewangelickie musi być niemieckie, bezsensowne łączenie nazwiska Scheiblerów z hitlerowcami, a także rozpowszechnianie nienawiści do tego, co burżuazyjne, kapitalistyczne. Aż do początku lat 70-tych nie pozwalano wycinać wokół grobowca drzew, chaszczki i krzewów. W ten sposób kaplica stanowiła znakomitą melinę pijacką i przystań dla prostytutek. Zaczęto wydłubywać pozalacane części ołtarza, olów z witraży. Rozbijano wszystko, co się tylko dało. Zniknęły płyty marmurowe. Porozbijano też katakumby i zbeszczeszczono zwłoki w poszukiwaniu kosztowności."

(*Kultura*, nr 43)

A SERCE BIJE JEDNO

Waldemar Sobiecki w raporcie z Związku Radzieckiego o dyrektorze fabryki — entuzjście pierestrojki:

„Słucham i myślę: przecież on rysuje wizerunek samego siebie.

Pięć tysięcy dusz odczuwających jednakowo każdy fragment życia — czy to nie fascynujące?"

(*ITD*, nr 44)

POWOLAĆ CZEREWYCZAJKĘ

„Nadzwyczajne problemy powinno się rozwiązywać nadzwyczajnymi środkami. Nikt nie ma w Polsce wątpliwości, że jednym z takich nadzwyczajnych problemów jest problem mieszkaniowy. Nie wykonano planu ubiegłorocznego, nie zostanie wykonany plan tego roku zarówno w budownictwie jak i w remontach. Nie zostanie wykonany plan 5-letni w swej górnej granicy, a osiągnięcie dolnej wymaga maksymalnej mobilizacji wszystkich sił i środków. Poważnie zagrożona jest realizacja uchwały X Zjazdu PZPR w sprawie wybudowania do 2000 roku 4 milionów mieszkań.

Dotychczasowymi metodami rozwiązywania problemu mieszkaniowego nie osiągnięto wyraźnego przyspieszenia, likwidacji kolejki po klucze. Sytuacja dojrzała do sięgnięcia po środki nadzwyczajne."

(*Rzeczpospolita*, 19.11)

BĘDZIE PEJSACHÓWKA

Dobra wiadomość dla miłośników kooperacji: „POLNISCHKO-SCHER, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, utworzona przez Przedsiębiorstwo Przemysłu Spirytusowego »Polmos« w Warszawie z Fundacją Keranot International z Lichtensteinu. Spółka będzie zajmować się produkcją i obrotem produktów koszernych."

(*Rzeczpospolita*, 11.11)

LENIN WIECZNIE ŻYWY

„Powrót Polski nad Bałtyk, Odagę i Nysę Łużycką jest drugim — po 1918 roku — epokowym wydarzeniem urzeczywistniającym odwieczne prawo i dążenie narodu polskiego, które tak konsekwentnie i wytrwale wspierał zawsze wielki przyjaciel Polaków — Włodzimierz Ilijcz Lenin."

(*Żołnierz Wolności*, 9.11)

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

IRAN I IRAK BIJĄ SIĘ NA MIGI

Jak podaje *Neue Zürcher Zeitung* z dn. 2.11.87, 70% broni Iraku pochodzi z ZSRS, natomiast Iran zakupuje 3/4 swego uzbrojenia w Pekinie, w tym samoloty MIG-21 produkcji chińskiej. Wg *Prawdy* (28.10.) wojnę iracko-irańską wykorzystują dla swoich celów Stany Zjednoczone.

W CHINACH RZĄDY INFANTÓW

XIII zjazd KPCh okazał się pechowy dla gerontokracji chińskiej. 1936 delegatów poparło reformatorski kurs Deng Hsiao-pinga (83 lata), w związku z czym doszło do radykalnego odmłodzenia kadr. W nowo wybranym (w dn. 2.11.87) Komitecie Centralnym zasiadło 40% nowych członków, w Biurze Politycznym — 50%, a średnia wieku w sekretariacie Politbiura spada z 78 do 63 lat. Deng Hsiao-ping jako pierwszy w historii władca komunistyczny dobrowolnie zrezygnował z przewodzenia partii. Funkcję tę objął dotychczasowy premier Ciao Ciang (68 lat). Deng pozostał głównodowodzącym sił zbrojnych.

W wyborach dotkliwą porażkę odniosło skrzydło konserwatywno-ortodoksyjne. Zmiany te mają ułatwić drogę zakrojonym na szeroką skalę reformom gospodarczym i politycznym. Zgodnie z planami za dwa do trzech lat tylko 30% gospodarki chińskiej podlegać będzie centralnemu planowaniu (dziś 50%), a państwo po wprowadzeniu reform finansowych, kredytowych i podatkowych uwzględnić będzie w swojej polityce gospodarczej prawa rynku; położy kres postępującej inflacji, zlikwiduje rosnące różnice dochodów i zacofanie prowincji zachodnich w stosunku do położonych na wybrzeżu — *Neue Zürcher Zeitung*, 2.11.87, *Süddeutsche Zeitung*, 2.11.87.

ZSRS:

Z DUŻEJ GÓRY MAŁA MYSZ

Oczekiwane z dużym napięciem przemówienie Gorbaczowa z

okazji 70-rocznicy Rewolucji Październikowej, które „Gorbi” miał przygotowywać przez 6 tygodni w czasie letniego urlopu na Krymie, rozczarowało dziennikarzy zachodnich.

Berliński lewicowy *TAZ* w artykule pt. „Dwa kroki do przodu, jeden w tył” eksponuje ideologiczne „uderzenie” Gorbaczowa. Choć Trocki, Kamieniew, Zinowjew, Bucharin błędnie uznani zostali przez Stalina za wrogów socjalizmu, to mimo popełnienia błędów „nie do wybaczenia” bronili on w latach 20-tych linii leninowskiej, zaś kolektywizacja, która pociągnęła za sobą miliony ofiar, była „społecznym fundamentem modernizacji rolnictwa”, będąc jedynym wyjściem w obliczu „niebezpieczeństwa imperialistycznej agresji”.

Pakt Ribbentrop-Mołotow wytłumaczył Gorbaczow polityczną izolacją ZSRS. Chruszczow doczekał się pochwał za destalinizację, a rehabilitacja ofiar stalinizmu ma zostać podjęta na nowo. Breżniewowi dostało się za brak elastyczności i schematyzm.

Analizując wewnętrzną sytuację w kraju Gorbaczow stwierdził, iż pierwszy etap „pieriestrojki” został w zasadzie zamknięty, a własną pozycję określił jako „między konserwatystami a niecierpliwymi”.

Analizując sytuację międzynarodową Gorbaczow powiedział, iż „niebezpieczeństwo wojny leży w naturze imperializmu. Kapitalizm dotychczas oparł swoją gospodarkę na wyzysku Trzeciego Świata i zbrojniach.” Przyczynę październikowego krachu na giełdzie Gorbaczow widzi w nadmiernych wydatkach Zachodu na zbrojenia.

3-godzinnej mowie na Kremlu wygłoszonej w dn. 2.11. przysłuchiwali się przywódcy krajów bloku wschodniego, z których przewodząca NRD Erich Honecker otrzymał z okazji 75-urodzin najwyższe odznaczenie sowieckie — order Lenina.

Jednym z zaproszonych gości był spisany uprzednio przez Kreml na straty przywódcą PLO Jasir Arafat — *Tagesspiegel*, 3.11.87, *TAZ*, 3.11.87, *Neue Zürcher Zeitung*, 4.11.87

Gorbaczow oświadczył również, że choć socjalizm znajduje się w tyle za kapitalizmem, reformy „pieriestrojki” pozwalają żywić nadzieję, iż sytuacja ta się zmieni. Ma to pomóc wszystkim na świecie, którzy szukają alternatywy dla kapitalizmu. (Chruszczow w końcu lat 50-tych zamierzał wyprzeć USA do roku 1980 — przyp. red.) — *Süddeutsche Zeitung*, 5.11.87

ONZ POTĘPIA SOWIETÓW

Spada sowiecki barometr w ONZ. Już po raz ósmy od czasu wkroczenia Sowietów do Afganistanu w grudniu 1979 r. Zgromadzenie Ogólne ONZ wydało poświęconą tej sprawie odpowiednią rezolucję domagającą się natychmiastowego wycofania wojsk sowieckich. Tym razem „za” głosowała największa dotychczas ilość krajów — 123. 19 krajów, a więc wszystkie z bloku wschodniego, Kuba, Libia, Syria i Wietnam głosowały przeciwko, wstrzymały się od głosu Indie, Irak, Nikaragua, Cypr i Finlandia — *Neue Zürcher Zeitung* — 12.11.87.

GALA SOCJALISTYCZNEJ PARTII JEDNOŚCI W BERLINIE ZACH.

W odległości ok. 100 m od płyty poświęconej ofiarom stalinizmu i mniej więcej 1,5 km od muru berlińskiego w sali koncertowej Hochschule der Künste ponad tysiąc osób świętowało 70-rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. W uroczystościach zorganizowanych przez Socjalistyczną Partię Jedności Berlina Zachodniego (SEW) udział wzięli: 30-osobowy chór sowiecki, 20 pionierów, zespół rockowy (refren jednej z piosenek brzmiał „Dojrzał już czas”), przew. SEW Horst Schmitt, zespół

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

pieśni ludowej z Oranienburga, w foyer zaprezentowano wystawę fotograficzną dokumentującą osiągnięcia ZSRS — *TAZ*, 6.11.87

DUBČEK GRATULUJE

Były szef partii ĆSRS Aleksander Dubček przesłał na ręce Gorbaczowa telegram gratulacyjny z okazji 70-rocznicy rewolucji, w którym poparł „demokratyczny socjalizm”, co potwierdził rzecznik KC KPZS Szachnazarow.

Tymczasem obecny szef czeskiej partii Husak opuścił przedwcześnie Moskwę — jak się przypuszcza, z powodu najnowszych komentarzy prasy sowieckiej dotyczących zdławienia praskiej Wiosny — *Die Welt*, 7.11.87.

IRAN: KRUCJATA DZIECIECĄ

Według informacji podanej przez irańskiego ministra szkolnictwa Kasema Akramiego w zeszłym roku w wojnie iracko-irańskiej wzięło udział ok. 150 tys. uczniów i byli oni — wg ministra — obok tzw. straży rewolucyjnej, najofiarniejszymi żołnierzami. W irackich obozach jenieckich znajdują się 10-letnie dzieci irańskie. Oficjalnie armia irańska przyjmuje w swoje szeregi ochotników, którzy ukończyli 15 lat. Jednak, jak przyznał minister, czyni się wyjątki dla dzieci nad wiek rozwiniętych — *Frankfurter Rundschau*, 7.11.87.

REWOLUCJA POŻERA SWOJE WŁASNE DZIECI?

Pierwszy szermierz „pierestrojki” szef moskiewskiej organizacji partyjnej Boris Jelcin miał — wg niepotwierdzonych pogłosek — podczas zebrania KC KPZS w dn. 21.10. zarzucić Gorbaczowowi usiłowanie wprowadzenia kultu jednostki, a wielu starszym działaczom hamowanie reform.

Po dyskusji na plenum Jelcin złożył rezygnację ze stanowiska i

Sekretarza KPZS Moskwy. Rezygnację przyjęto w dn. 12.11. — *Tagespiegel*, 13.11.

ESTOŃCZYCY BEZCZESZCZA SOWIECKIE GROBY

Jak podała *Komsomolskaja Prawda* (11.11.) w dn. 21.10. w estońskim mieście Vyru grupa punktów i pijanej młodzieży estońskiej po uroczystościach upamiętniających śmierć estońskich białogwardzistów w wojnie domowej i rewolucji rzekomo usiłowała zatrzymać ruch drogowy w mieście Dorpacie.

Chuligani mieli zbezczcić groby żołnierzy sowieckich poległych podczas zajmowania Estonii w 1939 r. jak i w czasie jej wyzwalania w 1944 r. Szef KGB W. Czebrikow w wypowiedzi dla pisma pochwalił się, iż jest w posiadaniu niezbitych dowodów świadczących o inspirowaniu tych wydarzeń przez zachodnie służby szpiegowskie — *Süddeutsche Zeitung*, 12.11.87

W ZSRS NIE BĘDZIE BANITÓW?

Brak szacunku dla tradycji wykazuje minister sprawiedliwości Sowietów Boris Krawcow, który ujawnił TASS-owi, iż nosi się z zamiarem zniesienia kary wygnania. Jak zauważa *Süddeutsche Zeitung* (11.11.) najsłynniejszymi ofiarami w/w kary byli: Aleksander Puszkina, Aleksander Herzen i Andriej Sacharow.

O ZDROWY ROZUM

W Związku Sowieckim prawie każdy może zostać schizofrenikiem, jak przytomnie zauważa *Komsomolskaja Prawda* z dn. 11.11., cytując objawy choroby za sowieckim podrećnikiem psychiatrycznym z 1985 r.: „bałaganiarstwo, obżarstwo, hiperaktywność, przecenianie własnej osoby, rozproszenie uwagi, wrażliwość, poddawanie się zmiennym nastrojom, kompleks wielkości”. W Sowietach diagnozuje się schizofrenię z powodów „szczególnego zain-

teresowania systemami filozoficznymi, religią i sztuką”, natomiast „delikatna paranoja” ma charakteryzować się „prostoltnością, fanatycznym uporem związanym z pieniactwem (walka o prawdę)”. Zaś walcząca od 2,5 lat z paranoją psychiatrii grupa osób z moskiewskiej prokuratury ma, wg dziennika, napotykać na opór.

Rewelacje *Komsomolskiej Prawdy* zaskoczyły do tego stopnia prasę zachodnią, iż np. *FAZ* (12.11.) wydrukował je na pierwszej stronie.

GLÓD W ETIOPII

Panująca w tym roku w Etiopii klęska suszy wg zachodnich ekspertów grozi głodem co najmniej 5,2 mln Etiopczyków. Międzynarodowe organizacje zachodnie zobowiązały się w roku 1988 dostarczyć Etiopii ponad 1 mln ton żywności. Jak przypomniał *Tagespiegel* z dn. 15.11.87 w roku 1985 wysłano do Etiopii 1,2 mln ton żywności, jednak ze względu na kłopoty transportowe i wojnę domową, ok. miliona Etiopczyków umarło z głodu.

Jak podaje *Die Welt* z dn. 28.11.87 najliczniejsza w Afryce armia etiopska (500 tys. żołnierzy, 250 samolotów bojowych) zaatakowała w połowie listopada Sudan, skąd operują bojownicy o niezależność ludu Oromos stanowiącego ok. 40% 46-milionowej populacji Etiopii. W ramach bratniej pomocy ZSRS zajmuje się wyszkoleniem żołnierza etiopskiego i dostarczaniem broni, NRD udziela instrukcji tajnej policji, a Kuba stacjonuje kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy.

DEMONSTRACJA W DREŹNIE

W dn. 14.11.87 w Dreźnie na historycznym moście Georgija Dymitrowa demonstrowali przedstawiciele organizacji „Green Peace” przeciwko zanieczyszczeniu Elby przez zakłady przemysłowe NRD. Demonstracja trwała 45 min, a na 30-metrowej długości transparenecie

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

widniał napis: „Zanieczyszczenia nie znają granic: Drezno-Hamburg-Morze Północne. Woda to życie”. Po 45 minutach do akcji wkroczyła NRD-owska milicja związając transparent. Demonstranci, którzy rozdali tysiące ulotek nie zostali aresztowani — *Tagesspiegel*, 15.11.87.

ZAMIESZKI W RUMUNII

W Brasow (Kronstadt) drugim co do wielkości mieście w Rumunii (334 tys. mieszkańców) w dn. 15.11. rano doszło do protestu robotników fabryki autobusów z powodu obniżenia płac ze względu na nie wykonanie miesięcznego planu.

Robotnicy wyszli na ulice, spalili milicyjny autobus i uzbrojeni w noże, butelki i kamienie udali się do ratusza, który został spalony i podpalony. Następnie demonstranci udali się pod budynek partii, który został również podpalony. Wznoszący okrzyki: „Śmierć Ceausescu”, „Precz z partią”, „Dość dyktatury”.

Następnie wojsko i milicja rozpoczęła demonstrantów, zamknięto restauracje i hotele, nakazano obcokrajowcom opuścić miasto, które ma znajdować się, wg. doniesień z dn. 23.11.87 w *Tagesspiegel* i *TAZ*, w stanie oblężenia. Mieszkańcy wieszają na drzwiach domów hasło: „Jest nam wszystko jedno czy zamrzniemy, umrzemy z głodu, czy też zostaniemy zastrzeleni”. *FAZ* (z dn. 23.11.) ocenia liczbę demonstrantów w Brasow na 20 tys.

O wyżej wymienionych rozruchach środki masowego przekazu Rumunii nie wspomniały ani słowem — *FAZ*, 25.11.87.

Jak donosi *Die Welt* (z dn. 26.11.) bezpośrednią przyczyną rozruchów, obok obniżenia płac, było podstawienie pod fabrykę autobusów, którymi nocna zmiana — miast udać się do domów — miała być przetransportowana do lokali wyborczych i wziąć udział w głosowaniu do rad narodowych.

Z protestującymi solidaryzować mieli się pracownicy przybyłej właśnie dziennej zmiany i kilkutyśięcna grupa zrezygnowała z podwoły, uformowała marsz w kierunku ratusza i gmachu partii. Przed podpaleniem gmachu partii spalono tamtejszą kantinę i wyniesiono na ulicę nieprawdopodobnie ilości kiebasy, serów, pomarańczy, lemoniady — od lat nie widzianych w sklepach rumuńskich.

Ceausescu zwolnił komendanta miejscowej milicji jak i szefa tajnej policji.

W dn. 28.11. w Radio Wolna Europa Silja Pukan, prof. socjologii uniwersytetu bukaresztańskiego, uprzednio szef bukaresztańskiej rozgłośni, też ambasador Rumunii w USA, ostro skrytykował obecną sytuację w Rumunii. Powiedział m.in.: „Klasa robotnicza nie da się już dalej traktować jak niższej klasy służący. Wprowadzony w Rumunii system oszczędności wymaga od robotników, by dobrowolnie zamarli w łóżkach.” Właśnie ze względu na oszczędności wyłączono ostatnio urządzenia zakłócające, stąd program RWE mógł być w Rumunii doskonale słyszalny — *TAZ*, 30.11.87.

SOWIECCY CZYTELNIKI STWIERDZAJĄ

na łamach tygodnika *Ogoniok* z dn. 19.11.87 w cytowanym liście: „Gdyby jakiś z naszych wielkich przywódców udał się do zwykłej przychodni, oczekiwałby dwie do trzech godzin w kolejce na 5-minutowe przebadanie; gdyby dwa do trzech lat oczekiwał na protezę dentystyczną, albo poleżał w szpitalu na korytarzu; gdyby udał się na zwykły urlop, gdzie zaserwowano by mu śmierdzący kotlet, powstał w kolejce do toalety, a z obiecanych błogosławieństw urlopowych otrzymał ledwie połowę w zamian za wniesione opłaty; gdyby spróbował bez znajomości i łapówek naprawić własne auto; gdyby w pralni zamieniono mu nową pościel na podarte szmaty; gdyby jego żona nosiła ko-

zaczki, które są do dostania w naszych sklepach — wtedy, być może, moglibyśmy mieć nadzieję na jakikolwiek zmiany” — *Süddeutsche Zeitung*, 24.11.87.

AFGAŃSCY KOMUNISTI NA WALIZKACH?

Jeden z wyższych urzędników rządu w Kabulu przekazał partyzantom następujący tajny dokument — druk opatrzony sierpem i młotem zredagowany w jęz. afgańskim i rosyjskim zatytułowany: „Specjalne pozwolenie na ewakuację” — o treści: „Towarzysz (wolne miejsce na nazwisko) posiada specjalne pozwolenie na ewakuację transportem lotniczym lub samochodowym i do środków utrzymania po przybyciu do miejsca ewakuacji.” W podpisie ambasada ZSRS a także Demokratyczna Republika Afganistanu.

Na odwrocie, tym razem tylko po afgańsku: „Posiadacz niniejszego dokumentu i jego rodzina posiadają prawo wstępu do afgańskich i sowieckich obiektów wojskowych; każdy z przybywających ma prawo posiadać jeden pakunek o ciężarze nie przekraczającym 10 kg; nie wolno zabierać ze sobą broni i żywności.”

Do planu dołączono mapkę Kabulu, na której zaznaczono miejsca ewentualnej ewakuacji. Są to m.in. budynek kabulskiej rozgłośni, sowiecki klub wojskowy, większe budynki afgańskiej służby bezpieczeństwa a także wielkie place — *Die Welt*, 26.11.87.

REPRESJE W NRD

W nocy 25.11. rozpoczęła się zakrojona na szeroką skalę akcja przeciwko działaczom organizacji walczących o ochronę środowiska i prawa człowieka skupionych wokół ewangelickiego Kościoła. Zarekwirowano maszyny do pisania, powielacze, materiały oraz druki. Zaresztowano 30 osób — *FAZ*, 27.11.87.

* * *

Rudolfowi Nuriejewowi (49 lat), który w 1961 r. w czasie tournée sowieckiego zespołu baletowego we Francji odłączył się od zespołu i otrzymał tam azyli polityczny, władze ZSRS udzieliły zezwolenia na odwiedzenie chorej matki w Moskwie. Jednocześnie francuskie ministerstwo kultury podało, iż Nuriejew (od 1983 r. dyrektor baletu opery paryskiej) w czasie swego pobytu w Moskwie ma przeprowadzić rozmowy w sprawie występów gościnnych w Sowietach. (FAZ, 14. 11. 87)

TEATR ÓSMEGO DNIA W BAZYLEI

Neue Zürcher Zeitung (14.11.87) zamieściła recenzję z występów poznańskiego Teatru Ósmego Dnia, który od dwóch lat gra na Zachodzie. Zespół przedstawił dwuczęściowy spektakl zbudowany na kanwie tekstów Zbigniewa Herberta wg „Raportu z obłąkanego miasta” oraz Tadeusza Konwickiego wg „Autodafę” i „Małej apokalipsy”. Novum obecnego przedstawienia był recital Ewy Wójciak oparty na tekstach Osipa Mandelsztama. Aktorka otrzymała zezwolenie na wyjazd z Polski dopiero w przeddzień występów zespołu w Bazylei. Szwajcarska publiczność entuzjastycznie przyjęła przedstawienie polskiego zespołu.

ZJAZD PISARZY NRD

Wiele uwagi poświęciła prasa zachodniemiecka przebiegowi (pod koniec listopada) zjazdu pisarzy NRD. W obliczu sowieckiej „pieriestrojki” wielu komentatorów oczekiwało ciekawej dyskusji, która odbiegłaby od dotychczasowej sztympy. I nie zawiedli się w swoich oczekiwaniach. Jedną z najbardziej znanych na Zachodzie pisarek NRD Christa Wolf, która osobiście nie brała udziału w zjeździe, przesłała list do prezydium, w którym ostro skrytykowała dotychczasową postawę związku odnośnie autorów, którzy po pozabawieniu w 1976 r. Wolfa Biermanna obywatelstwa NRD poprosili o zezwolenie na wyjazd z „pierwszego niemieckiego państwa robotników i chłopów”. Piszze ona m.in.: „Zadaniem związku nie jest izolacja lecz integracja szczególnie młodych, krytycznie nastawionych pisarzy”. Mimo początkowych trudności list został odczytany. Po raz pierwszy władze NRD zezwoliły też korespondentom zachodnim na bezpośrednią obserwację obrad zjazdu pisarzy NRD. (FAZ, 27.11.87)

„DROGA NADZIEI” W JĘZYKU NIEMIECKIM

Szwajcarski konserwatywny dziennik *Neue Zürcher Zeitung* (24.11) zamieścił obszerną recenzję z niemieckojęzycznego wydania autobiografii Lecha Wałęsy „Droga nadziei”. Książka ta ukazała się w wiedeńskim wydawnictwie Paul-Zsolnay-Verlag. Jak stwierdza *NZZ*, Wałęsa reprezentuje typowego robotnika polskiego doby powojennej, który wywodzi się ze środowiska wiejskiego. Wałęsa opisuje warunki życia i pracy w stoczni gdańskiej w latach 60-tych i 70-tych, które – zdaniem recenzenta – same w sobie mogłyby stać się przyczyną protestów i strajków. Wspomnienia obejmują obok okresu legalnej działalności „Solidarności” także okres internowania.

Tłumaczenie niemieckie opiera się na wydaniu francuskim. W celu uniknięcia błędów sięgnięto jednak również do oryginału. Wydanie wzbogacono również – co jest istotne w

porównaniu z wydaniem francuskim – o poszczególne dokumenty, które Wałęsa bardzo często cytuje.

* * *

Równocześnie ukazała się w Niemczech Zachodnich autobiografia Andrzeja Wajdy pt. „Moje filmy” (A. Wajda, Meine Filme. Benziger Verlag, Zürich). Wajda przedstawia warunki społeczne i polityczne, w których realizował swoje filmy. Ciekawy jest zwłaszcza ostatni rozdział, gdzie reżyser pisze o własnej idei kina stojącego blisko widza i wobec rezygnacji z tak utopijnego założenia Wajda oświadcza m.in.: „Dlatego wstąpiłem do „Solidarności”. I pozostanę wierny jej ideałom, gdyż w nich widzę jedyny środek zwalczania pustki zagrażającej ludziom, którzy gotowi są poświęcić dobro społeczne wygodnictwu”.

Autor nie stroni też od samokrytyki, stwierdzając np., iż wstęp do filmu „Człowiek z żelaza” jest zbyt przegadany i za długi. Jak zauważa dowcipnie Willem Hart w swej recenzji (*Die Welt*, 21.11) Wajda jest stracony dla Hollywood, gdyż ceni sobie ciężkie warunki w których powstają jego filmy, czego dowodem ma być cytacja: „Po prostu napad na bank z amatorami jest dla mnie bardziej podniecający niż z profesjonalnymi gangsterami”.

* * *

W wieku 63 lat zmarł w St. Paul de Vence (Lazurowe Wybrzeże) amerykański pisarz James Baldwin. Był Murzynem. W latach 60-tych stał się jednym z literackich przywódców ruchu „Czarnych Panter”. Swą twórczość poświęcił głównie problematyce emancypacji i praw dla ludności murzyńskiej w USA. Początkowo odgrywał rolę mediatora, po zamordowaniu Martina Luthera Kinga stał się jednak nieprzejednanym i radykalnym murzyńskim rasistą, co nawet szkodziło jego reputacji pisarskiej. W Polsce znane są przede wszystkim jego powieści i opowiadania: „Głos to na górze”, „Inny kraj”, „Powiedz mi, jak dawno odszedł pociąg”. (FAZ, 2.12.87)

„MARZENIE O WOLNEJ OJCZYZNIE”

5 grudnia III program rozpoczął emisję 9-odcinkowego filmu dokumentalnego pt. „Marzenie o wolnej ojczyźnie – Polska w XX wieku” w reżyserii znanego dokumentalisty brytyjskiego Martina Smitha. Dokument ten powstał w międzynarodowej koprodukcji trzech stacji telewizyjnych – brytyjskiej (Channel Four London), amerykańskiej (WNET) i zachodniemieckiej (Norddeutscher Rundfunk). Po raz pierwszy sięgnięto w filmowe dokumenty do archiwum polskiego rządu emigracyjnego w Londynie, które dotychczas nie były nigdy wykorzystywane (formowanie się armii generała Andersa na Uralu, deportacja Polaków po wkroczeniu Sowietów w 1939 r. na polskie tereny wschodnie, powstanie warszawskie). Realizacja filmu trwała 4 lata, zdjęcia kręcono w 17 krajach. Film prezentuje cały szereg wywiadów ze świadkami ówczesnych wydarzeń.

Historia państwa polskiego prezentowana jest w 45-minutowych odcinkach w porządku chronologicznym od roku 1900 do dziś. Dwa odcinki zostały poświęcone problemom szczególnie: polskim Żydom oraz tematowi patriotyzm a Kościół. Odcinki prezentuje program III w każdą sobotę o godz. 20.15. ■

ZNÓW O „PIERIESTRÓJCĘ”

Na kolejnej konferencji ASPEN-Institute w Berlinie Zachodnim poświęconej perspektywom XXI w. wystąpił prof. dr Władimir Pankow — kierownik Sekcji Zachodniej Europy Środkowej, RFN i Berlina Zachodniego Instytutu Gospodarki Światowej i Kontaktów Międzynarodowych moskiewskiej Akademii Nauk. (Ani słowa mniej — przyp. red.)

Profesor stwierdza, iż większość społeczeństwa jest za „pierestrojką”, a jej przeciwników widzi jedynie w skostniałej i krótkowzrocznej mniejszości poza wielkomięskimi aglomeracjami. Dyrektorzy zakładów przemysłowych będą posiadać wolną rękę, ale też będzie na nich spoczywać większa odpowiedzialność. W związku z tym obecnie przechodzą intensywne przeszkolenia, które dotyczą też ministrów.

Wg informacji prof. Pankowa 15% zakładów przemysłowych ZSRS przynosi straty. Od dn. 1.01.88 nierentowne przedsiębiorstwa będą ulegały rozwiązaniu. Nieefektywność i mała wydajność gospodarki sowieckiej mówca wytłumaczył niską jakością produktów, spadkiem cen ropy na rynkach światowych, co miało doprowadzić w latach 1984-86 w ZSRS do strat w wys. 34 mld marek i wpłynęło na zmniejszenie się wymiany handlowej z Zachodem.

Na produkty sowieckie w Europie Zachodniej nakłada się dwucyfrowe cło wobec 7% dotyczących NRD i krajów Wspólnego Rynku. Mówca uznał też zaopatrzenie w artykuły przemysłu spożywczego w ZSRS za niewystarczające i podczas gdy naukowcy uważają 78 kg mięsa na głowę rocznie za ilość optymalną, w ZSRS liczba ta wynosi 61.

Konieczność importu zbóż z USA wytłumaczył prof. Pankow tym, iż w USA panuje lepszy klimat i gleby posiadają ogólnie wyższą jakość. Tym też ma tłumaczyć się fakt, iż w amerykańskim rolnictwie pracuje 4 mln osób, a w ZSRS 27. Poza tym wynagrodzenia w rolnictwie ZSRS są za niskie. Natomiast luka technologiczna między ZSRS a krajami zachodnimi nie wynika z wyższego poziomu nauki na Zachodzie, a jedynie ze zbyt wolnego wprowadzania w życie wynalazków i osiągnięć sowieckiej nauki — *Tagesspiegel*, 11.11.87.

NA ZIELONĄ TRAWKĘ?

Jak podała *Socjalistyczna Industrija* (9.11.87) do 1990 r. ponad połowa pracowników 50-ciu moskiewskich ministerstw zawiadujących sowiecką gospodarką zostanie zwolnionych, czyli ok. 60 tys. osób. Do tej pory z Ministerstwa Maszyn Energetycznych i Ciężkich zwolniono już 680 osób — *Süddeutsche Zeitung*, 11.11.87.

Już w dn. 19.11. utworzono w Moskwie biuro pośrednictwa pracy — *TAZ*, 21.11.87.

KRYZYS W JUGOSLAWII POGLEBIA SIĘ

Wg agencji prasowej Tanjug wzrost produkcji przemysłowej w Jugosławii w tym roku wyniósł 2% miast planowanych 3,6%, a w ostatnich dwóch tygodniach października dinar w stosunku do siedmiu wiodących walut zachodnich stracił 13% na wartości (w sumie 140% w stosunku do roku ubiegłego). W październiku ceny wzrosły średnio o 12%. Długi Jugosławii wynoszą 20 mld dolarów — *Süddeutsche Zeitung*, 11.11.87.

BLOK WSCHODNI
POD SKRZYDŁAMI DC-9 I BOENINGA?

Wg *Die Welt* z dn. 12.11.87 lotnictwo cywilne NRD, Węgier i PRL chce przesiąść się z IL-62 na maszyny produkcji zachodniej. Samoloty sowieckie wg specjalistów są nieekonomiczne a wady konstrukcyjne nie pozwalają na prawidłowe wyrównanie ciśnienia.

SZMUGIEL STALI

Jak podało w dn. 5.11.87 biuro śledcze Ministerstwa Finansów RFN w latach 1985-86 z NRD do RFN i innych krajów Wspólnoty Europejskiej przeszczugowano 200 tys. ton stali o wartości 170 mln marek, co pociągnęło za sobą 15 mln marek strat tytułem nieuiszczonych opłat celnych — *Die Welt*, 6.11.87.

Z SOWIECKIEGO CZARNEGO RYNKU

Zgodnie z danymi opublikowanymi przez sowiecki tygodnik *Ogoniok* (z dn. 12.11.), osoby zatrudnione w sowieckim handlu wydają przeciętnie 60% więcej pieniędzy niż oficjalnie zarabiają; 70% zagranicznych samochodów należy do czarnorynkowych spekulantów; 85% ludzi w ZSRS skazanych jest na płacenie łapówek; samochód osobowy marki toyota kosztuje na czarnym rynku 40 tys. rubli (65 tys. dol.); sowiecki marynarz nabył w Antwerpii 2900 srebrnych łańcuszków i zarobił na tym 100 tys. rubli; sprzedaż dwóch magnetowidów pozwalała na zakup dwupokojowego mieszkania; w Miczuriniku stacje benzynowe w ub. roku nie sprzedawały ani jednego litra benzyny osobom prywatnym, co jednak nie zlikwidowało ruchu samochodowego na ulicach tego miasta — *Die Welt*, 14.11.87.

SOCJALISTYCZNA GOSPODARKA ANGOLI

Oficjalny kurs dolara w Luandzie jest 66 razy niższy od czarnorynkowego. Wymieniający oficjalnie waluty zachodnie mogą nabyć za 100 dolarów USA np. 15 pomidorów albo 4 szcztolki do zębów, a kurs na kosztować 150 dol. Oficjalny minimalny zarobek miesięczny w Angoli wynosi 7 tys. kwanza, na czarnym rynku można za to nabyć 1,5 kg maki. Natomiast racjonowany cukier sprzedaje się oficjalnie za 42 kwanza, podczas gdy cena czarnorynkowa wynosi 4 tys. W związku z tym kwitnie handel wymienny i korupcja — *Frankfurter Rundschau*, 16.11.87.

ROLNICTWO W KRAJACH EWG

W porównaniu z rokiem 1980 kraje EWG produkują dziś 78% więcej owoców strączkowych, 15,2% roślin oleistych, 11,3% zbóż, 10,8% kartofli, 7,3% buraków cukrowych, wg danych *Süddeutsche Zeitung* z dn. 16.11.87.

DEWALUACJA DINARA
I PODWYŻKI W JUGOSLAWII

W dn. 16.11.87 dinar uległ 25% dewaluacji, wprowadzono również następujące podwyżki: na energię elektryczną 69%, węgiel 82%, opłaty pocztowe 33%, opłaty kolejowe 61%, cukier 175%, mleko 100%, chleb 33%. Ceny jak i częściowo płace zamrożono do połowy 1988 r. W obliczu tych

podwyżkę zastrajkowało 5 tys. robotników w mieście Skopje, którzy następnie otrzymali błyskawicznie 100%-podwyżkę płac — *Süddeutsche Zeitung*, 19.11.87.

TO DOPIERO INTERES

Kraje Wspólnego Rynku w początku listopada w Brukseli sprzedały Sowietom 200 tys. ton starego masła. ZSRS zapłacił 0,43 DM za kg, a więc 1/15 ceny jaką uzyskali od EWG zachodni rolnicy — *Die Welt*, 14.11.87.

A DŁUGI ROSNĄ

Zgodnie z danymi opublikowanymi przez Organizację Współpracy i Rozwoju Gospodarczego (OECD) w Paryżu, zadłużenie ZSRS, Bułgarii, NRD, Polski, Rumunii, Czechosłowacji i Węgier w roku 1986 wzrosło o 18,7% w stosunku

do roku poprzedniego i wynosiło 115,5 mld dolarów — *Die Welt*, 20.11.87.

PODWYŻKI NA WĘGRZECH

Od dn. 1.01.88 cena 80% wszelkich produktów na Węgrzech wzrosła: materiały budowlane o 17,5-22%, sprzęt elektro-techniczny 26%, obuwie między 10% a 93%; obniżą się ceny niektórych artykułów spożywczych, lecz ceny mięsa i przetworów mięsnych wzrosną o 6,4% — *Süddeutsche Zeitung*, 25.11.87.

KTO KOMU?

Przebywający z wizytą w Egipcie szef partii Rumunii Causeescu udzielił Egipcjom kredytu w wys. 200 mln dolarów — *Tagespiegel*, 26.11.87

* JEDNYM ZDANIEM * JEDNYM ZDANIEM * JEDNYM ZDANIEM * JEDNYM ZDANIEM *

JOHANNESBURG. Przedstawiciele zachodniemieckich firm działających w Pkd. Afryce wygwizdali w czasie spotkania w Johannesburgu wysłannika ambasady RFN, który domagał się od nich czynnego poparcia polityki antyapartheidowej. (*Tagesspiegel*, 1.11.87)

MANILA. W dn. 29.10. partyzanci komunistyczni w stolicy Filipin zamordowali 14 osób, w tym trzech Amerykanów, których zastrzelono w odwet za 10 samochodów opancerzonych, dostarczonych ostatnio przez USA filipińskiemu rządowi. (*Neue Zürcher Zeitung*, 2.11.87)

LOS ANGELES. W dn. 29.10. w wieku 74 lat zmarł Woody Herman, najwybitniejszy klawiszista jazzowy, lider jednej z najpopularniejszych amerykańskich orkiestr. (*Neue Zürcher Zeitung*, 2.11.87)

BELGRAD. W dn. 1.11. szef partii Słowenii Kucan wypowiedział się za taką koncepcją socjalizmu, która nie jest „sprawiedliwym podziałem biedy”, wskazując przy tym na delikatną sytuację w armii jugosłowiańskiej, gdzie co czwarty żołnierz — w związku z eksplozją demograficzną w Kosowie — jest Albańczykiem. (*FAZ*, 3.11.)

FRANKFURT/M. W dn. 2.11. w czasie nielegalnej demonstracji w 6-rocznicę rozpoczęcia budowy tzw. zachodniego pasa startowego lotniska we Frankfurcie (kosztem miejscowości Hüttendorf i okolicznych lasów) demonstranci zastrzelili dwóch policjantów raniąc 9 innych. (*Süddeutsche Zeitung*, 4.11.87)

WASZYNGTON. Ronald Reagan w przemówieniu telewizyjnym w dn. 4.11. wezwał Gorbaczowa do spotkania w Berlinie, by na miejscu wspólnie rozpocząć rozbiorę muru. (*Die Welt*, 5.11.)

KIJÓW. Na początku listopada odsłonięto tam pierwszy w ZSRS pomnik poświęcony sowieckim żołnierzom poległym w walkach z Mudzaheddinami w Afganistanie. (*Die Welt*, 5.11.)

WASZYNGTON. Dn. 3.11. ze względu na zły stan zdrowia zrezygnował ze stanowiska minister obrony USA Caspar Weinberger (70 lat), jego następcą mianował Reagan do-

tychczasowego doradcę d/s bezpieczeństwa Franka Carlucci. (*TAZ*, 6.11.)

BONN. Od 1.01.88 paszport zachodniemiecki ważny na 10 lat kosztować będzie DM 30,- (polski paszport konsularny kosztuje DM 150,-, przedłużenie paszportu turystycznego nawet o miesiąc kosztuje DM 76,- — przyp. red.) (*Süddeutsche Zeitung*, 7.11.)

BELGRAD. Cierpiący na niedobory energetyczne Rumuni kradną wodę z Dunaju Jugosłowianom co spowodowało w początkach listopada br. na wielu odcinkach spadek poziomu o średnio 40 cm dziennie; zagraża to funkcjonowaniu systemu zapór i fabryk jugosłowiańskich. (*FAZ*, 7.11.)

BELGRAD. Władze Serbii w dn. 5.11. zwoływały szefa wpływowego tygodnika *Nin* Mirko Deykića za udostępnianie łamów swego pisma krytykom rządu i popieranie tzw. „serbskiego nacjonalizmu”. (*NZZ*, 7.11.)

LONDYN. Wg informacji brytyjskiego *Sunday Times* już od roku na Szeszelach znajdują się Rosjanie; 50 sowieckich żołnierzy stanowić ma ochronę osobistą prezydenta Alberta Rene od czasu nieudanego puczu w październiku ub.r. (*Die Welt*, 9.11.)

MOSKWA. Z powodu pisemnych protestów ponad 30 tys. pisarzy, naukowców i mieszkańców Łotwy obawiających się ekologicznych skutków budowy elektrowni wodnej na Dunie władze sowieckie nakazały przerwać zaawansowane prace budowlane. (*TAZ*, 10.11.)

BONN. Transakcja wiązana proponuje rząd RFN Chinom: wraz z dwoma reaktorami jądrowymi Chińczycy mają nabyć 150 ton niemieckich odpadów radioaktywnych. (*TAZ*, 12.11.)

MOSKWA. Szef moskiewskiej milicji Piotr Bogdanow w opublikowanym w dn. 10.11. artykule w *Prawdzie* zapewnił, iż milicja podejmie odpowiednie kroki przeciwko wszystkim zakłócającym spokój w stolicy; chodzi o „hippisów, punków, rockersów i ekstremistów”. (*TAZ*, 12.11.)

MOSKWA. W dn. 9.11. w Moskwie zmarł w wieku 96 lat były minister spraw zagranicznych Władysław Molotow,

• JEDNYM ZDANIEM • JEDNYM ZDANIEM • JEDNYM ZDANIEM • JEDNYM ZDANIEM •

sygnatariusz słynnego paktu z Ribbentropem, wyrzucony z partii przez Chruszczowa w 1962 r., przyjęty z powrotem przez Czernienkę w 1984 r. (Süddeutsche Zeitung, 11.11.)

BELGRAD. Dn. 12.11. parlament jugosłowiański zdecydował, iż do roku 2000 na terytorium Jugostawii nie będzie budować się elektrowni atomowych. (Süddeutsche Zeitung, 14.11.)

BONN. W dn. 13.11.87 kanclerz Kohl oświadczył na sympozjum z okazji przypadającej właśnie 80-rocznicy urodzin hrabiego Stauffenberga, przywódcy nieudanego zamachu na Hitlera z 20.07.44, iż ów zamach „jest jednym z największych wydarzeń w naszej historii”. (Süddeutsche Zeitung, 14.11.87)

RZYM. W dn. 15.11.87 po raz 47-my od 1945 roku rozwiązano rząd włoski. (FAZ, 16.11.87)

FRANKFURT. Wg „FAZ” z dn. 14.11.87 w NRD studiuje 130 tys. osób, a więc na 10 tys. mieszkańców przypada 65 studentów, podczas kiedy w RFN 195, 1100 naukowców z NRD odwiedziło RFN w roku 1986, podczas gdy 2400 naukowców zachodniemieckich było w NRD.

WASZYNGTON. W opublikowanym w dn. 14.11.87 studium ministerstwa obrony USA ZSRS posiada obecnie na orbicie 150 czynnych satelitów (120 w roku 1982), z czego minimum 90% to satelity szpiegowskie, a Sowieci w ostatnich 10 latach mieli wydać minimum 80 mld dolarów na szpiegowanie z kosmosu. (Süddeutsche Zeitung, 16.11.87)

MOSKWA. Zgodnie z danymi ministra spraw wewnętrznych Sowieców Aleksandra Własowa opublikowanymi na łamach „Prawdy” w dn. 15.11.87 w ZSRS żyje obecnie minimum 4,5 mln alkoholików, z których milion wymaga natychmiastowej opieki lekarskiej, oraz, iż mimo zmniejszenia się o połowę sprzedaży alkoholu w porównaniu z rokiem 1984 w ostatnich dwóch latach odkryto ponad milion nielegalnych bimbrowni. (Neue Zürcher Zeitung, 17.11.87)

MONACHIUM. Rzecznik sowieckiego MSZ Gierasimow oświadczył w dn. 16.11.87 w Monachium, iż Sowiety noszą się z zamiarem wycofania swoich wojsk z Afganistanu w przeciągu nadchodzącego roku. (Tagesspiegel, 17.11.87)

MOSKWA. W dn. 18.11.87 Boris Jelcin po rezygnacji ze stanowiska sekretarza partii w Moskwie mianowany został pierwszym wiceprzewodniczącym państwowego komiteu d/s budownictwa. (Süddeutsche Zeitung, 19.11.87)

OSNABRÜCK. Na konferencji ministrów zdrowia zachodniemieckich landów w Osnabrück podano, iż liczba zanotowanych zachorowań na AIDS w stosunku do listopada ub. roku zwiększyła się dwukrotnie i wynosi 1486 przypadków przy 683 przypadkach śmiertelnych (337 w roku ub.); Światowej Organizacji Zdrowia w Genewie do dn. 6.11. zameldowano łącznie 63.998 przypadków, z czego w USA 43.533, we Francji 1990. (Süddeutsche Zeitung, 21.11.87, Frankfurter Rundschau, 21.11.87)

BUDAPESZT. W dn. 19.11.87 minister spraw zagranicznych Węgier ogłosił, iż prawo obywateli węgierskich do wyjazdu za granicę jest jednym z podstawowych praw obywatelskich oraz podał do wiadomości, iż ponad 100 tys. Węgrów posiada konta dewizowe, na których znajdują się 45 mln dolarów, a liczba uciekinierów w skali rocznej wynosi 3 tys. (Süddeutsche Zeitung, 21.11.87)

NEW DELHI. W dn. 20.11.87 przybył do New Delhi szef sowieckiego rządu Ryzkow, w związku z czym władze indyjskie zastosowały areszt domowy wobec ponad 100 przywódców emigrantów afgańskich. (Tagesspiegel, 21.11.87)

MOSKWA. Z jednomiesięcznym opóźnieniem ogłoszono w ZSRS na łamach „Moscow News”, iż laureatem literackiej nagrody Nobla w roku bieżącym został Josif Brodskij oraz, iż jego liryki będą opublikowane w grudniowym numerze „Nowego Mira”. (Frankfurter Rundschau, 21.11.87)

BELGRAD. W mieście Pancevo pod Belgradem od stycznia przyszłego roku będzie wychodzić pierwsza po wojnie prywatna gazeta jugosłowiańska. (Die Welt, 21.11.87)

KOUROU (GUJANA FRANC.). W dn. 21.11.87 odbyło się udane wystąpienie rakiety nośnej „Ariane”-2 z zachodniemieckim satelitą TV-SAT-1; jest to efekt francusko-niemieckiej współpracy kosmicznej. (NZZ, 24.11.87)

MOSKWA. W dn. 19.11.87 w Zatoce Perskiej doszło do trzeciej już w tym roku wymiany ognia między fregatami irańskimi a osłoną konwojów sowieckich. (FAZ, 24.11.87)

FRANKFURT. Wg danych „The Military Balance” w Europie naprzeciw 16.310 czołgów NATO stoi 47.100 czołgów Układu Warszawskiego. (Frankfurter Rundschau 25.11.87)

MOSKWA. W dn. 22.11.87 milicja moskiewska aresztowała 30 osób protestujących przeciwko antysemitycznym treściom audycji moskiewskiej telewizji, gdzie walczący o prawa człowieka chrześcijanie, „liberalni dziennikarze” a przede wszystkim osoby żydowskiego pochodzenia określone zostały jako „ekstremiści” i „lokaje światowego imperia-lizmu”. (NZZ, 25.11.87)

PRAGA. W dn. 26.11.87 czeskosłowacki minister spraw zagranicznych Bohuslav Chroupek wystąpił podczas spotkania z Genscherem z wpiętym w kłapę znaczkiem noszącym napis „I like Gorb”i, wpiętym mu nieoczekiwanie bezpośrednio przed spotkaniem przez jednego z fotografów. (Frankfurter Rundschau, 27.11.87)

STRASBURG. Papież Jan Paweł II w dn. 10.10.88 roku odwiedził obradujący tam Parlament Europejski. (Die Welt, 27.11.87.)

BELGRAD. Jak doniósł belgradzki dziennik „Wecernyje Nowosti” pracownicy huty i stalowni w bośnińskim mieście Zenica utworzyli niezależne związki zawodowe oraz nową partię komunistyczną. (Die Welt, 27.11.87)

HELSINKI. Jak oświadczył sekretarz generalny euro-komunistów Esko Vainiottaee w związku z obecnym rozwojem sytuacji w ZSRS będzie on usiłował wyjaśnić losy ok. 40 tys. fińskich komunistów, którzy w 1918 r. po zwycięstwie w Finlandii „sił burżuazyjnych” udał się do ZSRS i zniknęli bez śladu. (Süddeutsche Zeitung, 27.11.87)

MOSKWA. W 75-rocznicę uzyskania niepodległości przez Albanię Związek Sowiecki, jak wynika z „Prawdy” z dn. 26.11., życzy sobie nawiązania zerwanych w 1960 r. kontaktów dyplomatycznych, podczas gdy jeszcze niedawno wiceminister spraw zagranicznych Albanii Myftylli nazwał obecnych przywódców sowieckich „kliką Gorbaczowa”, a program reform określił jako „szczególnie zaawansowane przejawy rewizjonizmu”. (Süddeutsche Zeitung, 28.11.87)

Porażka

Do trzech razy sztuka. Generał Jaruzelski zaskoczył nas po raz trzeci: po raz pierwszy pozwalając na odnalezienie zabójców ks. Jerzego Popiełuszki, po raz drugi wypuszczając więźniów politycznych, zaś po raz trzeci zezwalając na opublikowanie prawie prawdziwych wyników referendum, które przegrał. Brzmi to może paradoksalnie, ale dotkliwa porażka poniesiona w listopadowym referendum może okazać się pewnym sukcesem ekipy Jaruzelskiego, a w każdym razie propagandyści zrobią wszystko, aby tak ją przedstawić.

Zapewne władza nie spodziewała się takiego wyniku. Był to scenariusz rozważany, ale nie przewidziany, bo ton pierwszych komentarzy, jeszcze przed opublikowaniem prac komisji, był triumfalny. Na pytania referendum odpowiedziało przecież 68% uprawnionych. „Ludzie ogarnięci duchem reform — czytaliśmy w komunikacie P-A-P-a — mają nie tylko satysfakcję, ale i moralne wsparcie. Zyskali moc, która upomina się o prawo działania sprawnego i skutecznego. Wiedzą już, że są ich miliony...”

Tymczasem okazało się, że dwie trzecie uprawnionych, które wzięły udział w głosowaniu (67,32%) jeszcze nie załatwia sprawy. Przepisy ustawy o referendum wymagają, aby odpowiedzi twierdzącej na pytania udzieliła bezwzględna większość, to znaczy ponad 50% uprawnionych. Tymczasem duża część ludzi, którzy poszli do głosowania, głosowała przeciwko. Na pierwsze pytanie: „Czy jesteś za pełną realizacją przedstawionego Sejmowi programu radykalnego uzdrowienia gospodarki, zmierzającego do wyraźnej poprawy warunków życia społeczeństwa wiedząc, że wymaga to przejścia przez trudny dwu-trzyletni okres szybkich zmian?” „nie” odpowiedziało 27,7% głosujących, zaś nie udzieliło odpowiedzi 6,26%. Na pytanie drugie: „Czy opowiadasz się za polskim modelem głębokiej demokra-

tyzacji życia politycznego, której celem jest umocnienie samorządności, rozszerzenie praw obywateli i zwiększenie ich uczestnictwa w rządzeniu krajem?” odpowiedzi „nie” udzieliło 24,57% głosujących. Zaś nie udzieliło odpowiedzi na to pytanie albo też przekreśliło kartę w obrębie tego pytania 6,40% odpowiadających. I tego właśnie nie przewidziały żadne robione wcześniej badania sondażowe. Liczono się z tym, że pewna część ludzi zbojkotuje referendum, ale że tak duża część z tych, którzy pójdą na referendum, powie „nie” tego eksperci płk. Kwiatkowskiego nie przewidzieli.

Po obliczeniu wszystkich głosów i zestawieniu z 26,2 mln uprawnionymi do głosowania okazało się, iż odpowiednio liczby wynosiły: 44,20% pozytywnych odpowiedzi na pytanie pierwsze oraz 46,29% pozytywnych odpowiedzi na pytanie drugie. Stało się tak mimo prowadzonej z dużym natężeniem akcji propagandowej, a także mimo faktu, że alternatywa udziału w głosowaniu, bądź jego bojkotu lub odpowiedzi negatywnej nie została przez „Solidarność” postawiona tak wyraźnie, jak w przypadku wyborów z 1985 r. Tych, którzy w ogóle zignorowali referendum było około 11% więcej niż w wyborach do Sejmu. Wszystko wskazuje na to, iż agresywna propaganda obróciła się przeciwko władzy. Motywem uczestniczenia w referendum był nadal często konformizm lub lęk. Ten lęk kazał ludziom co prawda iść do lokalu wyborczego, ale nie krępował ich w głosowaniu przeciw. Charakterystyczne, że odsetek głosujących był większy na wsi, gdzie lokalna administracja może łatwo ludziom dokuczyć, a nieobecność bywa łatwo dostrzeżona.

Kłęska Jaruzelskiego, a przede wszystkim gabinetu Messnera spowoduje komplikacje w reformatorskich posunięciach ekipy. Jeżeli referendum nie przyniosło odpowiedzi prawnie obowiązującej, ostateczna decyzja należeć będzie do

Sejmu. Musi on jednak uwzględnić znaczny stopień rezerwy społecznej, jaki wywołuje zwłaszcza perspektywa drastycznej operacji cenowej. W tej sprawie społeczeństwo wypowiedziało się wyraźnie i władza nie może udawać, że tego nie wie. Wyniki głosowania z 29 listopada podnoszą jednak wiarygodność samej instytucji referendum, a także ekipy, która zdecydowała się na jego przeprowadzenie i następnie ogłoszenie negatywnych rezultatów. Tę niespodziewanie uzyskaną wiarygodność — zarówno w oczach społeczeństwa, jak i zagranicy — mogą ludzie Jaruzelskiego odnotować po stronie pozytywów.

Co po stronie negatywów? Referendum miało spełnić dwa podstawowe cele. Po pierwsze stworzyć sytuację psychologicznego szantażu wobec tych, którzy zachcą protestować przeciwko podwyżkom. Po drugie pokazać zachodnim wierzycielom, że reformy polegające na zaciskaniu pasa mogą liczyć na społeczne poparcie. Wykonanie obydwu tych założeń było od początku wątpliwe. Czy wynik referendum oznacza, iż władze rzeczywiście zrezygnują z drastycznych podwyżek cen? Śmiem wątpić. Będą jedynie wprowadzać je sukcesywnie, bardziej rozłożą w czasie.

Wzmocni się również pozycja — już i tak dość silna — tych kręgów aparatu partyjnego, administracyjnego i gospodarczego, które niechętnie przyjmują zarówno perspektywę poddania gospodarki prawom rynku, jak i wykorzystania — nawet ograniczonego — instytucji demokratycznych w rządzeniu krajem. Mają teraz dodatkowy argument: prawie 25% dorosłych obywateli biorących udział w referendum wypowiedziało się przeciwko „głębokiej demokracji życia politycznego”. Już w pierwszych wypowiedziach Urbana słychać było tę groźną nutę. Będzie się ona z pewnością powtarzać. Tymczasem wydaje się, że duża liczba głosów „nie” na to pytanie nie była rzeczową odpowiedzią na zawile pytanie, ale wyrazem dezaprobaty dla rządzącej ekipy. Świadczy o tym bardzo podobna liczba głosów w odpowiedziach na pierwsze i drugie pytanie. Po prostu ludzie nie zastanawiali się nad treścią pytań, oba skreślali.

Okazało się również, że niemożliwe jest uzyskanie aprobaty większości nawet dla szerokiej reformy bez poparcia części społeczeństwa utożsamiającej się z „Solidarnością”. Ekipa Jaruzelskiego stanęła więc wobec alternatywy: albo powrót do metod bardziej autorytarnych, a zara-

zem ostrożniejszych w dziedzinie gospodarczej, albo szukanie jakiejś formy *consensusu*, przynajmniej milczącego, z „Solidarnością” i jej zwolennikami. Wezwali już do tego czołowi doradcy „Solidarność” prof. Geremek i Jacek Kuroń, a także Lech Wałęsa.

To drugie rozwiązanie wydaje się jednak w tej chwili mało prawdopodobne — rządząca ekipa jeszcze do niego nie dojrzała. Będzie zatem próbowała robić swoje w dotychczasowym stylu, może z większą nieco świadomością grozących jej na tej drodze niebezpieczeństw. Co prawda płk Kwiatkowski źle przewidział wyniki referendum, ale jego diagnoza społeczna jest trafna, linie konfliktu czy sprzeczności przebiegają nie tyle między generacjami według wieku, lecz przede wszystkim wedle stanu majątkowego. Młodzi przechodząc na swoje zderzają się z życiem boleśnie. Starsi żyją w poczuciu zagrożenia, gwałtownie bronią tego, co już osiągnęli.

Stąd nastroje 1987 r.: „jest źle i idzie ku gorszemu”, podczas gdy w 1986 r. powiadano: „jest źle, ale oby nie było gorzej”. Czy któraś z tych grup zechce ryzykować starcie z władzą na ulicy? Tego nie da się przewidzieć. W dużym stopniu będzie to zależało od tempa degradacji ekonomicznej i społecznej. Wniosek płynący z referendum nie powinna także lekceważyć „Solidarność”. Udowodniła, że posiada jednak wpływ na zachowania społeczne. Jedna trzecia wstrzymujących się od głosowania to w dużej mierze efekt apeli o bojkot. Ci, którzy nie poszli do urn zadecydowali o wyniku. Raz jeszcze okazało się jednak, że siła „Solidarność” polega głównie na wyzwaniu biernego oporu.

Tymczasem sytuacja wymaga rzeczowego potraktowania posunięć władzy, być może nawet krytycznego wsparcia tych, które uznamy za słuszne. Konieczne jest zwłaszcza wypracowanie czytelnej strategii wykorzystywania szans, jakie otwierają nawet ulomne instytucje demokratyczne: nie tylko referendum, ale także na przykład wybory do rad narodowych i organów samorządowych, czy większe możliwości zakładania niezależnych stowarzyszeń. Przegrywając referendum Jaruzelski poniósł porażkę polityczną. Jest to fakt niewątpliwy i co by nie mówił rzecznik rządu, tej prawdy ukryć się nie da. Najbliższe tygodnie dowiodą na ile prawda ta dotrze do kierujących życiem państwa, czy z tej porażki zechcą wyciągnąć jakieś pozytywne wnioski. ■

Surrealizm polski

29 listopada 1987

Gdy w poniedziałek 30 listopada po południu ogłoszono wyniki referendum, Warszawę, a z nią zapewne całą Polskę, przeszedł dreszcz zdziwienia. Zaskoczeni ludzie słuchali płynących z radiodiodbiorników i telewizorów informacji. Dowiedzieli się, że na pytanie pierwsze „tak” odpowiedziało tylko 44% uprawnionych do głosowania, zaś na pytanie drugie — 46,29%, choć frekwencja wyborcza wynosiła 67,32%. W ten sposób społeczeństwo polskie dało ekipie rządzącej wyraźną odpowiedź, świadcząca o tym, iż proponowane reformy, zarówno gospodarcze jak i „demokratyczne” budzą poważne wątpliwości. — Kto zadaje pytanie, zwykle otrzymuje odpowiedź — skomentował to wydarzenie jeden z dziennikarzy francuskich. A następnego dnia, znawca Polski i jej historii prof. Norman Davies w swym komentarzu wygłoszonym w BBC nazwał polskie referendum wydarzeniem epokowym, oceniając je w szerszej skali. Po raz pierwszy bowiem społeczeństwo w kraju przynależnym do bloku komunistycznego zdobyło się na to, aby powiedzieć władzy „nie”. Dotychczas wszystkie wybory, plebiscyty i referenda, choć tych ostatnich było niewiele, przynosiły reżimowi spektakularny sukces.

Silne poparcie?

Tego samego wieczoru na konferencji prasowej, mniej pewny siebie, niż zwykle, rzecznik prasowy rządu J. Urban zonglując liczbami, usiłował przekonać dziennikarzy, że referendum przyniosło w rezultacie silne poparcie dla ekipy gen. Jaruzelskiego. — Dwie trzecie głosujących wypowiedziało się na „tak” — powtarzał — wyrażając tym samym swą wolę reform. — Próbował też

wmówić dziennikarzom, zwłaszcza zachodnim, żyjącym w zupełnie innych warunkach i mającym inną optykę na sprawy publiczne, że frekwencja — jak na referendum — była wyjątkowo wysoka. W tym celu operował porównaniami z referendum, jakie w swoim czasie odbyły się w Szwecji, Szwajcarii i Stanach Zjednoczonych. Paralele z wyborami w Polsce, kiedy to frekwencja wynosiła niekiedy 90%, ani nawet z pamiętnym referendum z roku 1946 zostały dyskretnie przemilczane. Rzecznik tłumaczył też, że ludzie z rozmaitych powodów, bynajmniej nie politycznych, nie uczestniczą w referendum, nie chcąc przyjąć do wiadomości, że iwią część owych 32,68% ludzi, którzy nie poszli do urn, stanowią członkowie i sympatycy opozycji demokratycznej. Z tych, którzy do urn poszli, znaczna część wchodziła za zasłonę, by skreślić „tak” raz lub dwa razy. Czynili tak, pomimo pouczeń, jakich w telewizji poprzedniego wieczoru udzielał im sekretarz Centralnej Komisji do Spraw Referendum, Jerzy Breitkopf, który zapewniał, że wchodzenie za zasłonę nie jest obowiązkowe.

Ostateczne zestawienie liczb nie wypadła dla władzy korzystnie. Na 26,2 mln uprawnionych do głosowania, na oba pytania odpowiedzieli twierdząco zaledwie 11,5 mln obywateli. Silne poparcie, o którym mówił J. Urban, okazało się w rezultacie jeszcze jednym sloganem bez pokrycia.

Nastrój konferencji zepsuły dodatkowo nieaktowne pytania dziennikarzy przybyłych z szerokiego świata i niezbyt dobrze zorientowanych w zasadach socjalistycznego *savoir vivre*. — Czy po takich wynikach referendum rząd nie obawia się jakichś demonstracji, czy też zamieszek? Czy

wojsko i milicja są w stanie gotowości? — chciał wiedzieć przedstawiciel hiszpańskiej *La Republica*. Odpowiadając Urban uśmiechnął się jedynie raz podczas tej konferencji — Nie ma takich obaw — odpowiedział — Ani takiej potrzeby. Przedstawiciel *New York Times* z kolei zapytał, czy po odniesionej porażce rząd nie zamierza podać się do dymisji, ale rzecznik prasowy wytłumaczył mu, że nie ma żadnej porażki, tylko sukces, bo rząd otrzymał silne poparcie. We wtorkowej (z dn. 1 grudnia) *Trybuna Ludu*, tuż pod komunikatem o wynikach referendum, figurowała mała notatka sygnowana przez PAP. Agencja donosiła, iż do TV telefonowało wielu widzów, którzy „Nie ukrywali swego rozczarowania wynikami. Mówili, że w okresie poprzedzającym głosowanie ludzie nie uświadamiali sobie wystarczająco, iż konieczna jest kwalifikowana większość głosów „tak”, aby wyniki były przesądzające.” Gwoli prawdy, nie kwalifikowana tylko zwykła, ponad 50%. A co do owej nieświadomości można ją również między bajki włożyć. W prasie i TV przez szereg dni szedł instruktaż tak łopatologiczny, jakby przeznaczony był dla dzieci lub osób nie będących w pełni władz umysłowych. Przedstawiono też udział w referendum jako obowiązek obywatelski, nie zaś dobre prawo, z którego obywatel może, lecz nie musi skorzystać.

Chcesz głodować, idź głosować

Przygotowania do referendum trwały przez wiele tygodni, a zakrojona na szeroką skalę natrętna propaganda, mająca zachęcić obywateli do udania się do urn, wciskała się nie tylko do każdej fabryki, czy biur, ale i w prywatnych mieszkań. Nie można było otworzyć ani radia, ani telewizora, aby nie słyszeć o najnowszym demokratycznym wynalazku ekipy gen. Jaruzelskiego, który oficjalnie sygnował Sejm zarządzając referendum, a następnie uchwalając pytania. W ostatnich dniach armia nadzorców i rozmaitych urzędników roznosiła do mieszkań specjalne wezwania przypominające o referendum, z podaniem numeru, pod którym dany obywatel figurował w spisie wyborców.

Miasta zaśmiecono plakatami popularyzującymi referendum. Nikt się przed nimi nie zatrzymywał. Plakaty te, zrywane nocą, w dzień uporczywie powracały na swoje miejsca. Na referendum wydano, wedle oficjalnych danych, miliard złotych, w rzeczywistości zapewne znacznie wię-

cej, a na rozmaite ulotki, plakaty i wydawnictwa propagandowe nie zabrakło papieru, którego nie ma na druk książek i podręczników. Do zorganizowania całej imprezy zaangażowano ogromną rzeszę ludzi. W skład wszystkich komisji wyborczych w kraju weszło ponad ćwierć miliona obywateli, niezależnie od mobilizacji innych służb, jak choćby milicji, od której zaroiloły się ulice miast. Na próbnym referendum, które o tydzień wcześniej odbyło się w Garwolinie, sprowadzono 1500 funkcjonariuszy!

Cała ta gigantyczna machina nie zdołała jednak wzbudzić w społeczeństwie zainteresowania dla referendum, przeciwnie, zmuciła je i znudziła a vomir, jak powiedziałą Francuzi. Polskie referendum wzbudziło znacznie większe zainteresowanie za granicą niż w kraju, co zaobserwowali niektórzy cudzoziemscy obserwatorzy. Świadczy o tym choćby fakt, że do PRL zjechało się ponad 200 dziennikarzy zagranicznych i kilkanaście ekip telewizyjnych.

Tymczasem ludzie w kraju okazywali obojętność i niechęć wobec „historycznego” wydarzenia, albo po prostu je wyśmiewali. Przyczyniły się do tego wyjątkowo niemądre sformułowane pytania. Odpowiedź na nie z góry pozbawiona była merytorycznego znaczenia i wyrażać miała jedynie poparcie dla władzy. Toteż Lech Wałęsa określił je jako wręcz obraźliwe dla polskiego społeczeństwa.

Pytania stały się więc doskonałą pożywką dla żartów, które w dniach poprzedzających referendum rodziły się jak grzyby po deszczu. Rozpoczął się też mecz hasel — „Tak dla naszej przyszłości” — krzyczał napis zajmujący cały ekran TV. „Chcesz poprawy swego losu, nie zapomnij oddać głosu” — nawoływały hasła na plakatach i transparentach. Opozycja demokratyczna odpowiedziała również hasłami: „Chcesz głodować, idź głosować” (Gdańsk) i parodiowaniem pytań. — Czy chcesz być piękny, młody i bogaty? — żartowano w Krakowie. — Czy chcesz, żeby gen. Jaruzelski został królem Polski i żeby było wspaniale? — śmiała się wrocławska młodzież. — PZPR na Madagaskar! — wołano podczas manifestacji. — To nie jest zbyt okrutne — skomentował spiker polskiej sekcji RFI — przynajmniej jest tam ciepło!

W całym tym wrzasku ludzie niewiele rozmawiali o referendum, a przynajmniej nie rozmawiali poważnie. Raczej powtarzano sobie krążące

plotki i zastanawiano się nad sytuacją w kraju. W znaczenie plebiscytu nikt nie wierzył, niemniej niektórzy nie ukrywali, że pójdą oddać głos. — Moja córka wybiera się na uniwersytet — tłumaczyła z pewnym zażenowaniem urzędniczka, z którą rozmawiałem — Postawią mnie i mężowi haka i dziewczyna się nie dostanie. — Stolarz zatrudniony w administracji domów mieszkalnych też się wybierał. — A może jednak potem będzie lepiej? — zastanawiał się — Bo tak jak jest teraz wytrzymać trudno. A zresztą, co mi to szkodzi? — jak mówią, że trzeba iść, no to pójdę — wyznaje emerytka. — Wie pan, niektórzy opowiadają, że tym co nie będą głosować nie dadzą rekompensaty.

Inni obrażali się, słysząc pytanie, czy wybierają się do urn. — Za kogo pan mnie bierze? — starsza pani odwróciła się plecami. — Już lecę — odparła inna — pójdę o szóstej rano, albo może jeszcze wsześniej, żeby ustawić się w ogonku — i wybuchła hałaśliwym, niedobrym śmiechem. — Nikt mnie o nic nigdy nie pytał — z godnością odpowiedział kto inny. — Ani kiedy brali pożyczki, ani kiedy wprowadzali stan wojenny. Teraz nie będę odpowiadał na głupie pytania.

Tylko telewizja w swoich ulicznych sondażach trafiała nieodmiennie na gorących zwolenników referendum. — Pójdę oczywiście — odpowiada zagadnięty. — A jak będzie pan (pani) głosować? — Na „tak” oczywiście — Dlaczego? — Żeby było lepiej. — Inny wariant: — Odpowiem „tak”, bo rządowi trzeba ufać — lub zgola naiwnie — Żeby nie stać w kolejkach. — Ta ostatnia odpowiedź nie powinna właściwie dziwić. Kolejki są zmurą codziennego życia, referendum zaś reklamowano jako przełomowy moment, po którym, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wszystko zacznie iść ku lepszemu. Choć oczywiście nie od razu.

Władze mówiły o trudnej reformie, o drakońskiej podwyżce cen w 1988 r. Ta ostatnia zapowiedź podziałała natychmiast. Rozpoczął się run na sklepy, który po referendum bynajmniej nie zwolnił tempa. Ludzie przestraszeni widmem podwyżki kupowali wszystko, co wpadło im w ręce. W Warszawie w ciągu dwóch czy trzech tygodni wykupiono wszystkie meble, pralki, lodówki, telewizory, półki z tkaninami świecą pustkami, często w sklepach brakowało cukru, ryż dawno zniknął, jak woda słyły antyki. Niewiele osób sięgało wyobraźnią w przyszłość, zapanowała ogólna

niepewność, jak i z czego będzie się żyć. Nowych cen nie podano do wiadomości publicznej.

„Jakże można to zrobić — powiedział Urban — skoro ludzie i tak rzucają się na sklepy.” Ale nowe cenniki od pewnego czasu krążyły po mieście budząc panikę, dotarły nawet w kuluary Sejmu właśnie podczas wybierania Rzecznika Praw Obywatelskich. Nieoceniony Urban oświadczył wprawdzie, że tych cenników jeszcze nie ma, nie można ich było więc wydrukować, ale jakże w to wierzyć, kiedy niemal każdy ma już znajomego, który ich dotknął. — Wierzę w wiadomości tylko dementowane — zauważył słusznie Tayllerand. Znaczna podwyżka cen i zaciskanie pasa — oto co większość ludzi rozumiała z projektów reformy gospodarczej. Jest to zrozumiałe, reforma jest tak zawiła, że gubią się nawet ekonomiści. Wielu z nich wypowiada się zresztą o niej bardzo krytycznie, jak np. prof. Wilczyński na krakowski Zjeździe Ekonomistów, który odbył się bezpośrednio przed referendum, czy znany ekspert Ryszard Bugaj.

Skuteczność reformy jest nader wątpliwa. Co myśleć bowiem o likwidacji deficytowych przedsiębiorstw, skoro deficytowe są największe huty i stocznie pracujące dla wschodniego sąsiada? Tylko podwyżki cen są pewne. Tyle wie o planowanych zmianach w gospodarce przeciętny Polak, z niepokojem patrzący w przyszłość. Stąd też zapewne i nowe związki zachowały się powściągliwie podkreślając, że mają zastrzeżenia. Choć zachęcały swoich członków, aby szli do urn, nie ukrywano, że rozmowy o cenach pomiędzy partnerami, czyli związkami a rządem, rozpoczęła się po referendum.

Beznadzieja i groteska

Kampanii wokół referendum towarzyszyły w ostatnich tygodniach rozmaite wydarzenia życia politycznego, które trudno uznać za symptomy pomyślnych zmian przygotowywanych przez władzę. Socjalistyczna demokratyzacja, za którą mieli opowiedzieć się wyborcy, nie mając zresztą wiele wspólnego z demokracją w znanym znaczeniu tego słowa, malowała się w niezbyt jasnym kolorach. Atmosferę gorszyła też wiadomość o posiedzeniu Komitetu Obrony Kraju, którą podano równocześnie z zapowiedzią podwyżek. W sprawozdaniu znalazła się wzmianka, że omawiano zabezpieczenie ważnych obiektów prze-

mysłowych. Wyłoniło się pytanie: przed czym? Równocześnie też gruchnęły pogłoski, że władze przygotowane są do ogłoszenia stanu wyjątkowego i w razie, gdyby...

Tymczasem przedstawiciele ekipy rządzącej nie przestawali mówić o pluralizmie, zastrzegając się jednak, że w żadnym wypadku nie widzą pola działania dla NSZZ „Solidarność”, ani możliwości powstania innych wolnych związków. Z licznych wypowiedzi gen. Jaruzelskiego, a także J. Urbana, wynikało, że „Solidarność” przestała nie tylko istnieć, ale i liczyć się w życiu kraju, zaś z kierownictwem związków, które ogłosiło bojkot referendum, a wcześniej poparcie dla restrukturyzacji amerykańskich, rząd rozmawiać nie zamierza.

Oba te argumenty oczywiście nie są prawdziwe. „Solidarność” nie ogłosiła bojkotu, a jedynie swój brak zainteresowania dla referendum. Od dawna też odstąpiła od popierania sankcji przeciwko Polsce, a nawet prosiła o ich zniesienie, co zresztą nie wszyscy członkowie związku uważali za słuszne. Nie prawda jest jednak ważna, ale mające ją zaciemnić pozory.

Nie tylko zresztą na przykładzie „Solidarności” można było się przekonać, jak władze w rzeczywistości rozumieją pluralizm. Powstała w dniu 15 listopada w Warszawie reaktywowana PPS uznana została natychmiast za organizację nielegalną, a zebrania jej członków-założycieli i konferencje prasowe kilkakrotnie rozpędzono, zatrzymywano też niektórych działaczy. Powstałe w Warszawie Towarzystwo Gospodarcze nie uzyskało rejestracji pod pretekstem, iż przyświecają mu polityczne cele. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich ponownie spotkało się z odmową rejestracji, tym razem już w drugiej instancji na mocy decyzji Ministra Spraw Wewnętrznych. Padło też kilkanaście odmów rejestracji związków zakładowych „Solidarność” na szczeblu zakładu pracy, a rewizje w Sądzie Najwyższym, których kilka odbyło się w listopadzie, czyli tuż przed referendum, zakończyły się przegraną komitetów założycielskich (m.in. w takich przedsiębiorstwach, jak warszawski „Ursus”, wrocławski „Polar”, Politechnika Szczecińska i in.).

Równocześnie też nasiliły się represje polityczne. Znowu zaczęto aresztować i skazywać na więzienia członków WIP, odmawiających złożenia przysięgi wojskowej, choć w poprzednich miesiącach kierowano ich, aczkolwiek niechętnie, do

służby zastępczej. Doszło też do aresztowania Kornela Morawieckiego i jego współpracownicy Hanny Łukowskiej-Karniej, dolnośląskich założycieli „Solidarności Walczącej”, a także Jana Andrzeja Górnego.

W więzieniach przebywa znowu ok. 20 więźniów sumienia, którym władze śledcze dla niepoznaki stawiają zarzuty natury kryminalnej. Działacz „Solidarności” z Wybrzeża, Bogusław Szybalski, siedzi na przykład po zarzucie próby przekupienia funkcjonariusza MO. Krzysztofa Wolfa oskarżono o pobicie milicjanta, gdy tymczasem on sam został ciężko pobity podczas zatrzymania, nawet groźni terroryści Kornel Morawiecki, Hanna Łukowska i ich rzekomy współpracownik z Wybrzeża Krzysztof Szymański, przebywają w areszcie pod zarzutem z ustawy karnodewizyjowej.

Dzięki takim manipulacjom, Urban mógł poinformować w listopadzie dziennikarzy zagranicznych, że w PRL nie ma ani jednego więźnia politycznego.

We Wrocławiu doszło też do nowego aktu esbeckiego terroryzmu. 2 listopada został wprowadzony uczeń szkoły samochodowej, Dariusz Bogdan. Chłopca pobito i obezwładniono na ulicy, gdy szedł do szkoły, po czym przemocą wciągnięto go do pomarańczowego Poloneza. Samochód zaopatrzonego w radiostację, z czterema mężczyznami i D. Bogdanem w środku, odjechał w kierunku Trzebnicy. Jeden z napastników wyrzucił na jezdnię zeszyty i książki mówiąc, że nie będą mu już potrzebne. Po zatrzymaniu samochodu w lesie, polecono chłopcu wykopać sobie grób. Następnie nieznanymi porzucili go i odjechali.

Wydaje się zrozumiałe, że w takiej sytuacji panującej w kraju, „Solidarność”, najbardziej umiarkowana z ugrupowań opozycyjnych, opowiedziała się za ignorowaniem referendum, podczas gdy inne organizacje, jak „Solidarność Walcząca”, KPN, WIP, a nawet nowo powstała PPS wezwały wręcz do bojkotu plebiscytu. W ulotkach wydanych w Nowej Hucie i w Lublinie robotnicy nazwali referendum farsą, zorganizowaną przez ekipę W. Jaruzelskiego. Trudno oczywiście określić, jaki wezwania te miały wpływ na społeczeństwo, pewne jest jednak, że nie pozostały bez echa. Znaczną zapewne rolę odegrało też milczenie Kościoła. Niedawna konferencja Episkopatu

nie ustosunkowała się w ogóle do referendum, ogłaszając tym samym swoje desinteressement.

Apelom i hasłom w ostatnich dniach przed referendum towarzyszyły też pokojowe demonstracje. W Lublinie i Krakowie zorganizowała je KPN, we Wrocławiu — Pomarańczowa Alternatywa, ruch młodzieżowy, w którym uczestniczą studenci, członkowie „Solidarności”, WIP i młodzi aktorzy, nadający manifestacjom niepowtarzalną oprawę. Młodzież ta wnosi do ponurej peerelowskiej rzeczywistości odrobinę gorzkiego humoru, wykorzystując dla swych celów happening i groteskę. Na dwa dni przed referendum wrocławianie mogli przyjrzeć się kolejnej manifestacji. Młodzież wyległa na ulice śródmieścia Wrocławia w zgrzebnych workach i podartych szmatach z pustymi garnkami i patelniami w ręku, odgrywając na nich koci koncert. Hasła, które wznosili brzmiały prorządowo. — „Wrocław głosuje w 101%” — „Jaruzelski królem Polski” — „To my zaciągnęliśmy kredyty” — wołali — „To my je przejedliśmy!”. „Nasza wina! Nasza wina!” — powtarzali uderzając się w piersi. Obserwując manifestację MO i SB nie mogły ścierpieć tej porcji drwiny, wkroczyły bowiem do akcji rozpędzając zgromadzonych. Zatrzymano szereg osób, m.in. Władysława Frasyniuka i jego żonę, Zuzannę Dąbrowską, działaczkę Pomarańczowej Alternatywy, a ostatnio i PPS. Podczas zatrzymania pobito dotkliwie studenta Dominika Szymańskiego, który przebywa w szpitalu.

O manifestacjach tych i protestach prasa, radio i telewizja nie wspomniały oczywiście ani słowem. Do ostatniej chwili publicznie wypowiadać się mogli tylko zwolennicy referendum i reform.

Honor Garwolina

Pierwszym sygnałem porażki, jaka spotkała władzę, było próbne referendum w Garwolinie, zorganizowane w dniu 22 listopada, a więc w niedzielę poprzedzającą prawdziwe wybory. Referendum to przygotowywano przez cały tydzień, nie szczędząc trudów ani kosztów. Do Garwolina zjechała ekipa telewizyjna. Miasto wypucowano jak się patrzy, do sklepów wstawiono kolorowe telewizory ku uciesze dzieci i gawiedzi, a reporterzy teleiwizji rozrywali się wprost, odwiedzając miejscowe zakłady pracy i mieszkania, agitując i przeprowadzając rozmowy z mieszkańcami. Na-

mawiali ich do wypowiedzi przed kamerami tłumacząc, że to świetna okazja do pokazania się z całą rodziną i zwrócenia na siebie uwagi.

W dniu próbnego referendum, na ulicach miasta rozstawiono kioski z atrakcyjnymi artykułami, rzecz jasna w pobliżu punktów wyborczych. Oto opowieść jednej z mieszkanki miasta: „W niedzielę poszłam, jak zawsze, z rodziną na mszę. Gdy wychodziliśmy z kościoła, od razu rzucił się nam w oczy oblepiony plakatami ruchomy punkt wyborczy, ustawiony w samochodzie, akurat naprzeciw wyjścia. Obok w kiosku sprzedawano czekoladę bez katek i inne słodczyce, o których kupieniu normalnie nie można nawet marzyć. Tłum wysypał się z kościoła omijając zarówno punkt wyborczy jak i kiosk. My, w Garwolinie, mamy swój honor.”

W przeddzień próby, do Garwolina przyjechali J. Urban i K. Barcikowski, by spotkać się z wyborcami — obaj łagodni, wychodzący naprzeciw, tolerancyjni i uśmiechnięci. I to jednak zawiodło. Frekwencja na próbnym referendum wyniosła 62,4%, dwa razy „tak” odpowiedziało 57,4% wyborców. Spodziewano się zapewne wyników znacznie lepszych, skoro TV i prasa nabrały natychmiast wody w usta. O Garwolinie mówić przestano. — Garwolin to twarde miasto — powiedział jeden z mieszkańców. — U nas w roku 1982 toczyła się zawzięta wojna o krzyże w klaszrach szkolnych. Może dlatego padł właśnie wybór na nas, żeby pokazać, żeśmy zmiękli?

Tere-fere-referendum

Dzień właściwego referendum przyniósł dalsze rozczarowania. Ulice miast były raczej puste, dalekie od odświętnego nastroju. TV przez cały czas mówiła o referendum pokazując dla przykładu przywódców ekipy u urn. A to W. Jaruzelskiego z żoną Barbarą, już o dziesiątej rano przybyłych do urn w Starej Królikarni, a to premiera Z. Messnera z żoną Ireną, to znów M. Rakowskiego i Malinowskiego (bez żon) itd. Jerzy Adamski, prezes Towarzystwa „Polonia” przyłapany przez pilnych reporterów oświadczył z dumą — Jestem tak wychowany, że gdy mnie ktoś pyta, nie odwracam się plecami, odpowiadam — wyrecytował, czyniąc aluzję do postawy opozycji.

Pomimo to, w Warszawie zwłaszcza w dzielnicach robotniczych, lokale wyborcze świeciły pustkami, a tłoku nie było nigdzie. Niektórzy wy-

borcy żywo protestowali, gdy chcieli ich ująć kamery telewizyjne. Przyszli oddać głosy, ale najwyraźniej się tego wstydzi. Głosowałem — zwierzył się pewien urzędnik. Po co się narażać w pracy? Tyle, że nic nie skreśliłem, tylko między pytaniami postawiłem literę „l”. — Tak i nie? — zdziwiłem się. — Ano właśnie. pytania budzą wątpliwości, a do „nich” nie można mieć zaufania.

Przez cały dzień TV relacjonując głosowanie w całej Polsce starała się utrzymać swych widzów w przekonaniu, że wszystko przebiega zgodnie z planem i zwycięstwo jest tuż, tuż. Wczesnym popołudniem Urban odbył konferencję prasową z dziennikarzami zagranicznymi, na której poinformował ich, że głosowanie przebiega pomyślnie, w kraju zaś panuje całkowity spokój. Około godziny 16-tej przed kamerami wystąpił przew. Centralnej Komisji d/s Referendum prof. Adam Łopatka, który oświadczył, że większość uprawnionych oddała już głosy, a w 99 obwodach dyżury zakończono wobec zgłoszenia się wszystkich wyborców. Dodał też, że na Gdańskiej Zaspie i we Wrocławiu przed lokalami wyborczymi utworzyły się kolejki; na Śląsku górnicy przychodzili do urn całymi rodzinami; wychowankowie Szkół Podchorążych głosowali w historycznych mundurach z 1830 r., zaś na wsi oddziały ochotniczej straży pożarnej zgłaszały się do lokali wyborczych in corpore, aby dać wyraz.

Informacje te nie były prawdziwe. Już w godzinach przedpołudniowych doszło do zamieszek w Gdańsku, w pobliżu stoczni im. Lenina, gdzie po mszy w kościołach zebrał się mniej więcej trzytysięczny tłum, pragnąc przedostać się pod pomnik Ofiar Grudnia 1970 r., do czego nie dopuściły oddziały ZOMO. Doszło do starć, byli ranni i zatrzymani. W Krakowie, gdzie tego samego dnia KPN zorganizowała obchody związane z rocznicą wybuchu Powstania Listopadowego, w pobliżu klasztoru Dominikanów urządzono własne referendum, również z dwoma pytaniami. Pierwsze brzmiało: Czy chcesz Polski komunistycznej? — Nie — wołali zebrani. Drugie: Czy chcesz Polski wolnej i niepodległej? — Tak! W Nowej Hucie rozdawano ulotki wzywające do bojkotu referendum, podobnie jak w Lublinie. We Wrocławiu młodzież manifestowała w centrum miasta zadając m.in. pytanie: Czy chcesz, aby obiady stołówkowe kosztowały 1000 zł, czy 2000 z rekompensatą 1000? — W Warszawie odbyły się aż trzy manifestacje. Jedna przed południem na Grochowie zor-

ganizowana przez KPN i WiP w pobliżu Duszpasterstwa Ludzi Pracy, gdzie lansowano nowe hasło — Te referendum — które korespondenci zagraniczni (zapewne przy pomocy polskich tłumaczy) zrozumieli jako „tere-fere referendum”. MO rozpedziła studentów spacerujących z trumną po Starym Mieście. Wieczorem na placu przed kościołem pod wezwaniem św. St. Kostki doszło do manifestacji po tradycyjnej już Mszy za Ojczyznę. Ożyły też hasła z 1982 i 83 roku; — „Chcemy Lecha nie Wojciecha” — „Nowe związki na Powązki” — Były i nowe, ostrzejsze: „Bolszewicy do kostnicy”, „Urban do ZOO”. Znów doszło do starć, pałowania, zatrzymań.

A nazajutrz Polska dowiedziała się ze zdziwieniem, ale bez oznak satysfakcji i raczej z objętnością, że referendum się nie udało. Taką właśnie reakcję spowodowało zmęczenie sytuacją, w której nie widać perspektywy zmian na lepsze. Władza okazuje upór w swej niechęci do wprowadzenia demokratycznych (nie demokratyzujących) reform. A społeczeństwo jest bardzo znękanе i przestraszone wizją niepewnego jutra. Wieczorem 1 grudnia telewizja podała, że zebrało się biuro polityczne PZPR i doszło do przekonania, że zamierzone reformy wymagają modyfikacji. Reformowaniem reform ma wkrótce zająć się Sejm. Lech Wałęsa oceniając referendum powiedział, że jest ono wyrazem dezaprobaty dla polityki władz. Rzecznik prymasa Glempa odmówił odpowiedzi na pytanie dziennikarzy zachodnich czy prymas wzięł udział w referendum.

W Warszawie, jak to zwykle bywa, posypały się rozmaite komentarze, snuto też spekulacje. Niektórzy uważali, że odpowiedzi odmownych na pytanie drugie referendum udzieliłi urzędnicy i funkcjonariusze zadowoleni ze status quo i lękający się wszelkich zmian, choćby pseudo-demokratycznych, mogących zachwiać ich statusem. Znaleźli się i tacy, którzy wyrażali przekonanie, że wyniki referendum były takie, jakich chciała władza. Czy nie można było, jak zawsze, sfałszować wyników głosowania? — pytali retorycznie. Inni odpowiadali, że i tak zapewne są retuszowane, trudno było bowiem w pełni okazać rozmiary porażki. Wszyscy byli zgodni co do jednego: największy i paraliżujący wszystko problem, z jakim boryka się Jaruzelski i jego ekipa — brak wiarygodności — jest wciąż żywy. Może więc referendum było „ostatnim ostrzeżeniem” — jak określił je Lech Wałęsa w wywiadzie dla *Paris Soir*. ■

Morawiecki aresztowany

Jak poinformował rzecznik prasowy rządu PRL, Jerzy Urban, 9.XI. br. aresztowany został we Wrocławiu Kornel Morawiecki i Hanna Ł. (chodzi tu o także ukrywającą się Hannę Łukowską-Karniej, podejrzaną od dawna przez SB o bliską współpracę z Kornelem Morawieckim) — *Tygodnik Mazowsze*, nr 206, z dn. 8.1.87

Kornel Morawiecki, delegat na I Krajowy Zjazd NSZZ „Solidarność” z regionu Dolnego Śląska, pełnił do grudnia 1981 r. funkcję redaktora naczelnego wydawanego poza zasięgiem cenzury *Biuletynu Dolnośląskiego*. We wrześniu 1981 r. został aresztowany za przedrukowanie w tym piśmie odezwy Organizacji Solidaryistów Rosyjskich (NTS) do stacjonujących w Polsce żołnierzy radzieckich w sprawie nieuzywania przez nich broni przeciwko Polakom. Zwolniony pod naciskiem opinii publicznej odpowiadał z wolnej stopy. Po 13 grudnia 1981 r. ukywał się, prowadząc w podziemiu aktywną działalność związkową. Do połowy 1982 r. sprawował ogólny nadzór nad głównym piśmie regionu pt. *Z dnia na dzień*, organem Regionalnego Komitetu Strajkowego (RKS-Dolny Śląsk), kierując jednocześnie sprawami informacji i propagandy w całym regionie dolnośląskim. W wyniku odmiennych od przewodniczącego regionu — Frasyńki poglądów na sprawę taktyki walki zepchniętego do podziemia Związku o prawo legalnego działania, Kornel Morawiecki zrezygnował w czerwcu 1982 r. z zajmowanych stanowisk w RKS-ie i wraz ze zwolennikami bardziej stanowczych postaw stworzył nowe pismo pt. *Solidarność Walcząca*, a wkrótce potem organizację o tej samej nazwie, która szybko rozrastała się, ogarniając swoim zasięgiem wiele regionów kra-



ju. Oddziały SW znajdowały się m.in w Gdańsku, Lublinie, Poznaniu, Toruniu, Lesznie i na Pojezierzu Warmińskim. Kornel Morawiecki uważany był za najbardziej poszukiwanego przez milicję człowieka w Polsce.

(*Tygodnik Mazowsze*, nr 193, 7.1.87)

GŁOSY O ARESZTOWANIU KORNELA MORAWIECKIEGO

Jan Lityński: Milicja aresztowała przywódcę „Solidarności Walczącej”, delegata na zjazd „Solidarności” — Kornela Morawieckiego. Jak zwykle w takich wypadkach skonstruowała fałszywy zarzut o charakterze kryminalnym. Pod takimi samymi pretekstami są osadzeni w więzieniach Bogusław Szybalski z Elbląga i Krzysztof Szymański z Gdańska. Są oni oskarżeni o handel i przemyt. „Solidarność” będzie walczyła o uwolnienie Kornela Morawieckiego i wszystkich więźniów politycznych w PRL.

Regina Lityńska: Jestem przeciwna aresztowaniu ludzi, którzy nie popełniają przestępstw pospolitych.

Andrzej Gwiazda: Aresztowanie Kornela Morawieckiego jest dla nas wielką stratą. Mam

nadzieję, że w obronie Kornela Morawieckiego zaangażuje się więcej działaczy opozycji niż to miało miejsce przy poprzednich aresztowaniach. Kornel Morawiecki jest ojcem duchowym „Solidarności Walczącej”.

„Solidarność Walcząca” przyjęła taką nazwę ze względu na przeciwieństwo do TKK, wychodząc z założenia, że w takich warunkach negocjacje z komunistami są bezsensowne. Ostatnie siedmioletnie wciąż potwierdza słuszność też „Solidarności Walczącej”.

Obrona uwięzionych powinna być tym silniejsza, im większe są postawione im zarzuty. Obronę uwięzionych uważam za podstawowy obowiązek organizacyjny, który nakłada na nas używanie nazwy „Solidarność”.

Apeluję do wszystkich ludzi dobrej woli na świecie, aby zrobili wszystko na co ich stać, ażeby Kornel Morawiecki jak najszybciej opuścił mury więzienia.

Zbigniew Romaszewski: Aresztowanie Kornela Morawieckiego, przewodniczącego „Solidarności Walczącej” jest ogromną stratą dla ruchu opozycyjnego w Polsce. Jeśli chodzi o „Solidarność Walcząca”, to walcząc o te same cele co „Solidarność”, szczególnie silnie akcentuje niezawisłość i niepodległość Polski.

„Solidarność Walcząca” uważa również, że realizacja demokracji w Polsce związana jest z szeroką współpracą grup opozycyjnych obozu socjalistycznego. Stąd też jej inicjatywy wrócone do żołnierzy radzieckich, a także Ukraińców, Białorusinów, Litwinów i Czechów.

W swej koncepcji walki o wolność, demokrację i prawa człowieka, „Solidarność Walcząca” wbrew propagandzie nie uznaje przemocy, jako środka walki. Uważa natomiast, że w warunkach użycia przemocy przez władzę, może zostać do tego zmuszona.

OŚWIADCZENIE

W dn. 9.11.1987 aresztowany został Kornel Morawiecki, członek NSZZ „Solidarność” i delegat na Zjazd Związku z Regionu Dolny Śląsk. Od momentu ogłoszenia stanu wojennego (13.12.1981) ukrywał się i działał w podziemiu. W roku 1982 był współzałożycielem organizacji „Solidarność Walcząca”, której został przewodniczą-

cym. „Solidarność Walcząca” jest organizacją wykraczającą swymi celami poza działalność czysto związkową i jednoznacznie odżegnuje się od terroryzmu — od zasady, że cel uświęca środki. Jednocześnie jest organizacją utrzymującą kontakty z grupami opozycyjnymi w innych krajach obozu sowieckiego, zdając sobie sprawę z tego, że wspólnie łatwiej będzie wydobyć się spod jarzma komunizmu.

Wraz z Kornelem Morawieckim aresztowana została Hanna Łukowska-Karniej, matka trojga dzieci, wielokrotnie przesłuchiwana, szykanowana, aresztowana i poszukiwana listami gończymi.

Kornelowi Morawieckiemu zostały postawione przez rzecznika prasowego rządu PRL, w perfidny i cyniczny sposób oskarżenia natury kryminalnej, za które grozi wieloletnie więzienie z karą śmierci łącznie.

W związku z powyższym zwracamy się do wszystkich rządów państw wolnego świata, polityków, związków zawodowych, organizacji obrony praw człowieka, polskich organizacji emigracyjnych i wszystkich ludzi dobrej woli o podjęcie wszelkich możliwych środków na rzecz uwolnienia aresztowanych.

W celu zapewnienia opieki prawnej, pomocy materialnej rodzinom aresztowanych, wysłania obserwatorów zachodnich na ewentualny proces, itp. — postanowiliśmy ogłosić akcję:

„SOS DLA SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ” !!!

Wszelką pomoc prosimy przekazywać na podany adres i konto bankowe z dopiskiem: „SOS dla SW”.

za przedstawicieli
„Solidarności Walczącej”
na Zachodzie
Andrzej Wirga

**Adres: Kämpfende Solidarität,
Andrzej Wirga,
Berliner Str. 61, 6500 Mainz,
tel. 06131/57 32 34.**

**Konto: Mainzer Volksbank e.G.,
BLZ 551 900 00, nr 219 970 019.**

Rozmowa Z Jadwigą Morawiecką

„Pogląd”: Zaczniemy może od początku... o postawie Kornela wobec innych ludzi, ludzi nazywanych niejednokrotnie „marginesem społecznym”, obok których się przeważnie przechodzi obojętnie, nie zwracając na nich uwagi...

Jadwiga Morawiecka: Dobrze. Chciałabym jednak podkreślić, że Kornel uważał, iż są to rzeczy tak bardzo naturalne i powinny człowiekowi; nie lubił o tym opowiadać i teraz mówiąc o tym, postępuje właściwie wbrew jego woli...

Nie wiem, co ludzie z zewnątrz o nim wiedzą, bo obracamy się w gronie przyjaciół, którzy go bardzo lubią... właściwie kochają. Kiedyś jedna ze znajomych powiedziała: ja przecież tego Kornela kocham!

Może powiem parę słów o samym początku naszego bycia razem. To, co w Kornelu było takie urzekające dla mnie, to było jego myślenie o świecie, o ludziach, o życiu, takie absolutne niemyślenie o sobie, nieprzywiązywanie wagi do spraw bytowych, materialnych, natomiast bardzo poważne zastanawianie się nad różnymi wymiarami życia ludzkiego; jego ogromna wrażliwość na los każdego człowieka, szczególnie na ludzi jakoś pokrzywdzonych, na krzywdę w każdym wymiarze — indywidualnym, rodzinnym, społecznym. Może opowiem o tym, co mi najbardziej utkwilo w pamięci, dlatego że to stanowiło kontrast do tego, w czym byłam wychowana. Kornel natomiast odnosił się do tzw. ludzi z marginesu z

głębokim szacunkiem, każdemu napotkanemu — nie szukał ich — ale każdemu napotkanemu poświęcał maksimum uwagi, oceniał możliwość przyjęcia mu z pomocą i... robił to.

Cieszyłam się, że uczę się czegoś takiego od męża. Spotkaliśmy na przykład pijaka, który co kroku padał i widać było, że gdzieś usiłuje dojść. Mąż zapytał go, dokąd chce iść, on oznajmił, że do pobliskiego słupa... 3 metry może było do niego. No to dobrze, to dojdziemy do słupa. No i doszliśmy, wtedy ten człowiek się go chwycił i zaczął pomalutku odpowiadać na pytania męża.

Dowiedzieliśmy się, że mieszka gdzieś tam pod schodami, czuć było od niego denaturat, widać było, że jest zupełnie zatruty, oczy miał błędne. Taki wygląd, zapach — odrażające. No i wprowadziliśmy go do domu. Jakiś czas był u nas, potem mąż załatwił mu miejsce w szpitalu. W międzyczasie wystarał się dla niego o dom opieki społecznej. I coś takiego charakterystycznego, co zapamiętałam, to rozmowa z młodym lekarzem ze szpitala, któremu mąż dziękował za opiekę nad tym człowiekiem. Lekarz powiedział do Kornela: „To ja powinienem panu podziękować za to, co pan zrobił”. Był to pierwszy taki przypadek, ale było ich wiele i Kornel zawsze tak bardzo autentycznie starał się pomóc. Cieszyłam się, że mogę się właśnie tego od Kornela nauczyć, bo tego nie umiałam...

— Jak widać, pomoc jednostkowa jest bardzo trudna i, jak wiadomo, nie zawsze daje

pozytywne rezultaty. Sama pomoc ludziom przecież nie wiele daje, kiedy stosunki społeczne są niewłaściwie...

— Kornel był na pewno tego świadom. Niejednokrotnie mówił, że owszem, działalność charytatywna jest potrzebna, ale jest to sprawa, która może toczyć się równolegle, winna jednak mieć znaczenie i miejsce uboczne. Uważał natomiast, że każdy człowiek powinien przede wszystkim przyczynić się do tego, żeby układy międzyludzkie były lepsze, bardziej normalne. Kornel miał dużą świadomość panującego zła społecznego, w skali zarówno światowej, międzynarodowej, międzysystemowej. Bardzo dużo czytał na te tematy i myślał. Nieraz, jak mu mówiłam: No wstań już, bo nic nie robisz? — on odpowiadał: „Żono, ja myśnię!”

— W 1968 roku Kornel w sposób czynny włącza się w ruch protestów studenckich. Organiza się w druk.

— To nie było drukowanie, tylko odbitki fotograficzne. Oczywiście nie były to tysiące egzemplarzy, tak jak teraz, ale setki były.

Może opowiem taką ciekawostkę, świadcząca o szaleństwie m.in. i Kornela. Chodziło o sposób rozrzucenia ulotek. Robili balon, który im się jednak nie udał... Ten balon kleili... z gazet, no i podgrzane powietrze miało unieść go w górę z ulotkami... Pamiętam, śmiechu było co niemiara... Stanęło na roznoszeniu, ale już przez znaczną grupkę osób, które włączyły się do kolportażu.

— W sierpniu 1968 była agresja na Czechosłowację...

— Byliśmy wtedy na urlopie u znajomych. Kornel postanowił coś zrobić. Z synem gospodarzy wzięli farby, pojechali do pobliskich Obornik i tam na murze dworca kolejowego wymalowali

czerwoną gwiazdę i swastykę, a między nimi znak równości oraz napis: „Ręce precz od Czechosłowacji”. Udało im się szczęśliwie wrócić do domu. Nazajutrz z wózkiem i z dzieckiem pojechali do Obornik posłuchać, co ludzie mówią... Dowiedziałam się, że na razie sprawców nie wykryto. Długi czas nie wolno było tego napisu zamalowywać, bowiem specjalna komisja miała z Wrocławia przyjechać go sfotografować. Ludzie opowiadali, że dużo pociągów zatrzymywało się tam, maszyniści widocznie specjalnie przyhamowywali pociągi, żeby ludzie jadący zobaczyli ów napis. Dowiedziałam się też, że jeden z pociągów wiozł żołnierzy radzieckich z Legnicy i też bardzo wolno przejechał wzdłuż owego muru z napisem.

— **Nadszedł rok 1979, w którym założono „Biuletyn Dolnośląski”.**

— To już było w czasie, kiedy znana nam była działalność KOR-u i kiedy w obiegu było już dużo „bibuły”...

— ...Kornel trafił do „Biuletynu Dolnośląskiego”, który po jakimś czasie z biuletynu KOR-u zamienił się w niezależny miesięcznik.

— Tak, wtedy mąż podjął się redagowania, gdyż ludzie redagujący „Biuletyn” wcześniej byli ustawicznie nękani przez SB, zatrzymywani na 48 godzin, po wypuszczeniu natychmiast ponownie aresztowani. Poproszono wtedy Kornela, by podjął się redakcji. Ponieważ nie był członkiem KOR-u, zaproponował, by „Biuletyn” stał się niezależnym miesięcznikiem...

— ...i wtedy nastąpiły już pierwsze pierwsze represje ze strony SB...

— No tak. Wszystko to trwało bardzo krótko. SB zorientowała się, że Kornel redaguje „Biuletyn”, bo już 30 kwietnia 1980 roku mieliśmy w domu rewizję... Później Kornel był zatrzymany w lip-

Ukożuje się od czerwca 1979r.

WOLNI I SOLIDARNI

BIULETYN
DOLNOŚLĄSKI

cu i... już naprawdę nie pamiętam, kiedy były następne zatrzymania i rewizje...

— **Może kilka słów o zainteresowaniach Kornela.**

— Chciał studiować medycynę. Sądziłam do niedawna, że było to jego powołanie. Tymczasem z rozmowy z jego siostrą wynika, że wybór ten był zgodny z jego powołaniem, iż trzeba żyć tak, by móc drugiemu pomagać... Jako że z medycyny nic nie wyszło, bo miał za mało punktów, czy coś takiego... poszedł więc na fizykę. Skończył studia, zrobił doktorat z zakresu fizyki teoretycznej, wykładał matematykę. Jakiś czas pasjonował się matematyką, ale w zasadzie bardzo dużo czasu poświęcał na czytanie książek...

Właściwie był to okres dojrzewania Kornela. To nie było tak, że on jakoś programowo angażował się w coś. Po prostu żył, interesował się otoczeniem, jak coś się działo, włączał się. Zawsze bardzo nurtowały go sprawy międzyludzkie i to w nim dojrzewało, tak że z czasem naturalnie włączył się w działania praktyczne. Doszło do tego, że został, jak wspominałam, redaktorem „Bluletynu...”. Kiedyś się go nawet zapytałam, dlaczego, choć wszyscy uważają, że powinien, nie poświęca się robieniu kariery naukowej, uzyskaniu tytułu profesora. Uważał, że w Polsce nie ma możliwości ani materialnych, ani technicznych, by czegoś dokonać w nauce, że trzeba by wyjechać na Zachód. On sam nie chciał, ponieważ uważał, iż tu jest jego ojczyzna, tu chce żyć, mieć rodzinę, swój dom... który zresztą wybudował z drzewa opałowego.

W międzyczasie nawiązał bardzo liczne kontakty z wieloma ludźmi. Odbływały się u nas wieczne dyskusje, zastanawiano się nad naprawieniem świata. Może brzmi to zbyt pretensjonalnie, ale stale dyskutował z przyjaciółmi na te tematy. U nas zawsze było dużo gości, stale ktoś przychodził, ciągle toczyły się rozmowy, gorące dyskusje i chyba to w nim jakoś dojrzewało.

— **O to właśnie chciałem spytać: to była jakaś determinacja własnej drogi życiowej...**

— ...jeszcze przed naszym ślubem snuliśmy plany o wspólnym życiu, o tym, że nasz dom będzie otwarty, że będziemy się starali coś robić, nie w celu osiągnięcia materialnych wartości... Postawił mi wtedy jeden warunek, że gdyby kiedyś w przyszłości, gdyby zaistniały takie warunki zewnętrzne, że będzie musiał odejść, to nic nie stanie mu

na przeszkodzie... Przyjęłam ten warunek. Zresztą stale o nim pamiętałam. Obserwując jego życie, pracę, zainteresowania, to z czego zrezygnował, to co wybierał, czułam, że zmierza do celu.

— **Co powie Pani o rzekomej próbie działalności terrorystycznej, osiągnięciu celów politycznych za wszelką cenę...**

— Terrorystycznej... To może tylko powiedzieć człowiek nie znający absolutnie Kornela. To byłoby sprzeczne z jego osobowością. Sobie samemu by gwałt zadał podejmując się terroryzmu. Byłoby to sprzeczne z jego stosunkiem do ludzi, nawet tych w sposób cyniczny manipulujących społeczeństwem... Ale nigdy nie był brutalny, nawet w czasie, gdy próbował rozdzielać dwóch bijących się, stawał w obronie bitego nadstawiając się bijącemu. To właśnie charakteryzuje jego stosunek do przemocy — likwidowania przemocy bez stosowania ze swej strony gwałtu.

— **Chciałbym się dowiedzieć, jakie Pani widzi perspektywy, szanse dla Kornela, dla rodziny... Na pewno wyjdzie kiedyś z aresztu...**

— Chciałabym, żeby wyszedł szybko, ale jestem świadoma złożoności sytuacji. Teraz może rzeczywiście panuje pod tym względem trochę inna atmosfera, wydaje się, że jest lepsza — jeśli chodzi o więźniów politycznych — aniżeli na początku stanu wojennego, czy jeszcze parę lat wcześniej. Wiem na pewno, że władza nie cierpi Kornela, bowiem nazywał rzeczy po imieniu — inaczej niż robi to władza. Długo to trwało i na tyle intensywnie, że — jak sami powiedzieli w uzasadnieniu aresztowania — nie wypuszczą go, bo jest obawa, że znowu zejdzie do podziemia i że — tak to określili — jego działalność będzie szkodliwa dla społeczeństwa.

Wobec tego, wzięwszy to wszystko pod uwagę, wzięwszy pod uwagę to, co mówią ludzie, którzy trochę znają się na tych sprawach jak np. adwokaci, władza robi, co będzie mogła, żeby jakoś zgnoić, przeproszam za wyrażenie, Kornela, tzn. oskarżyć go o różne odrażające rzeczy, wbić to dokładnie społeczeństwu do głowy, a przynajmniej tej jego części, która bezkrytycznie patrzy w telewizję i wierz gazetom. No i że wtedy, zabezpieczywszy się na różne inne sposoby, może go wypuszczą — takie są przypuszczenia co do terminu jego wyjścia, a obawy co do poczynania władzy.

— Kornela uważa się za przedstawiciela radykalnego, rewolucyjnego nurtu opozycji polskiej. Czy Pani zdaniem słusznie?

— Kornel we wszystkim i zawsze był radykalny, tzn. uważał, że jeśli jakaś rzecz jest słuszna, to należy do niej dążyć. Jeżeli coś jest złe, to należy to zło rozbrajać. U nas władza jest złem społecznym, a zatem trzeba jakoś z nią walczyć, ale walczyć w pojęciu Kornela, tzn. pobudzać stale ludzi, samemu myśleć i pracować, mobilizować innych i ograniczać akcje, które w jakiś sposób system osłabiają.

— Kornel jest twórcą nowej myśli polityczno-społecznej. To znaczy chodzi mi o tzw. ustrój przyszłej Rzeczypospolitej: Solidaryzm...

— Chyba zawiodę Pana, dlatego że ja, aczkolwiek widziałam się zawsze jako podpora Kornela, nie chciałam jednak zadawać sobie gwałtu i czynić rzeczy, które jak czułam, nie leżą w moich możliwościach.

W końcu może przytłoczona tym, czemu musiałam sprostać, poważnymi kłopotami ze zdrowiem, które na szczęście na razie ustały, a także tym, że jestem odpowiedzialna za dzieci, za dom... częstymi wizytami SB (w tym roku wyjątkowo, szczególnie w kwietniu, nękanie, dosłownie chodzenie za mną krok w krok, „porwania”, przesłuchania, zatrzymywanie, rewizje) nie pozwalają mi w sposób kompetentny wypowiedzieć się na ten temat. Ja naprawdę nie mam w sobie nic z polityka. Są ludzie bardziej kompetentni.

— W zasadzie widzę, że Kornel musiał tak akurat żyć, jak żył.

— Tak, on zawsze był takim szaleńcem. Często przyjaciele śmiali się z jego szaleńcych pomysłów, które w ich pojęciu były niemożliwe do urzeczywistnienia. To, co Kornel cały czas robił i zrobił było zawsze jakoś trochę gorszące w tym sensie, jakby np. Ewangelia siała zgorszenie tym, co jest w niej pozytywne. Trzeba przyznać, że wśród przyjaciół, z którymi wiele czasu spędzał na dyskusjach, zawsze był najbardziej szalony, nie patrząc na to, że stanie „w poprzek”. Był świadom tego i z bólem wyznawał, że nie będzie miała lekko z nim i będzie mnie narażać na to czy na tamto. Ale też myślę, że wiedział, jaką ma zonę...

— Kornel bezkompromisowo mówił prawdę i gorszył nie tylko społeczeństwa zachod-

nie. Dlatego widać ogrom pracy jakiej już dokonał, bo jednak skupił wokół siebie bardzo duże grono zwolenników w kraju jak i na Zachodzie. Może wynika z tego, że ludzie zaczynają po części przeglądać na oczy, dzięki właśnie m.in. i jego pracy. Poza tym sześć lat ukrywania wytworzyło już mit, który mam nadzieję, będzie mu też pomocny...

— Myślę, że był to jeden z najważniejszych aspektów jego działania. Myślę, że rzeczywiście przyczynił się do zrozumienia naszych sprawy na Zachodzie: że komunizm jest to system, który absolutnie nie dba o człowieka, lecz go niszczy. Niszczy przyrodę, jest agresywny. Zachód powinien mieć to stale przed oczyma i stanowczo nie wspomagać komunistów gospodarczo. Ja wiem, że łatwo mi to mówić. Wiem też, że państwa istnieją na zasadzie wzajemnych kontaktów na wszelkich płaszczyznach, ale powinny być one niejako filtrowane. Komunizm pochopnie wspomóżony, jak tylko stanie trochę na nogi, będzie znów czynił zło. Zresztą, to jest rzecz polityków, żeby doprowadzić do naturalnego rozpadu komunizmu. Komunizm z założenia przeciw lekceważy wszystko co związane jest z człowiekiem, jego dobrem. To wszystko jest nieludzkie, nieszlachetne...

— Mam nadzieję, że ta rozmowa „odkłamie” Kornela, tzn. pokaże go jako człowieka wolnego, a nie człowieka, który ma hełm na głowie i karabin maszynowy przewieszony przez ramię, bo właśnie takiego człowieka próbuje nam zaprezentować teraz oficjalna propaganda i pokazać, że bojowy, radykalny Kornel z Zachodu sprowadza sobie jakieś pałki, broń.

— Szkoda, że możliwości poinformowania ludzi, powiedzenia prawdy, są mniejsze od tych, jakimi dysponuje władza, która na pewno wykorzystywała wszystkie środki, jakie ma do dyspozycji — i telewizję, i radio, i prasę, i bardzo utalentowanego rzeczownika prasowego rządu, by kłamać. Choćby ostatnio, na konferencji prasowej Urban powiedział, że syn Kornela Morawieckiego nie był aresztowany, a Radio Wolna Europa usiłowało kłamliwie poinformować społeczeństwo, że tak było. Oczywiście Urban dobrze wiedział, że syn był zatrzymany i że w języku prawnym zatrzymanie to nie to samo co aresztowanie, ale nie poinformował, że miała miejsce 5-godzinna rewizja, że 5 godzin przetrzymywali go w WUSW, że go nie poinformowano o aresztowaniu ojca.

— Serdecznie dziękuję za rozmowę.

— Ja również serdecznie dziękuję i przepraszam za nieudolność wypowiedzi.

(wypowiedź nieautoryzowana)

★ ★ ★

Jeden z bliskich przyjaciół i współpracowników Kornela Morawieckiego na wiadomość o jego aresztowaniu przekazał na ręce jego żony następujący list:

Środa, 11 listopada 1987 roku.

Drogi Kornelul

Dziś rano idąc na wykład dowiedziałem się z *Gazety Robotniczej*, że służba bezpieczeństwa po sześciu latach poszukiwań ujęła wreszcie „herszta przestępczej bandy, przemytnika i terrorystę Kornela Morawieckiego”.

Od lat wiedzieliśmy wszyscy, że pewnego dnia tak stać się musi. Ileż lat można nie dać się złapać, gdy nas poszukuje cały, ogromny aparat policyjny państwa. A Ty przecież nie robiłeś tego, co robi ukrywający się przestępca. Nie ukrywałeś się po to, by w spokoju korzystać z owoców popełnionego czynu, lecz przez te lata pracowałeś, spotykałeś się z setkami ludzi, redagowałeś czasopisma, brałeś udział w papieskich pielgrzymkach. Przy takim trybie życia żaden przestępca nie miałby jakiegokolwiek szansy na dłuższe ukrywanie się, ale Ty miałeś za sobą całe miasto, a może nawet całą Polskę. Tobie cała Polska zyczyła powodzenia i wszyscy trzymali kciuki, żebyś nie wpadł.

Ileż to razy rozchodziły się pogłoski, że oto już złapali Kornela. Ileż to razy widziałem niepokój w oczach przygodnych rozmówców, a nawet łzy, a potem radość, kiedy okazało się, że to tylko plotka. Dzisiaj, kiedy to piszę, mam gardło ściśnięte. (...) To samo dotyczy Twoich kolegów z Instytutu, studentów.

Och nie, nie byliśmy wszyscy twoimi zwolennikami, daleko nie wszystkim podobały się Twoje poglądy, Twoje programy. Ja sam nie należałem do entuzjastów Twojej linii programowej, ale dla wszystkich stanowiącym powód do dumy. Małą iskierką satysfakcji, małe ziarenko nadziei. Rzuciłeś wyzwanie mołochowi i postanowiłeś dać najwyższe świadectwo wierności swoim przekonaniom i tyle rozumiał każdy...

Aresztowanie Ciebie właśnie w rocznicę odzyskania niepodległości dla nikogo nie jest przypadkiem i ma to wymiar symboliczny, ponieważ to właśnie Ty najbardziej stanowczo, głośno i konsekwentnie głosiłeś konieczność odzyskania niepodległości, jako warunku wstępnego jakichkolwiek rzeczywistych zmian w tym kraju. To w ten symbol postanowiono uderzyć, podając wiadomość o Twoim aresztowaniu właśnie 11 listopada,

żeby odebrać nam nadzieję, żeby pokazać, że to wszystko są mrzonki.

Stanisław Barańczak napisał kiedyś, że są trzy filary, na których trzyma się komunizm. Pierwsze — nie ma prawdy, drugie — nie ma wyboru, trzecie — nie ma nadziei. Ogłaszając wiadomość o Twoim aresztowaniu w rocznicę 11 listopada chciano tę nadzieję, którą budziłeś wystawić na szyderstwo, a opłuwając Ciebie jako przemytnika, przestępcę i terrorystę chciano pokazać, że prawda też nie istnieje, a jedynym wyborem jest bezwolne pójście na referendum. (...)

Przez wiele długich lat darzyłeś mnie swoją przyjaźnią, wiele lat spędziłem razem pracując przy jednym biurku, bo przecież naszego Instytutu nie było stać na to, żeby pracownik nauki, fizyk-teoretyk mógł mieć własne biurko. A spierał się często, nawet kłócił się. (...)

Nie znam nikogo, do kogo odnosiłbyś się z wrogością. Zawsze mówiłeś co myślisz, ale zawsze w Twoich oczach był ten ciepły błysk życzliwości i przyjaźni. Twój dom, i ten we Wrocławiu, i ten w Węgrowie, słynna „kornelówka”, który własną, niewprawną fizyko-teoretyczną ręką w ogromnym trudzie wznosiłeś. Był przystanią dla wszystkich, którzy tylko mieli ochotę Cię nawiedzić, bez względu na poglądy, jakie wznawiali. Dla każdego miałeś wyciągniętą rękę, serdeczną prostotę słowa, ciepłą strawę. Tym samym dzieliła się z nami Twoja żona, Twoje dzieci. Gdy zszedłeś do podziemia, i gdy na Twój dom „nieznani sprawcy” dokonali barbarzyńskich i wandalskich najść, „kornelówka” pozostała tą samą — wszystkim otwartą i życzliwą przystanią, ich schronieniem. (...)

Przed paru laty publikatory doniosły o aresztowaniu i procesie wielu osób, które zostały oskarżone o działanie w Twojej organizacji. Tajemnicą Polisyjną było nazwisko człowieka, który wyspał większość swoich kolegów i którego zeznania były podstawą większości aktów oskarżenia. Wielu ludzi spodziewało się po Tobie, po Twojej organizacji, że przykładnie ukarze zdraycę, a Ty nawet nie podałeś jego nazwiska do publicznej wiadomości. (...)

Dzisiaj mogę powiedzieć tylko tyle — jesteś jednym z bardzo nielicznych ludzi, jakich znam, którzy szukają krytyki, krytyki wysłuchują, za krytykę nigdy się nie obrażają. Kogoś, kto ich krytykuje nie traktują jako swego osobistego wroga... Trzymaj się stary! Przyszła na Ciebie chwila nowego, niezwykle ciężkiego doświadczenia. Wierzę, że mu sprostaś. Wierzę, że Twoja prawda i szlachetność, Twoja lojalność, Twoja kultura osobista, Twój takt i życzliwość wobec bliźnich potrafią ująć i funkcjonariuszy służby więziennej, służby bezpieczeństwa. Ty przecież nie darzyś nienawiścią ich, ale system, który ich i nas zniewala.

Z serdeczną przyjaźnią

Jerzy Przystawa

Petycja

Generał Armii
Wojciech Jaruzelski
Przewodniczący Rady Państwa
ul. Wiejska 4/6
00 – 902 Warszawa

Otrzymaliśmy wiadomość o aresztowaniu w dn. 9 listopada 1987 działaczy „Solidarności Walczącej” na Dolnym Śląsku: Kornela Morawieckiego i Hanny Łukomskiej-Karniej, oskarżonych o czyny natury kryminalnej

Znając ich jako aktywnych działaczy NSZZ Solidarność i „Solidarności Walczącej” domagamy się natychmiastowego ich uwolnienia jak również wszystkich innych osób więzionych z powodów politycznych

Neulich haben wir die Nachricht erhalten, daß am 9. November 1987 zwei Mitglieder der Bewegung „Solidarność Walcząca” (Kämpfende Solidarität) in Niederschlesien Kornel Morawiecki und Hanna Łukomska-Karniej verhaftet wurden. Es wird ihnen kriminelle Tätigkeit vorgeworfen.

Wir kennen sie als aktive Mitglieder der Gewerkschaft Solidarność und der Bewegung „Solidarność Walcząca”. Wir fordern ihre sofortige Freilassung wie auch Freilassung aller Personen, die aus politischen Gründen inhaftiert sind.

Do Przewodniczącego
Towarzystwa „Solidarność”
Geßlerstr. 10
D-1000 Berlin 62

Proszę o przyjęcie mnie do Towarzystwa „Solidarność” jako członka wspierającego.

Imię i nazwisko:

Adres:

Deklaruję roczną składkę w wysokości DM

....., dnia

.....
Podpis

Dwugłos o „Projekcie zasad ideowych i programie Solidarności Walczącej”

UWAGI CZŁOWYCH DZIAŁACZY „SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ”

Projekt, który powstał w piątą rocznicę utworzenia „Solidarności Walczącej” posiada jedną niepodważalną zaletę. Jest nią fakt, że w końcu zaistniał i to jako projekt. Jego treść pozostawia jednak uczucie niedosytu. Generalnie brakuje mu jednolitości. Z politycznego punktu widzenia jest nieelastyczny i niedopracowany. Niektóre stwierdzenia są wręcz wzajemnie sprzeczne, a styl nieadekwatny do rangi omawianych problemów.

Szukanie samego zła w komunizmie (np. pkt 2.3) w oderwaniu od roli społeczeństwa w budowaniu tegoż, a jednocześnie powoływanie się na „wewnętrzne mechanizmy obronne” (pkt 2.9), „miłość bliźniego” (pkt 1.3) czy też wyidealizowanie obrazu człowieka, jako istoty z natury swej dobrej i walczącej ze złem, świadczy o niezrozumieniu „psychologii komunizmu” i przedstawia nam komunizm jako coś tajemniczego, danego nam przez szatana. Według projektu my – Polacy „okazujący patriotyzm i strzegący honoru, przelewający krew za wolność naszą i waszą” (pkt 1.6) musimy stoczyć bezkompromisową (pkt. 5.1 i 5.4) walkę z szatanem uosobionym w obecnym rządzie PRL, z W. Jaruzelskim na czele. Trąci to miłytką.

Rozdział II – „Nasza ocena sytuacji” – w swej wymowie katastroficzny nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Gwoździem do trumny jest ocena perspektyw negocjacji rozbrojeniowych, które w obecnej sytuacji są aż nadto obiecujące i nie dlatego, że komunizm „mami wielu” (pkt 2.6). Moje stanowisko w tej kwestii pozwolę sobie uzupełnić cytatami z wywiadów, które udzielił – sekretarz generalny ONZ Lord Carrington dla *La Repubblica* i Jacques Chirac dla *Le Point*.

Lord Carrington: „(...) Dopóki nie stanie się oczywista realna redukcja tej potęgi (ZSRR – przyp. mój), byłoby szaleństwem polegać na dobrych intencjach. Jednostronne rozbrojenie nigdy nie było podstawą zdrowej polityki bezpieczeństwa. (...)”

Jacques Chirac: „(...) Chciałbym jednak przestrzec przez rozbudzeniem w naszych opiniach publicznych zbytnej nadziei lub wręcz karmieniem ich złudzeniami. Nigdy nie dość będzie powtarzać, że to właśnie odstraszenie jądrowe zapewniło Europie przez czterdzieści lat – pokój (...)”

Nie są to opinie specjalnie wyszukane. Znać je może nawet mało wprawny czytelnik chociażby oficjalnego „Forum” lub słuchacz polskojęzycznej audycji radia zachodniego. W pkt. 2.7 – „Sprzeczność komunizmu z przemianami cywilizacyjnymi” – należało raczej oczekiwać filozoficznego wywodu na ten temat, a nie sloganów typu: „otwierają się oczy najbardziej zaślepionych”.

W rozdziale III – „Nasza wizja” – na uwagę zasługuje właściwy stosunek SW do istniejących granic (pkt 3.9) zaś reszta jest niedopracowana. Ramowy kształt gospodarki (pkt 3.3.) nasuwa obawę, czy przypadkiem proponowana gospodarka rynkowa nie będzie polegała na konsultowaniu ceny chleba z szewcem, któremu tłumaczyć się będzie konieczność uwzględnienia demokratycznej opinii w przyjmowanym modelu ekonomicznym. Dwa, następujące po sobie, zdania z tego punktu: „(...) Nie ma jednak uniwersalnych, idealnych rozwiązań dotyczących proporcji, czy innych form własności, polityki podatkowej,

metod zarządzania itp. Na mocy dodatkowego sprzężenia przeważnie najlepsze okazują się takie modele, które większość uważa za najlepsze (...)", pretendują do miana „złotej czcionki Teleexpressu”.

Brakuje tylko stwierdzenia, że przedmiotem głębszej troski demokratycznej władzy wspólnie z demokratyczną opinią, będzie całokształt zmian dążących do otwartości modelu ekonomicznego, nastawionego na dowartościowanie życia każdego człowieka, przy ograniczeniach wynikających z braku idealnego rozwiązania. Zacytowanie w pkt 3.5 Św. Pawła „Kto nie chce pracować, niechaj też nie je (II Tes. 3.10)” jest po prostu śmieszne i służy zapewne przypomnieniu źródła znanego nam powiedzonka „Kto nie pracuje, ten nie je”.

Osobiście byłbym za przedstawieniem ramowego kształtu polityki fiskalnej i możliwości rozwoju warstwy bogaczy, albowiem pieniądze dają szczęście biednym (przy właściwej polityce fiskalnej i gospodarczej), a nie nędza biedaków uszczęśliwia bogaczy.

Do bardzo rzeczowego rozdziału IV — „Organizacja” — absolutnie zbędnie dołano śmieszności w postaci pkt. 4.8 — „Środek i sposób na wyzwolenie”. Ponadto stwierdzenie w tym punkcie, że SW jest środkiem wydaje się dyskusyjne, ponieważ to raczej działania SW są środkiem, a nie organizacja.

Rozdział V — „Program bieżący” — trudno omawiać bez przekonania, że kopie się leżące. Jeżeli komunizm istnieje w Polsce i jest niereformowalny oraz odrzuca się możliwość porozumienia się z nim, to w jaki sposób mogą być realizowane wyszczególnione fazy „wyswobodzenia się z komunizmu” przed jego upadkiem? Jak rozumieć „wymuszanie reform odgórnych” i stosunek SW do reform gospodarczych? Na czyje barki przetrzucany będzie w demokratycznej Polsce ciężar kryzysu gospodarczego? Pytania cisną się na usta, a włos jeży się na głowie, kiedy czyta się te punkty. A już Bóg powinien nas uchronić przed tym, aby PRL-owski inżynier, tylko dlatego, że jest inżynierem zarabiał więcej od hydraulika „zeby dowartościować wykształcenie i kwalifikacje niezbędne do wyciągnięcia kraju z kryzysu” (pkt 5.1 — faza B).

Jeżeli naprawdę ma tak być, to brakuje fazy D — ostatni gasi światło. A będzie to ten PRL-

owski inżynier, bo hydraulik już w fazie B wyemigruje do obcych krajów.

W wyciągniętej z lamusa propozycji strajku czynnego, produkcyjnego (pkt 5.12) brakuje realności i zaproponowanie jej świadczy o tym, że redagujący już dawno nie widział „normalnych” ludzi. Złośliwie tylko dodam, że brak tam jeszcze harmonogramu godzinowego (proponuję rozpocząć godzinę ZERO odśpiewaniem pieśni religijnych) lub stwierdzenia, że można z tego scenariusza wybierać po łebkach — jak komu będzie lepiej (pod warunkiem, że demokratycznie).

Rozdział VI — „Perspektywy” — jest co najmniej dziwny. Dlaczego nie został napisany razem z rozdziałem III? Przemawia jednak przez jedno stwierdzenie tego rozdziału pewna życiowa nauka. Mianowicie zamiast Japonii jest przykład Tajwanu (pkt 6.1). Także tutaj złośliwie dodałbym pkt 6.4 „Z niebios”, który współgrałby z pkt. 6.1 „Z bliska” i 6.2 „Z oddali”, a do pierwszego zdania pkt. 6.3 — „Niech będzie lekko” dodałbym: „ale cholernie wesoło”. Pozostaje więc nadzieja (pkt 1.15) i to nadzieja, że projekt ten ulegnie radykalnym zmianom.

Michał Olkiewicz
listopad 1987

P.S. Możliwe i prawie pewne jest to, że sam nie ułożyłbym czegoś lepszego, ale taki brutalny jest ten świat, że ułatwia życie tym, którzy dyskutują na temat kształtu jaja, bez potrzeby znajomości trudu w jakim ono powstaje.

★ ★ ★

W czerwcu br. ujrzały światło dzienne „Zasady ideowe i program Solidarności Walczącej”. Trawestując myśl księdza B. Chmielowskiego, można by stwierdzić, że „program jaki jest, każdy widzi” i z pewnością wywoła on całą lawinę polemicznych szermierek. Sądzę jednak, że zacietrzewionym polemistom umknie uwadze jeden dosyć istotny aspekt programu SW — mianowicie język, w jakim został on sformułowany.

Nie chodzi mi o to, by wyczerpująco ocenić tę publikację. To raczej praca dla językoznawców z odpowiednim aparatem metodologicznym. Pomijając jedną z zasadniczych cech programu, jaką jest brak jednorodności stylu, nie będę też opisywał innych niefortunnych konfiguracji językowych (np. dygresji w rodzaju „nie daj Boże”, czy

uzycia staropolskiej składni „lekce sobie ważą”), gdyż chciałbym tylko w minimalny, choć być może prowokacyjny sposób wykazać, że program SW jest „pawiem i papugą” gazety.

Niewątpliwie każdy program polityczny (i wynika to z cech tego „gatunku”) powinien posiadać siłę przekonywania i oddziaływania, co nie może się obyć bez językowej ekspresji. Jeśli jednak „styl to człowiek”, a „język jest zwierciadłem duszy”, to dusza twórców programu ugrzęzła gdzieś na pograniczu socrealistycznej i współczesnej nowomowy oraz braku językowego rozsądku.

Twórcy programu SW zapomnieli (a może raczej nie chcieli pamiętać), że rzeczywista funkcja nowomowy nie kryje się w jej znaczeniu lecz w oddziaływaniu na odbiorcę, nie w tym co mówi, ale jak mówi. Nowomowa w sposób bezpośredni odwołuje się do politycznych namiętności, do entuzjazmu lub nienawiści, a nie rozumowego wartościowania, przez co program stał się wykładnią taniej, demagogicznej moralistyki nie mającej nic wspólnego z nowoczesnym politycznym myśleniem.

Prostą konsekwencją przyjęcia tego sposobu „komunikowania” jest kreacja dychotomicznego, manichejskiego obrazu rzeczywistości, funkcjonującego według podziału na dobrych, szlachetnych antykomunistów i całe grono komunistycznych wrogów. Taki „obraz rzeczywistości” jest tylko fikcyjnym, teoretycznym modelem, który absolutnie nic nie komunikuje (oprócz własnej postawy politycznej i wielorakich niechęci), a wyłącznie zrzesza opinię przeciw komuś lub czemuś.

Na poparcie moich zarzutów pozwoliłem sobie na ułożenie „Skróconego pamfletowego programu Solidarności Walczącej”, który składa się wyłącznie z cytatów (oprócz różnego rodzaju łączników) występujących w oryginalnym programie SW. A więc czytamy.

„Stanowimy organizację Solidarność Walcząca. Pracą, czynem i walką chcemy poprawić dolę człowieczą, chcemy budować sprawiedliwszy, bogatszy i piękniejszy świat. Niestety żyjemy w okresie zaczadzenia ideologią i praktyką komunizmu, dusimy się, marnujemy w atmosferze komunistycznego zakłamania i bezsensu. Dlatego będziemy walczyć o serca i umysły, aby wyzwolić się z pęt komunizmu dla wspólnego dobra ludz-

kości i dobrobytu. Bezcelne dobro ludzkości stanowi pokój, więc potrzebna jest walka i poświęcenie, hart w walce ze złem, ten motor postępu, który wdroży i wyartykułuje nasze wyzwanie współczesności. Rozkładowe, przedśmiertne konwulsje upadającego systemu partyjno-mafijnej kliki świadczą, że powiew swobody wznosi płomień buntu biednych, zdesperowanych mas, ujawni prawdę o zniewoleniu, złowrogiej naturze komunizmu, sowieckiej retoryce i tyranii. Mamy też nadzieję, że groźba wojny jądrowej przyczyni się do solidarności między narodami. Droga nasza jest ciężka i wyboista ale my SW, tą drogą idziemy. Pójdź z nami.”

Z pewnością redakcja lub czytelnicy zarzuca mi olbrzymią tendencyjność w doborze cytatów. Proponuję zatem, aby pod hasło — komunizm wstawić system burżuazyjny lub imperializm amerykański, a sprawa języka programu stanie się aż nazbyt jasna i oczywista.

Gdyby twórcy programu SW wiedzieli, że teoretycy propagandy orzekają, iż systemy aksjologiczne nadanego komunikatu utworzonego przez nadawcę i przyjętego przez odbiorcę muszą być zbieżne, to z pewnością wykazaliby więcej rozsądku. Bo cóż może sobie pomyśleć czytelnik? Jeżeli ONI piszą do mnie takim językiem, to może i w takim języku myślą? Zatem sytuacja twórców programu jest już niewesoła. Jeżeli natomiast ONI są pewni, że ja w ten sposób myślę, to przecież mnie obrażają! Cóż, żaden z wniosków nie jest godny pozazdroszczenia i piszący program powinni o tym w końcu się dowiedzieć.

Sprawą bezdyskusyjną jest fakt, iż program musi być przejrzysty, czytelny dla wszystkich, ale nie oznacza to, aby musiał być formułowany w nowomowie, która sprowadza nasz język do jego pierwotnego stanu: hasła, sloganu lub refrenu.

Nie możemy sobie pozwolić, by był to język (mówiąc słowami F. Schillera) „co składa słowa i myśli za ciebie”.

Wojciech Krzycki
październik 1987

★ ★ ★

Tekst „Projektu zasad...” (kopia oryginału — 22 str.) redakcja „Poglądu” wysłała na zamówienie po uprzedniej wpłacie DM 5.- na konto „Poglądu” z zaznaczeniem celu wpłaty. ■

Geografia wolnego słowa



„Nie ma powrotu do sytuacji sprzed sierpnia '80, ale nie ma też powrotu do sytuacji sprzed 13 grudnia” — powiedział generał Jaruzelski, wypowiadając sześć lat temu wojnę narodowi i miało to oznaczać odcięcie się od wszelkiej „ekstremy” i politykę tzw. „centrum”. Tymczasem pod wieloma względami, zwłaszcza jeśli chodzi o prawa człowieka i swobody obywatelskie, przeniesieni zostaliśmy jakby w czasy Wielkiego Językoznawcy, z których dopiero od niedawna powoli i nieśmiało powracamy. Pod jednym wszakże względem władza na pewno nie odniosła sukcesu i ostatnie lata bardziej przypominały okres szesnastu miesięcy „anarchii i chaosu”, niż jakikolwiek inny okres w dziejach PRL-u. Mam tu na myśli dynamiczny, bez precedensu w całej historii i geografii bloku komunistycznego, rozwój tzw. drugiego obiegu i związany z tym rozwój wolnej myśli, możliwości swobodnej wymiany niezależnych opinii i poglądów, a w rezultacie wzrost narodowej i obywatelskiej świadomości znacznej części społeczeństwa. Rzecz bowiem w tym, że choć jednorazowe nakłady nie są — z przyczyn oczywistych — zbyt wysokie, to wielka liczba pism, czasopism i książek znakomicie zwielokrotnia efekty. W tym kontekście działalność wydawnicza opozycji przedsierpniowej — choć, oczywiście, trzeba oddać naszym poprzednikom należny im hołd — wygląda na niewinną zabawę. Nie ma dziś w Polsce miasta, miasteczka, przysiółka dokąd by nie docierało niezależne słowo. Faktycznie każdy, kto pragnie nabyć „bibułę”, może to uczynić bez szczególnych trudności i nie musi mieć do tego jakichś specjalnych „dość”.

Jak oszacować liczbowo to niebywałe zjawisko? Myślę, iż jest to praktycznie niemożliwe. Dokładne dane będzie zapewne można uzyskać

dopiero wtedy, gdy przyszedli historycy prasy i ruchu wydawniczego, w wolnej już Polsce, zestawiając zgromadzone dane, gdy utajnione dziś archiwa wydobycie zostaną na powierzchnię.

Na początek przyjrzyjmy się bliżej „dziennikom”. Jest ich dosłownie bez liku. Obok pism „centralnych”, liczących się „dzienników” (tzn. pełniących funkcję głównej gazety w regionie, dużym mieście, czy na pewnym obszarze kraju) istnieje kilkadziesiąt innych. A przecież są jeszcze pisma zakładowe (np. krakowski *Hutnik*, *Głos Wolnego Wyrzeża*, gdański *Portowiec*), środowiskowe (np. nauczycielskie *Tu — Teraz*, biuletyny WiP-u, prawniczy *Paragraf*, *Niezależna Myśl Lekarska*, czy biuletyn „Solidarności” *PRiTV*), uczelniane (*Kurier Akademicki*), a nawet szkolne, by wspomnieć „gazetę”, wydawaną przez uczniów słynnego gdańskiego liceum *Topolówka*, czy pismo młodzieży szkolnej z Gorzowa Wielkopolskiego. Gdyby zliczyć to wszystko razem, łącznie z tymi, które po pewnym okresie ukazywania się przestały wychodzić (jak np. *Związek*, czy *Gazeta Niedzienna*), liczba tytułów na pewno przekroczyłaby tysiąc!

Słowo dzienniki piszę w cudzysłowie, bowiem z reguły są to tygodniki, dekadówki i dwutygodniki, pełniące jednak w podziemiu rolę gazety codziennej, ze sporą porcją informacji, krótkich komentarzy, felietonów i zwięzłej publicystyki bieżącej. Kilka z nich ukazuje się ze zdumiewającą regularnością i brak — co zdarza się niezwykle rzadko — któregoś z „centralnych” tytułów o zwykłym czasie, wywołuje niepokój, budzi troskę, czy aby nie zdarzyło się jakieś nieszczęście, czy bezpieka nie dotarła tam, gdzie nie powinna. Są to jednak tytuły, których policja nie jest w stanie zlik-

widować, bo działają na zasadzie samopowielania przez różne wydawnictwa. To znaczy, redakcja przygotowuje kilka lub kilkanaście kompletów matryc, a druk odbywa się w różnych miejscach, czy nawet w różnych miastach. Toteż wpadka jednej drukarni nie przesądza o losie pisma. Dzieje się tak zwłaszcza w przypadku najważniejszego „dziennika” podziemnego w kraju, *Tygodnika Mazowsze* (zwanego popularnie „Mazowszanką”), który pełni rolę oficjalnego organu podziemnej i nazistycznej „Solidarności”. Łączny jednorazowy nakład tygodnika trudno obliczyć z tego względu, że każdy punkt poligraficzny drukuje go w ilościach stosownych do aktualnych możliwości rozmaitych podsięci kolportażowych i zaopatrzenia w papier. Niewątpliwie jednak tygodnik drukowany jest w nakładzie nie mniejszym niż ok. 40 tysięcy egzemplarzy.

Drugim „dziennikiem”, który zdobył sobie wysoką rangę i popularność jest wydawany bardzo dobrą techniką poligraficzną, ilustrowany *Przegląd Wiadomości Agencyjnych (PWA)*, który — podobnie jak *TM* — kolportowany jest na obszarze całego kraju w nakładzie wahającym się od 20 do 30 tysięcy egzemplarzy. *PWA* nie ma charakteru pisma związkowego i obok bloku informacji z kraju i ze świata, zawiera sporo dobrej, szybkiej i celnej publicystyki, zaś sposób redagowania świadczy o tym, że *PWA* robiony jest przez grupę zawodowych dziennikarzy i adresowany jest nie tylko do członków „Solidarności”, ale do szerokiej opinii publicznej. Warto dodać, że choć *PWA* ukazuje się dopiero (czy może już?) od czterech lat (120 numerów), to powstał on na bazie wychodzącego wcześniej, od pierwszych dni wojny polsko-jaruzelskiej, *Tygodnika Wojennego*, którego także ukazało się ponad sto numerów.

Z innych pism informacyjnych, które zdobyły sobie liczącą się pozycję wymienić należy *Wolę* (blisko 250 numerów!), *CDN* — *Głos Wolnego Robotnika* (ok. 200 numerów) i *Robotnika* (ponad 150 numerów). Tytuły te są zarazem organami warszawskich struktur związkowych — MKK (Międzyzakładowego Komitetu Koordynacyjnego) i MRKS (Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu „Solidarności”). Ukazują się one w szacunkowych nakładach od 5 do 15 tys. egzemplarzy i kolportowane są — choć nie w tej ilości co *Tygodnik Mazowsze* oraz *PWA* — również poza Warszawą, w większych miastach Polski. Nie sposób tu oczywiście wymienić wszystkich liczących się tygodni-

ków, zwłaszcza o charakterze regionalnym, wymienię więc tylko na zakończenie tego krótkiego przeglądu „dzienników” jeszcze pisma organizacji „Solidarność Walcząca”, które w znacznych nakładach, pod różnymi tytułami, docierają z Dolnego Śląska do wszystkich większych ośrodków kraju.

Te ostatnie pisma mają już jednak wyraźny charakter organów organizacji politycznej. Tego rodzaju pism — choć o mniejszej częstotliwości ukazywania się — jest również całkiem pokaźna liczba. Z reguły ukazują się one nie częściej niż raz w miesiącu i oczywiście ich pojemność jest większa, z reguły przekraczają one 40 stron. Są to już pisma o profilu programowo-publicystycznym, prezentujące w zróżnicowanej postaci poglądy i opinie swych sponsorów, rozwijające publicystycznie ich programy polityczne. Chodzi o takie tytuły jak np. *Droga* (KPN), *Niepodległość* (Liberalno-Demokratyczna Partia „Niepodległość”) czy *Wyzwolenie* (Ruch Polityczny „Wyzwolenie”), by ograniczyć się do niepodległościowego nurtu polskiej opozycji. A przecież swoje organy mają także liberalowie (*Stażczyk*), „prawicowcy” z Ruchu Młodej Polski (*Przegląd Polityczny*), czy młodzieńcy kontestatorzy z RSA (Ruch Społeczeństwa Alternatywnego), którzy na Wybrzeżu wydają *Homka*.

Osobne miejsce na mapie prasy podziemnej zajmuje popularny *KOS*, wydawany w Warszawie jako organ zawiązanego w pierwszych dniach stanu wojennego ruchu Komitetów Oporu Społecznego. Jest to pismo będące pod względem formuły redakcyjnej czymś pośrednim między „dziennikiem” a periodykiem, związane z warszawską „Solidarnością”, z jej kręgami kulturalno-oświatowymi. To właśnie *KOS* wspomaga wydawanie organu nauczycieli z „Solidarności” pt. *Tu — Teraz*, a poprzednio zamieszczał wkładkę *Kultura Niezależna*, która z czasem usamodzielniała się i obecnie wychodzi jako osobny tytuł, sygnując się jako pismo Komitetu Kultury Niezależnej, jednej ze struktur powołanych przez TKK.

Skoro mowa o *Kulturze Niezależnej* — tak oto znaleźliśmy się w grupie pism, które Rosjanie określają jako „tolstye żurnaly”. Są to pisma o dużej objętości (od 100 do nawet 300 stron), ukazujące się co dwa-trzy miesiące, w nakładach od 1 do 3-4 tysięcy. To one określają, stymulują i prezentują intelektualny dorobek polskiej opozycji

— i tej solidarnościowej, i tej sytuującej się poza „Solidarnością”. Tytułów takich wychodzi kilkadziesiąt i praktycznie każdy region, każde duże miasto ma ambicje, aby posiadać tego rodzaju pismo. I tu, rzecz prosta, nie sposób wymienić wszystkich tytułów, ograniczmy się więc do najpoważniejszych. Oczywiście i pod tym względem w czołówce sytuuje się ze zrozumiałych względów Warszawa, która posiada nie tylko największe w kraju zaplecze intelektualno-twórcze, ale także największą bazę poligraficzną.

Tu ukazują się przede wszystkim (jeszcze od czasów przedsierniowych) związana z kręgiem KOR-u *Krytyka*, uchodząca nie bez powodu za najpoważniejsze pismo publicystyczno-teoretyczne polskiej opozycji. Ze środowiskami twórczymi związane jest *Niezależne Pismo Literackie Wezwanie*. Kilka tytułów — z zupełnie naturalnych względów — można najwyraźniej wiązać ze środowiskami niezależnych dziennikarzy i publicystów, którzy po 13 grudnia odmówili jakiegokolwiek współpracy z oficjalnymi środkami masowego przekazu. Są to *Vacat*, *Most* — *Wolne Pismo*, *Spektator*, czy z rzadka ukazujący się *Reporter*. Wyraźne zaplecze środowiska socjologiczno-ekonomicznego ma pismo *21* (od 21 postulatów gdańskich). Z liczących się pism stołecznych wymienić jeszcze trzeba interesująco redagowaną, choć również rzadko ukazującą się *Kartę* oraz *Obóz* — pismo poświęcone problematyce krajów komunistycznych.

Kraków posiada co najmniej trzy ważne i liczące się tytuły — starannie redagowaną i zawsze ciekawą *Arkę* oraz *Bez Dekretu* i *Miesięcznik Małopolski*; we Wrocławiu ukazują się doskonała *Obecność*, w Lublinie związane z KUL-em *Spotkania*, w Poznaniu *Droga*, w Białymstoku *Bez Debitu*, a w Szczecinie — *Obraz*. A przy tym wspominać tylko o tytułach o zasięgu ogólnopolskim, o tych, które zdobyły już sobie „firmę” i posiadają dorobek w postaci co najmniej kilku numerów. A przecież *Vacat* ukazał się aż 44 razy!

Istotnie jest się nad czym zadumać. A poruszyliśmy tu tylko jedną stronę medalu. Odrębnego opracowania wymagałaby działalność — kto wie, czy nie bardziej imponująca — wydawnictw książkowych. Jest ich w całym kraju co najmniej kilkadziesiąt. Załóżmy, że każde z nich wydało tylko dwadzieścia książek — nie trzeba być tęgim matematykiem, żeby obliczyć, iż tytułów książek

ukazały się setki. Dość powiedzieć, że na przykład sławną „Wojnę z narodem” Ryszarda J. Kuklińskiego opublikowało już w kraju 10 wydawnictw, przy czym pierwsze z wydań — sygnowane przez Wydawnictwo „Most” — dotarło do rąk czytelników już w dwa tygodnie po ukazaniu się „Wojny” na łamach paryskiej *Kultury* i książki literackie, historyczne, publicystyczne — w nakładach od 2 do 5 tysięcy egzemplarzy. Nie ma dnia, aby do kolportażu nie trafił nowy tytuł!

Ilu ludzi jest w to wszystko zaangażowanych? Nie trzeba mieć specjalnie dużej wyobraźni, żeby dostrzec tę armię drukarzy, kolporterów, redaktorów. Każde pismo — to jakieś środowisko zgrupowane wokół niego, środowisko wspomagające swym zaangażowaniem, piórem, a nie rzadko i własnym groszem.

Pamiętajmy też przy tym, iż wszystko to odbywa się w warunkach nielegalności, że jest tropione przez policję, bezpiekę, szpicli itd. I że przez całe lata działalność ta zagrożona była wysokimi karami więzienia. I jeśli od niedawna praktycznie mało kto idzie za udział w szerzeniu wolnego słowa na dłuższą do pułki (choć nękania jest kolegiami, wysokimi grzywnami i konfiskatą mienia), to przecież nie jest to łaskawość dobrej ludowej władzy, ale skutek nieustającego społecznego oporu. Oporu — jak się rzekło — bez precedensu w krajach bloku. Masowość i skala niezależnego ruchu wydawniczego sprawiły, że jest on praktycznie nie do zlikwidowania bez policyjnej obławy porównywalnej z pamiętną grudniową nocą i bez zapewnienia więzień tysiącami ludzi. A który kraj — nawet komunistyczny — może sobie obecnie w Europie na taką akcję pozwolić? Dla Jaruzelskiego w każdym razie taki manewr jest dziś niewykonalny. I myślę, że fakt ten, choć nie zawsze dostrzegany, jest jednym z największych — i trwałych — zwycięstw Sierpnia i „Solidarności”.



Program i etap

Gospodarka Polski tkwi w głębokim i przedłużającym się kryzysie. Jego objawy i skutki widać w życiu codziennym kraju i można je wyczytać z liczb oficjalnej statystyki państwowej. Oto dochód narodowy do podziału był w roku ubiegłym mniejszy niż przed 11 laty, a w przeliczeniu na jednego mieszkańca mniejszy niż przed 13 laty. Oto płace realne w 1986 r. były takie jak w 1974 r., a przewozy ładunków towarowych takie jak w 1973 r. Mieszkań w ub. roku wybudowano tylko tyle, ile przed 19 laty, a nakłady inwestycyjne spadły do poziomu 1973 r. Odzieży wyprodukowano w ub. roku tyle ile w 1973 r., a butów tyle ile przed 12 laty.

Podobno rolnictwo trzyma się nieco lepiej, ale i tutaj liczby nie pozwalają na optymizm. W stosunku do 1975 r. zbiory zbóż w ubiegłym roku wzrosły wprawdzie o blisko 20%, ale jednocześnie zbiory ziemniaków w stosunku do tego roku spadły o 16%, pogłowie bydła zmalało do poziomu z przed 16 lat, a pogłowie trzody chlewnej było takie jak przed 13 laty. A ludzi przybyło: w stosunku do 1975 r. jest w Polsce blisko 10% więcej ludności, a więc o 10% więcej tych, których trzeba wyżywić, ubrać, dać im mieszkanie i zaspokoić wszelkie inne potrzeby.

Przy obecnym poziomie potrzeb nie starcza na to środków. Nie starcza dóbr i usług, ani tych, które są na rynku, ani tych reglamentowanych, przydzielanych i sterowanych. Powstaje zakłócenie równowagi rynkowej, inwestycyjnej, zaopatrzeniowej i w handlu-zagranicznym. Nierównowaga — problem nr 1 polskiego kryzysu.

Niektórzy mówią, że ciężar kryzysu nie byłby tak odczuwalny, gdybyśmy nie weszli do niego z okresu fałszywego dobrobytu epoki rządów Gierka. Ciągłe wspominaliśmy tamte czasy i ciągle z nimi porównujemy czas obecny. Gdybyśmy tak nie porównywali, to byśmy nie odczuwali, że jest tak

źle. Nie mają oni racji. Nie potrzebujemy porównywać naszego stanu ciągle z przeszłością, możemy porównywać go z teraźniejszością, ze stanem obecnym za granicą, na Zachodzie. Nasze płace realne są pięciokrotnie niższe niż przeciętnie na Zachodzie i to wystarczy, żeby sobie uświadomić, w jakiej jesteśmy sytuacji.

Problemem nr. 2 polskiego kryzysu jest utrzymująca się inflacja. Wprawdzie statystyki państwowe podają, że kształtuje się ona na poziomie niższym niż 20% rocznie, ale gdy zacząć liczyć od 1981 r., to wskaźnik wzrostu cen wyniesie średnio rocznie 32%!

Ekonomiści rządowi pocieszają się, że to tylko inflacja dwucyfrowa (w procentach), ale polspolici zjadacze chleba powiadają: „aż dwucyfrowa” i to taka, że w ciągu dwu i pół roku pieniądź traci połowę swej siły nabywczej. A przy tym przejście od inflacji dwucyfrowej do trzycyfrowej może być szybkie i niespodziewane, na co wskazuje przykład Jugosławii. Może się również okazać to przejście do inflacji trzycyfrowej konieczne, gdyż przy obecnej „tylko” dwucyfrowej inflacji ceny nie równoważą popytu z podażą, ludzie mają za dużo pieniędzy, wykupują wszystko co się da wykupić i wszystkiego brakuje: od oleju i sera do mebli i lodówek.

Mówi się, że to jest inflacja tłumiona, ukryta, taka socjalistyczno-ogonkowa. Prawdziwa inflacja — otwarta, taka ze stałą i bieżącą równowagą rynkową — jeszcze przed nami. Ma ją przynieść ze sobą reforma... (?)

Istnieje też problem nr 3 peerełowskiego kryzysu gospodarki. Jest to zadłużenie, potworne przez to, że stanowi pułapkę bez wyjścia. Polska płaci haracz, podatek wobec zagranicy, głównie tej kapitalistycznej, a mimo tych spląt obciążenie długami rośnie. W tym roku doszło już do 36 mld

dolarów i żeby tylko zatrzymać ten wzrost, trzeba by na obsługę oprocentowania wydawać 4% dochodu narodowego — i to w twardej walucie. Jeżeli zaś nie zatrzyma się wzrostu zadłużenia, to suma długu będzie nadal rosła, a wraz z nią odsetki, które oczywiście będzie coraz trudniej spłacić, a więc znów będzie rosła suma długu i znów będą rosły odsetki i tak dalej. I oczywiście nigdy z tego nie wyjdziemy, jeżeli zaraz, natychmiast nie zwiększymy naszego eksportu. A więc eksportować lub zginąć. Eksportować, a więc produkować na eksport, ale nie importować (bo przecież chodzi o tę nadwyżkę dewizową) i — o ile możliwości — nie konsumować. A zatem też zginąć.

Ale produkować przy pomocy czego? Gołymi rękami? Trzeba mieć do tego tzw. trwałe majątki produkcyjne, a przede wszystkim maszyny, urządzenia, środki transportu, które u nas gwałtownie starzeją się, zużywają: gniją, korodują, rozkręcają się, ciekną, pękają, wypaczają się, zatykają się, a wskutek tego rośnie ich tzw. awaryjność, wydłuża się czas remontów, zmniejsza niezawodność, pogarsza jakość produkcji. Statystyki podają, że zużycie majątku trwałego wynosi średnio 60%, ale w niektórych gałęziach przemysłu dochodzi do 80%. A więc dekapitalizacja — to problem nr 4 naszego kryzysu.

A problem nr 5 to zanieczyszczenie środowiska naturalnego. Zjawisko to występuje już wszędzie, ale na niektórych terenach osiągnęło wymiary katastrofy. Skraca ludziom życie (co znajduje swój wyraz nawet w statystyce), pogłębia choroby, zatrzuwa wodę, powietrze, glebę i żywność, niszczy lasy i zabytki.

I wreszcie ostatni problem — nr 6 polskiego kryzysu. Chodzi o system tzw. gospodarki centralnie planowanej w ramach tzw. realnego socjalizmu. System i ustrój, który w 1945 r. narzucili nam natchnieni barbarzyńcy ze Wschodu — przy pomocy naszych własnych — po 40 latach wytworzył swoją infrastrukturę społeczną. On jest przyczyną wszystkich poprzednio wymienionych problemów kryzysowych i wielu innych. Niektórzy mówią, że nie istnieje w ogóle problem kryzysu, istnieje wyłącznie problem systemu.

I oto teraz ten system ma ulec zmianie dzięki reformie gospodarczej. W historii PRL jest to już trzecia próba zmiany, ba nawet jej drugi etap. Pierwszy, ogłaszany szumnie przed 6 laty jakoś umknął naszej uwadze, gdyż nic się w systemie

nie zmieniło. Nawet nie wiedzieliśmy, że to jest pierwszy etap. Myśleliśmy, że zarówno pierwszy, jak i ostatni, a więc ostateczny. Tymczasem teraz nadszedł etap drugi, a jeśli trzeba będzie, to w przyszłości ogłoszą się etap trzeci i dalsze. Będą posiadać numerację zgodną z kolejnymi planami i zjazdami przodującej partii.

Drugi etap trzeciej reformy został rozpoczęty z odpowiednim rozmachem. Najpierw ogłoszono „Tezy”, w liczbie 174, które poddano „szerokiej konsultacji” (kwiecień '87). Ponieważ konsultacja wypadła pozytywnie, więc w październiku ogłoszono tzw. program realizacyjny.

Program jest bardzo obszerny, szczegółowy (choć nie konkretny), a przy tym ujęty jakby w normę operacyjną: posiada terminarz głównych działań z podziałem na miesiące, harmonogram z działaniami rozpisany na poszczególne ministerstwa i urzędy. Nic, tylko usiąść i robić reformę.

Gdy się jednak wczytamy w ten „Program”, stanie się jasne, że II etap podzieli losy etapu I i wszystkich poprzednich prób reformowania gospodarki PRL. Sytem się nie zmieni. Reforma ma bowiem utrwalić gospodarkę socjalistyczną, umocnić centralne planowanie. Owszem, dopuści się pewne elementy rynkowe, trochę poszerzy się margines dla sektora prywatnego poza rolnictwem (ale ma to być nadal tylko rzemiosło), trochę rozluźni się reglamentację obrotu produktami rolnymi i środkami produkcji rolnej, trochę osłabi się etatyzację spółdzielni. Mają to być działania prowadzące do „pobudzenia wzrostu podaży”.

Ale trzon aparatu produkcyjnego, przemysły wielki, średni, a nawet mały pozostanie nadal nasz, państwowy i uspołeczniony. Nie dopuści się do tego, żeby został on narażony na miazmaty rynku. Czuwać będzie nad tym nadal plan centralny z Komisją Planowania oraz tzw. organa założycielskie, czyli ministerstwa, a przy tym pozostaną — a jakże, zamówienia rządowe i — do czasu (długiego) rządowe programy operacyjne. Wszystkie te instytucje i zabezpieczenia nie dopuszczą, by pod pretekstem pobudzenia wzrostu podaży wypaczona została struktura produkcji, czy broń Boże, handlu zagranicznego. Ta struktura produkcji, kształtowana przez państwowy przemysł i budownictwo oraz wymieniana przez państwowy handel zagraniczny, musi być utrzymana, gdyż to jest nasza polityka gospodarcza, to są nasze strategiczne cele, nasza tożsamość.

A więc nadal wzrost produkcji w przemyśle ciężkim, w górnictwie, w przemyśle elektro-maszynowym, czyli w środkach produkcji. A najlepiej w środkach produkcji służących dalszej produkcji, oczywiście środków produkcji. W tym jest nasza siła...

Jednak gospodarkę tę trzeba zrównoważyć, gdyż dalsza i pogłębiająca się nierównowaga zagrozi naszym najważniejszym planom. Wprawdzie rzuci się „proletom” ową produkcję uboczną, dostarczoną przez sektor prywatny (o ile będzie miał surowce i energię, a będzie miał, jeżeli sobie kupi za własne dewizy), ale to nie wystarczy do zrównoważenia rynku. Trzeba więc sięgnąć do wypróbowanego narzędzia, które się zresztą elegancko nazywa: do polityki cenowo-dochodowej, a więc podnieść ceny i zastopować wzrost dochodów, czyli przede wszystkim płac, gdyż płace — i to płace w tzw. sferze produkcyjnej — są tą lokomotywą, która ciągnie pozostałe dochody ludności w górę. Oczywiście ciągnie tak dochody nominalne, gdyż realnymi staną się one dopiero wtedy, gdy spotkają się z cenami.

Z cenami zaś sprawa jest trochę skomplikowana, gdyż wykazują one dwie odrębne wady, która reforma powinna usunąć równocześnie. Po pierwsze ceny niektórych towarów nie pokrywają kosztów produkcji, ceny innych przekraczają te koszty nawet dwukrotnie i więcej. Te pierwsze były dotychczas wspomagane dotacjami wypłacanymi z budżetu producentom, te drugie zawierają w sobie ogromny podatek obrotowy. Jednak wskutek tego wzajemne relacje cen są wypaczone, co powoduje oczywiste szkody gospodarcze i to ludzie na ogół rozumieją. Reforma powinna te relacje zmienić, głównie przez zniesienie dotacji i przesunięcie tych pieniędzy na rekompensatę płac, rent i emerytur. Wtedy ceny towarów dotowanych odpowiednio podrożeją, ale równie odpowiednio wzrosną dochody nominalne ludności i realnie nic się nie zmieni.

Można zapytać, dlaczego dla operacji zmiany relacji cen potrzebne jest podniesienie ogólnego poziomu cen i płac. Jeżeli relacje cen są wypaczone z jednej strony przez dotacje, a z drugiej strony przez wysokie podatki obrotowe — a tak jest istotnie — to można by przecież znieść jednocześnie i dotacje i podatki obrotowe, co spowoduje, że ceny jednych towarów i usług wzrosną akurat o tyle, o ile spadną ceny innych towarów i usług i ogólny poziom cen się nie zmieni, a zatem

można pozostawić również bez zmiany ogólny poziom płac. Otóż takie rozwiązanie — pozornie logiczne — jest niemożliwe z dwóch powodów. Taka zmiana relacji cen przy niezmiennych nominalnych dochodach ludności spowodowałaby dramatyczną zmianę struktury konsumpcji w postaci zwiększenia wydatków na żywność dotychczas dotowaną, a zmniejszenia środków ludności wydatkowanych na dobra trwałe, dotychczas obłożone prohibicyjnym podatkiem obrotowym. Na to ludność nie jest przygotowana: poziom konsumpcji żywności nie jest taki, żeby go można było łatwo zmniejszyć i przesunąć pieniądze na zakup towarów i usług nieżywnościowych. A zatem odniżenie cen towarów przemysłowych, choć arytmetycznie kompensujące podwyżkę cen żywności w odbiorze ludności absolutnie nie zrekompensuje tej podwyżki i będzie odczute i ocenione jako drastyczne obniżenie stopy życiowej.

Jest i drugi powód, dla którego nie można tak postąpić. Obniżenie cen towarów przemysłowych przez zdjęcie podatku obrotowego spowoduje większy popyt na te towary, nawet, jeśli część zwolnionych dzięki tej obniżce pieniędzy zostanie wydatkowana na podróżoną żywność. Otóż na takie zwiększenie popytu na towary przemysłowe aparat produkcyjny polskiej gospodarki, przede wszystkim zaś państwowego przemysłu nie jest przygotowany. Nawet przy obecnych, bardzo wysokich cenach towarów przemysłowych nierównowaga jest tu znacznie większa niż w sektorze żywnościowym. Tu właśnie unacznia się katastrofalna struktura produkcji przemysłowej w Polsce.

I ta właśnie struktura produkcji sprawia, że możliwa jest tylko częściowa zmiana relacji cen, poprzez manewr z dotacjami, bez naruszenia podatku obrotowego, co oczywiście utrzyma dotychczasową strukturę konsumpcji, nie zmieniając jednak jej poziomu. Struktura cen cierpi bowiem na jeszcze jedną chorobę. Ceny nie równoważą całości popytu z całością skąpej podaży, czyli że przy tej podaży i przy tej ilości pieniędzy, które ludzie uzyskują, ceny są ogólnie za niskie. Aby stworzyć tak pożądaną przez wszystkich równowagę rynkową, struktura cen musi ulec zmianie. Tej operacji nie można już zrównoważyć podwyżkami płac i świadczeń społecznych, bo przeczyłoby to jej sensowi.

Oczywiście przeciw tej operacji cenowej podniosą się protesty. Bo każdy w zasadzie chce

mieć rynek zrównoważony, ale nie wszyscy są gotowi zapłacić za tę równowagę podwyżkę cen i to nie bagatelna. Bo teraz jest jak jest, a potem nie wiadomo i po prostu ludzie nie wierzą, by pod rządami komunistów można było mieć rynek naprawdę i trwale zrównoważony. I mają rację...

Co robią nasze władze, przewidując taką reakcję? Przedstawiają politykę cenowo-dochodową, jako decydującą część drugiego etapu i zamierzają w jednej operacji cenowej połączyć usunięcie dotacji, a przez to poprawę wzajemnych relacji cen oraz dodatkowe podniesienie cen dla zrównoważenia popytu z niedostateczną podażą. Przy tym o tej drugiej części operacji cenowej nie mówi się wyraźnie, choć z dotychczasowych komunikatów można wnosić, że ciężar dodatkowego, nie rekompensowanego podniesienia cen, mają dźwigać nowe, wyższe ceny alkoholu i tytoniu. Jest jednak jasne, że to nie wystarczy, by doprowadzić do równowagi i można oczekiwać z absolutną pewnością, że pójdą w górę dodatkowo ceny innych towarów, i że rekompensata nie będzie pełna. Jednak wycofanie dotacji pozwoli na spektakularne podniesienia płac i świadczeń społecznych i będzie się nazywało, że podwyżka cen została zrekompensowana.

Ceny pójdą w górę i jednocześnie ludzie dostaną więcej pieniędzy, więc w pierwszej chwili stracą orientację co do realnej wartości nowo otrzymanych sum. Ponieważ zaś ludzie są nominalistami i przez pamięć będą kojarzyć nominalny pieniążny z jego poprzednią wartością — cała ta złożona operacja może w pierwszym momencie umknąć uwadze społeczeństwa. Później zaś znacznie działać przyzwyczajenie, nastąpi wśród ludności rozwarstwienie materialne, jedni stracą więcej inni mniej lub wcale i wszystko rozejdzie się po kościach.

Jest charakterystyczne, że ów „Program realizacji”, tak rozbudowany i bogaty w szczegóły nie zawiera na swoich 54 stronach i w swoich 130 głównych postulatach żadnego konkretnego zapisu o tym, że taka operacja cenowa zostanie przeprowadzona. Dopiero w miesiącu po ogłoszeniu „Programu” podano, jakie będą podwyżki cen: od 110% średnio na żywność, do 200% na energię i czynsze mieszkaniowe. Jakkolwiek do nagłych skoków cenowych w systemie gospodarki komunistycznej jesteśmy przyzwyczajeni, podane liczby świadczą, jak odważną jest zamierzona operacja. Powstaje pytanie, czy taka skala podwyżki

jest uzasadniona cofnięciem dotacji z jednej i dążeniem do zrównoważenia rynku z drugiej strony. Wydaje się, że nie. Dotacje na żywność nie sięgają nawet 50% przy obecnych cenach, a na wielu rynkach poszczególnych towarów żywnościowych i niektórych nieżywnościowych panuje równowaga lub stan bliski równowagi. Dlatego więc skala proponowanego skoku jest tak ogromna? Pierwszy powód — nazwijmy go merytorycznym — polega na zamiarze, żeby zrównoważył popyt nie z obecną podażą, lecz z podażą zmniejszoną o dodatkowy eksport. Trzeba zdjąć z rynku wewnętrznego część masy towarowej i skierować ją na eksport po to, aby zwiększyć ilość dewiz na obsługę długów. Po drugie podwyżka jest zapowiedziana w tak wysokiej skali, aby — w razie zbyt silnych protestów można było ustąpić i znów pokazać, że władza ludowa nie jest głucha na głos ludzi pracy, lecz czerpie inspiracje do swoich działań z „konsultacji społecznych”, choćby miały one charakter nieco burzliwy.

Zastanówmy się jednak, czy po tej gigantycznej operacji cenowej — jeżeli założymy, że ona się uda — równowaga na rynku zostanie trwale przywrócona. Jeżeli będzie istniał państwowy monopol stanowienia cen, to już po miesiącu równowagi nie będzie, a po pół roku wrócimy do obecnej sytuacji: głębokiej nierównowagi i wypaczonych cen. Równowaga rynkowa jest stanem dynamicznym i zapewnić ją trwale mogą tylko ceny wolne. Na całym rynku musi zapanować taki mechanizm cenowy jak na rynku owocowo-warzywno-kwiatowym. To jest model. Ale taki model usuwa władzę państwowo-komunistyczną na bok, jako w tym procesie zbędną — a do tego władza nie może dopuścić.

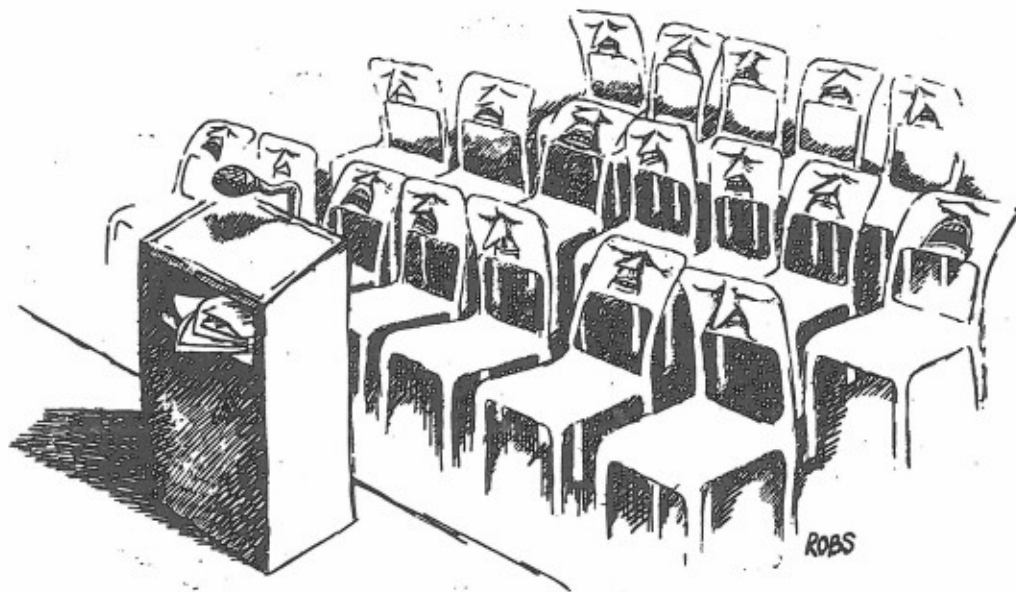
Wszystkie te zabiegi: drugi etap reformy, program realizacyjny oraz referendum mają jeszcze innego adresata, tj. zagranicznych wierzycieli PRL i międzynarodowe instytucje finansowe MFV i Bank Światowy. Oczywiście chodzi o nowe kredyty. Trzeba więc pokazać, że tym razem na serio zabieramy się do roboty, która zwiększy efektywność gospodarki, a przez to umożliwi pełniejszą obsługę długów, a poza tym trzeba naprawdę trochę przyspieszyć spłatę tych cholernych procentów, aby zasłużyć sobie na możliwość nowego zadłużenia. Oczywiście na dłuższą metę taka polityka prowadzi do nikąd i sytuacja wygląda na odwrócenie owej anegdoty z leninowskim sznurem: to nie komuniści powieszają kapita-

listów na sznurze, zakupionym od nich na kredyt, lecz kapitaliści zacisną na komunizmie pętlę sporządzoną ze sznurka składanych procentów i poگرzebią ich pod górą długów, których nigdy nie będzie można spłacić, ale trzeba będzie spłacać zawsze.

Wróćmy jednak do naszego „Programu realizacyjnego”. Owa „reforma” cen ma być głównym punktem tej realizacji, choć w „Programie” jej prawie nie ma. Głównym, ale nie jedynym. Będzie on uzupełniony odpowiedzią reformą płac, która również jest tylko wzmiankowana w „Programie”. Jak ma ona wyglądać, nikt jeszcze oficjalnie nie wie. Jedno tylko jest pewne, że musi ona prowadzić do zahamowania wzrostu płac. Płace, a z nimi i pozostałe dochody ludności, muszą przegrać w wyścigu z cenami, jeżeli ma się coś zmienić w obecnej sytuacji. Wydaje się jednak, że sektor płac jest jeszcze niebezpieczniejszym elementem zarówno nowej polityki, jak i reformy niż sprawa cen. Ludzie zniosą podwyżki cen, jeżeli jedno-

ześnie, a nawet awansem, a więc uprzedzająco będą szły podwyżki płac, tak, jak było dotychczas. Natomiast każda poważna próba zamrożenia płac przy ruchach cen musi spowodować wybuch i taki będzie koniec tej nowej polityki cenowo-dochodowej.

Wszystkie inne sprawy w „Programie” to ozdobniki stylistyczne i „wata” do wypełnienia miejsca. Merytorycznie, systemowo nie mają one żadnego znaczenia. W szczególności nie ma znaczenia szumnie reklamowana tzw. przebudowa centrum. Połączenie kilku resortów, zmniejszenia liczby foteli dyrektorskich, zmiana nazwy „ministerstw” na „wspólnoty”, to wszystko zabiegi maskująco-propagandowe. Jedna tylko reforma centrum mogłaby być gospodarczo pozytywna: jego samolikwidacja. Wydaje się jednak, że bez pomocy z zewnątrz, tzn. bez czynnego udziału sił społecznych ten etap „reformy” nie będzie osiągnięty. ■



Byt i świadomość

Realny socjalizm znajduje się w stałym konflikcie z nie nadającym się doń „społeczeństwem”, lecz ostre formy przybiera ten konflikt tylko co jakiś czas. Reżim trzyma się siłą, lecz stosuje ją na większą skalę sporadycznie, co wystarcza, aby groźba przemocy była stale realna. Ale do mniej więcej normalnego funkcjonowania systemu konieczny jest również pewien poziom jego pozytywnej akceptacji. Ustalił się więc od 1956 roku niepisany *modus vivendi* między władzą a społeczeństwem, wyrażany powiedzeniem: „dajcie nam żyć, a damy wam rządzić”. Gdy się zaś nie dawało żyć, co znaczyło, że władza łamała konwencje, wówczas społeczeństwo buntując się usiłowało ratować swe zagrożone interesy życiowe.

* * *

Zbiorowa próba ratowania się, podjęta w 1980 roku, w sytuacji jeszcze nie tak złej jak obecna, nie wyszła. Część społeczeństwa w jakiś sposób podjęła dalszą walkę o zmianę warunków wspólnego bytowania. Co prawda, pogrudniowa konspiracja okazała się procentowo największa z tych, jakie zna historia Polski, lecz i tak włączyła się w nią niewielka i stopniowo zmniejszająca się grupa. Również nikła, acz jakościowo znacząca, jest ta część, która zdecydowała się na emigrację, by ratować choć siebie. Zamiar ten zgłosiło w 1986 r. — 8% populacji. Ponad 37% kończących szkoły średnie i zawodowe w roku 1986 była prze-

konana o braku perspektyw dla młodzieży. W zbiorowości ludzi młodych, aktywnych, zdolnych i wykształconych wyrwa emigracyjna jest poważna i zrozumiała. Dla kraju jest to strata praktycznie niepowetowana. Dla władzy — pewna ulga. Tacy ludzie, nawet jeśli nie zasilają szeregów czynnej opozycji — a zasilają w poważnym stopniu — to zagrażają zastanym strukturom, na których się system opiera.

Inni ratują się połowicznie i nie bez pożytku dla kraju. Większy niż kiedykolwiek stał się napór na „saksy” tych, którzy słusznie liczą na wykorzystanie faktu, iż niewielka zarobiona na Zachodzie suma jest tu majątkiem. 51% badanej populacji w 1986 r. wyraziła ochotę wyjazdu zarobkowego za granicę. Płyną dzięki temu do Polski dewizy i wartościowe przedmioty. Inną formą swoistego wypisywania się z PRL jest ucieczka przedsięwziętych ludzi w prywatną inicjatywę. Można ubolewać, że elektronik marnuje zdolności handlując warzywami, ale istnieje prawdopodobieństwo, że marnował je również w instytucie, zaś przenoszenie się ludzi ze strefy mniejszej do większej efektywności wpływa dobrze na efektywność ogólną.

Władza z zasady nie lubi, gdy ktoś ma za dobrze dzięki własnej inicjatywie i pracy — a więc poza układem władzy, lecz toleruje to w sposób kontrolowany. Też ma z tego pewne profity, a potrafi tych ludzi, którzy z definicji powinni być wrogami systemu, uzależnić od niego kompromitując

siebie i ich. (To zabawne, ale istnieje tu podobieństwo do rosyjskiego feudalizmu. W XIX wieku w nieczarnoziemnej strefie Rosji, z biedniejszych majątków puszczano chłopów na zarobek do miast i pozwalano na prowadzenie własnego rzemiosła czy handlu — byli nawet pańszczyźniani fabrykanci na wielką skalę — pod warunkiem okupienia się dziedzicowi).

Ogromna większość społeczeństwa zmuszona jest jednak w dalszym ciągu funkcjonować w obrębie gospodarki państwowej, częściowo wspierając się udziałem w drugim obiegu. Ten obieg w dalszym ciągu jest traktowany przez władzę jako wyłom w systemie i w zasadzie zwalczany, lecz jakby mniej konsekwentnie niż przedtem. Władza wyczuwa, że to pewien sposób „dania żyć” wielu ludziom, a więc swoisty wentyl bezpieczeństwa społecznego, a zarazem narzędzie, za pomocą którego można ludzi zastraszyć i panować nad nimi. Albowiem, chociaż cały ten obieg nie może być rozpracowany policyjnie, to złapanie za rękę namierzonego człowieka nie przedstawia żadnych trudności.

Cały ten niepaństwowy sektor, oficjalny czy nie (poza rolnictwem, któremu jak gdyby dano już spokój), służy jako obiekt prymitywnej socjotechniki. Na dwóch piętrach. Na niższym szczuje się ludzie przeciw spekulantom i tym, którzy „żerują na kryzysie”, popularyzując działalność bardzo rozbudowanych organów wszelkiej kontroli i ścigania. Wciąga się nawet ludzi do społecznych form działalności policyjnej, by dać się im wyżyć i skorumpować. Jest to ostatnia już chyba płaszczyzna, na której władza spodziewa się zintegrowania społeczeństwa przeciw jakiemuś wspólnemu wrogowi.

Na wyższym piętrze próby dzielenia i rządzenia wyglądają inaczej. O ile do roku 1980 obowiązywał schemat jedności moralno-politycznej, o tyle teraz propaganda lansuje obraz społeczeństwa podzielonego według sprzecznych interesów gospodarczych, wobec których partia-państwo musi występować jako arbiter, na tej podsta-

wie, że dostrzega całość gospodarki, jej perspektywy, oczywiście na podstawie zrozumienia praw historii i gospodarki, a także na skutek swego... doświadczenia w zarządzaniu tym interesem. A ponieważ w dalszym ciągu nie bardzo jest dopuszczalne samodzielne organizowanie się wokół interesów grupowych, więc władza występowała by nie tylko w roli arbitra, lecz zarazem jako adwokat wszystkich stron w sporze.

Faktyczny spór wynika ze ścierania się odrębnych lobbies w aparacie. W propagandzie natomiast podkreśla się np. sprzeczny interes chłopów, którzy chcieliby sprzedawać jak najdrożej i wszystkich innych, którzy chcieliby mieć jak najtańszą żywność. Jest to oczywiście spór wymyślony, ponieważ cena jest naturalnym i najłatwiej osiągalnym przedmiotem kompromisu, gdy obie strony muszą zawrzeć transakcję. W tym przypadku jednak prawie całą wymianę miasto-wieś i tak zmonopolizowało państwo i ustala ją na arbitralnych warunkach. Oczywiście wielu jest niezadowolonych z cen ustalanych przez prywatną inicjatywę, na które w znacznym stopniu składa się podatek obrotowy, lecz znacznie więcej — z cen, które ustala państwo.

A w ogóle chodzi o ukrycie jednego i podstawowego sporu między wszystko organizującą władzą a wszystkimi podstawowymi grupami społeczeństwa, poza jej aparatem. Każda z tych grup odczuwa deprywację wynikłą z istoty systemu i polityki państwa, chodzi zaś o to, by w jak najmniejszym stopniu zdawały one sobie z tego sprawę.

★ ★ ★

Następny kierunek natarcia propagandowego to minimalizacja potrzeb — język parzystej dekady. Tak się złożyło, że w latach pięćdziesiątych za Bieruta i w siedemdziesiątych za Gierka, obowiązywał rozmach, optymizm, dawano obietnice szybkiego postępu. Kończyło się kryzysem. Otwarte przyznawania się do trudności i indolen-

KA PRZEBUDOWA-WSPÓLNA

cji — to z kolei styl lat sześćdziesiątych — Gomułki (co też się skończyło kryzysem) i — osiemdziesiątych — Jaruzelskiego — trwanie przez cały czas w kryzysie.

W związku z tym twierdzi się, że wychodzenie z tak ciężkiego kryzysu wymaga dłuższego czasu, podobnie jak wdrażanie reformy; że jak na istniejące możliwości, które się przecież uczciwie prezentuje, osiągnięcia są i tak niezłe, a plan, by dał się zrealizować, musi być taki, jaki jest. Przy tego rodzaju argumentacji w ogóle nie ukazuje się możliwości innego sposobu gospodarowania, znajdującego się poza ograniczeniami systemu. A w związku z tym publicystyka oficjalna lansuje pogląd, że konieczne jest uzyskanie akceptacji społecznej dla polityki zatrzymania na jakiś czas wzrostu stopy życiowej, bo nie ma szans na zwiększenie dóbr konsumpcyjnych.

Towarzyszą temu natrętniejsze niż kiedykolwiek wezwania do wytężonej, ofiarnej pracy i ogólnikowe stwierdzenie o konieczności pozytywistycznego podejścia do rzeczywistości, co należy odczytać głównie jako apel o rezygnację z aspiracji politycznych. Reżim blokuje jednak skutecznie wszelkie inicjatywy — również gospodarcze — które można by interpretować jako pozytywistyczne: Fundacja Rolna, paraliżowanie małych autentycznych spółdzielni mieszkaniowych, odmowa zarejestrowania organizacji chcącej włączyć się w proces rozwiązywania kryzysu mieszkaniowego itp. W tym ostatnim przypadku uzasadniono odmowę twierdzeniem, że zajmuje się tym państwo, a następnie powołano radę d/s mieszkalnictwa przy rządzie — jeszcze jedno fasadowe gremium.

Cały ów postgrudniowy pozytywizm sprowadza się więc znowu do lepszej pracy na państwowej posiadzi i rezygnacji z postaw roszczeniowych. Państwo uważa je za naganne i tworzy skomplikowane mechanizmy płacowe, które samo łamie, lecz które mają stworzyć wrażenie, że załogi same wypracowują sobie zapłatę, tak jak by nie odbywało się to według ekonomicznego

schematu. Chodzi zaś o zdjęcie z państwa odpowiedzialności za wysokość zarobków. Oczywiście, odczucie społeczne bezbłędnie wyłapuje różnicę między tą fikcją a rzeczywistością. W ankiecie „Polacy '84”, ze stwierdzeniem „zarobki i dobrobyt takich ludzi jak my bardziej zależą od polityki i ogólnych decyzji niż od naszej własnej pracowitości i zdolności” zgodziło się 64% odpowiadających (35,9% — zdecydowanie tak i 28,1% raczej tak).

* * *

Następne pole natarcia propagandowego to tzw. opiekuńcza rola państwa. Był to jeden z podstawowych kanonów, wręcz mitów realnego socjalizmu. Na samym początku, kiedy powszechny dobrobyt miał być jeszcze sprawą przyszłości, zwracano uwagę, że nowy ustrój zapewni wszystkim bezpłatne mieszkania, szkolnictwo, opiekę lekarską, tani lub darmowy dostęp do kultury, takż — do wypoczynku, rent i emerytur, no i powszechne zatrudnienie.

Wszystko to dawno stało się iluzją albo karykaturą, przy czym w okresie kryzysu ów proces desocjalizacji socjalizmu został wyraźnie przyspieszony. Mieszkań po pierwsze nie ma, a te, które się otrzymuje obecnie, są bardzo drogie, jak na stosunek zarobków do cen. Lecznictwo znajduje się w stanie rozkładu i jest w dużym stopniu skorumpowane: skuteczne leczenie wymaga bądź wysokiej pozycji społecznej, bądź znacznych środków.

Z oświatą jest podobnie, przy czym najwęższym gardłem są nieodmniennie przedszkola, w których miejsc jest zawsze kilkatrotnie mniej niż potrzeb, przy systemie wymuszającym pracę kobiet. Wyjazdy urlopowe w latach osiemdziesiątych stały się ze względu na cenę niedostępne dla większości zatrudnionych. Dostęp do kultury jest drogi, dla większości rodzin ogranicza się do posiadania czarnobiałego telewizora i odbiornika radiowego. Z rent i emerytur przeważnie nie spo-



sób wyżyć. Jedyne co pozostało, to praktyczna pewność znalezienia jakiejś pracy. Procesowi temu towarzyszy swoiste wypominanie na zasadzie: „Nie podoba się wam socjalizm, więc macie elementy kapitalizmu! Mówi się: „Tak zresztą jest w świecie, a w dodatku państwa w dobie kryzysu nie stać na taką nadopiekuńczość”. Tak bowiem nazywa się stan, w którym m.in. suma świadczeń socjalnych jest niższa od sumy wpłat i potrąceń na nie.

Z drugiej strony, stan ten prezentuje się ciągle jako wielką zdobycz, którą społeczeństwo mogłoby utracić wraz z demontażem socjalizmu. Jak zobaczymy za chwilę, do wielu ludzi dociera taka argumentacja. Ci, którzy widzą tylko dobrobyt Zachodu, oparty na wysokich płacach, nie bardzo zdają sobie sprawę z charakteru i sposobu działania różnych wariantów *welfare state*. Mało do kogo też dociera, że bezrobocie w bogatych krajach nie jest absolutnym brakiem wszelkiego zajęcia, jak było w Polsce w latach kryzysu 1929-33, lecz brakiem pracy, jaką zainteresowani uważają za im należną. W końcu byle jaką pracę znajdują gasterbeiterzy w Europie, Latynosi w USA i Polacy na saksach — wszędzie. Praca ta, na którą wybrzydząją w Polsce liczni publicyści nie jest na ogół gorsza niż to, co oferują nasze wydziały zatrudnienia, a co stanowić ma przedmiot dumy i być obywatelskim obowiązkiem.

* * *

Powtarzana już piąte dziesięciolecie socjalistyczna frazeologia ciągle jednak trafia do przekonania wielu, jakby na przekór doświadczeniu. Ponad 90% społeczeństwa dostrzega kryzys (wszystkie dane na ten temat pochodzą z ankiety „Polacy '84”), 40,3% zgadza się, że socjalizm zawsze w Polsce powodował niedostatek, lecz tylko 21,7% uznaje, że przyczyną kryzysu są zasady ustroju socjalistycznego, 71,6% wśród przyczyn kryzysu widzi brak wpływu społeczeństwa na władzę, lecz widać nie wszyscy łączą to z socjalizmem. 43,6% sądzi, że socjalizm ma większe możliwości rozwoju gospodarczego niż kapitalizm — 33,4% jest odmiennego zdania (zaś 50,1% uważa, że w kapitalizmie więcej jest niesprawiedliwości i wyzysku niż w socjalizmie).

Zakorzenione w umysłach przekonanie o przewadze socjalizmu jest widoczne, lecz jego popularność nie jest przytłaczająca i daleka od

oficjalnego kanonu, mówiącego, że społeczeństwo popiera zasady ustroju, zaś tylko jakaś antysocjalistyczna ekstremą jest przeciw. W dodatku owe prosocjalistyczne zapatrywania słabną z upływem czasu i mają raczej abstrakcyjny charakter. W ocenie realnej rzeczywistości społeczeństwo jest bardziej krytyczne. Według badań Centralnego Biura Opinii Społecznej w 1986 r. 53% ludności obarczyło winą rząd za stan gospodarki, a jeśli dodać do tego winiących inne instancje władzy, partię i ustrój, wartość ta osiąga 87%.

Znacznie bardziej istotny jest stosunek do konkretnych wartości i do koncepcji. Zupełnie nie znajduje w nim odbicia lansowany przez władzę pogląd, że przemożny egalitaryzm społeczeństwa uniemożliwia proefektywnościową reformę. Tendencje egalitarystyczne występowały jeszcze w 1980 roku, lecz był to podyktowany doraźną sytuacją protest przeciw przywilejom ludzi władzy i etosowi gierkowskiego dorobkiewiczostwa. Wówczas elitaryzm kojarzono z władzą i siłą rzeczy był on sprzeczny z solidarnościowym nastrojem społeczeństwa. Dość szybko uległa ta postawa zmianie.

Już w 1984 roku 80,8% ankietowanych było za silnym zróżnicowaniem zarobków w zależności od kwalifikacji, podczas gdy w 1980 r. było za tym tylko 53,4%. Ograniczenia najwyższych zarobków domagało się w 1980 r. 89,7%, a w 1984 r. — 56,2%. Polityki pełnego zatrudnienia żądało 77,8% w 1980 r. i 53,4% w roku 1984. Aż 34,4% dopuszczało w 1984 r. bezrobocie, a 81,9% godziło się na zwalnianie nieefektywnych pracowników. Tyle samo było za wprowadzaniem praw rynku i konkurencji. Natomiast za większym udziałem sektora prywatnego w gospodarce wypowiedziało się 59,5% ankietowanych, w tym 62,3% robotników wykwalifikowanych i 55,3% niewykwalifikowanych.

Lansowanie przez propagandę twierdzenia, że klasa robotnicza jest przeciw inicjatywie prywatnej, to ewidentne kłamstwo i próba stwarzania konfliktu tam, gdzie go nie ma.

Już w roku 1984 r. tendencje egalitaryzujące przypisywano władzy, którą widziano raczej jako przeciwnika proefektywnościowych przeobrażeń. Odbierali ją tak zarówno jej zwolennicy jak i przeciwnicy, tylko z odmienną oceną. Ci, co byli za władzą — 21,2% popierających wzrost roli PZPR w gospodarce — jawili się jako przeciwnicy refor-

my, ci, co byli za reformą, byli przeciwnikami władzy — 58% przeciwnych wzrostowi roli PZPR w gospodarce i uważali, że władza jest reformie przeciwna.

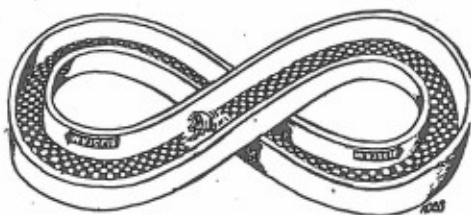
Jednocześnie zaobserwowano, że pomimo kryzysu, poziom potrzeb materialnych raczej wzrasta — 96,7% wymieniło dostatnie życie jako wartość ważną dla dobra Polski. Przekreśla to nadzieje na redukcję potrzeb do poziomu redukujących się możliwości systemu, na czym władza chciałaby oprzeć swój plan stabilizacji.

W rozbiciu na poszczególne grupy społeczne: zwolennicy polityki gospodarczej władzy przeważają wśród ludzi starszych, raczej o niższych kwalifikacjach, mieszkających w mniejszych ośrodkach. Młodszy, wykwalifikowani, są jej raczej przeciwni. Istotny jest bardzo podział na robotników wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych, jeśli chodzi o stosunek do rzeczywistości społecznej. Podważa on opinię o klasie robotniczej jako o w miarę jednolitej grupie.

Bardzo natomiast jednolity jest stosunek do sposobów „regulacji”, stosowanych przez władze wobec wystąpień społecznych. Podejście do form protestu jest zróżnicowane — wobec najważniejszej — strajku — 48% było za i 41,6% było prze-

ciw. Natomiast przeciw użyciu wojska wobec strajkujących było 78,8%, przeciw użyciu milicji wobec demonstrantów — 70,1%, przeciw surowym wyrokom za demonstracje — 66,9% i przeciw zakazowi protestu — 59%. Nie wynika z tego, że władza nie ucieknie się ponownie do tych metod, lecz wiadomo, że nie będzie mogła liczyć na zrozumienie w tym względzie. Stan wojenny wyczerpał się jako narzędzie polityczne, mające uzdrowić gospodarkę, i to w okresie, gdy konflikt społeczeństwa z systemem znowu może wejść w ostre stadium.

W-wa, wrzesień 1987



LIBELLA

12, rue St-Louis-en-l'île — 75004 Paris, France
Métro: Pont Marie Tel 43-26-51-09
polecia swoje wydawnictwa

KRYSTYNA KERSTEN Narodziny systemu władzy Polska 1943-1948

... Autorka zajmuje się centralnym problemem władzy i próbuje odpowiedzieć na pytanie, w jakich okolicznościach wewnętrznych i zewnętrznych stało się możliwe, że garstka ludzi związana z ruchem komunistycznym, nie mająca początkowo prawie żadnej bazy społecznej oraz bardziej niż niepopularna w kraju ustanowiła władzę, utrzymała ją i przystąpiła do budowy systemu socjalistycznego. Na tym tle pokazany jest wielki dramat narodu opuszczonego przez mocarstwa zachodnie i zdanego na łaskę „wielkiego sąsiada”.

/Recenzje. Emanuel Halicz. Narodziny systemu władzy.

„Zeszyty Historyczne Nr 77. Paryż 1986./

Cena franków fr. 120.00

plus przesyłka 10 %

Stron: 393

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT
Katalogi bezpłatnie wysyłamy na każde żądanie

Ziemia oskarża

Pod wspólnym tytułem przedrukowujemy obszerny fragment doniesień polskiej prasy podziemnej o odnalezionych w lipcu br. zbiorowych mogiłach w pobliżu wsi Giby w Puszczy Augustowskiej — red.

„Każdy pretekst, nawet pretekst tak wątpliwy jak leśne cmentarzysko okazał się dobry do podejmowania prób jątrzenia stosunków polsko-radzieckich. Ten zaś pretekst jest szczególnie podły” — powiedział na konferencji prasowej 21 lipca Jerzy Urban komentując doniesienia zachodniej prasy na temat masowych grobów odnalezionych w pobliżu wsi Giby w Puszczy Augustowskiej.

Na przełomie lat 1944-45 państwo podziemne w istocie już nie istniało. 19 stycznia 1945 r. rozwiązano AK. Tym niemniej wobec aresztowań dokonywanych przez Armię Czerwoną wiele oddziałów poakowskich chroniło się w lasach, na wielu obszarach istniała rozbudowana za czasów okupacji struktura konspiracyjna. Pierwsza fala aresztowań szła wcześniej, razem z frontem. 27 dywizja AK na Wołyniu, a później wileński obszar AK, wzięły udział zgodnie z planem „Burza” w walkach z Niemcami i ujawniły się wobec Rosjan. Po krótkim okresie współdziałania frontowego zostały przez Rosjan rozbite: kadrę oficerską aresztowano, oddziały zostały rozproszone. W tej sytuacji dowódca okręgu białostockiego, Władysław Liniarski nie wziął udziału w planie „Burza” i nie zdekonspirował się wobec Rosjan. Jesienią 1944 r. Rosjanie dokonali na Białostocczyźnie masowych aresztowań, łapiąc na osłep, np. podróżujących mężczyzn. Złapanych transportowano do Ostaszkowa, a następnie do obozu w Diagilewie. Większość z nich wróciła do kraju w drugiej połowie 1947 roku.

Druga fala aresztowań przyszła wiosną 1945 roku. W marcu 1945 masowe aresztowania prze-

prowadziło NKWD w Rzeszowskim, Lubelskim i na Podlasiu. Na majowym plenum KC PPR komendant MO Franciszek Józwiak zalił się, że na tyle zaniedbano organizowanie polskich sił bezpieczeństwa, że Armia Czerwona „likwiduje bandy” w Białostockim, Rzeszowskim, Lubelskim. To wszystko są fakty znane, nie podważane przez historyków niezależnie od ich orientacji. To, co działo się na Suwalszczyźnie w połowie lipca 1945 roku, a więc już po zakończeniu działań wojennych na europejskich frontach wojny, ludność Gib, Rygoli, Kudrynek, Dworczyńska i dziesiątków innych wsi pamięta doskonale do dziś. Nie trudno znaleźć rodziny, które straciły wówczas bezpowrotnie swoich bliskich.

Według jednych relacji 12 lipca, według innych dwa dni później, powracające z Niemiec wojska marszałka Rokossowskiego przeprowadziły na Suwalszczyźnie akcję pacyfikacyjną aresztując według szacunkowych obliczeń ok. 4000 osób. Według jednych relacji aresztowania dokonywane były wg sporządzonych uprzednio list, według innych były zupełnie przypadkowe — wioskę otaczało wojsko, zabierano wszystkich dorosłych mężczyzn. Aresztowanych przetrzymywano w kilku miejscowościach, m.in. właśnie w Rygoli i Gibach. Prowadzący śledztwa, wymuszali zeznania, bili i torturowali.

Po upływie ok. tygodnia więźniów wywieziono w nocy. Wg niektórych relacji samochody więźniarki robiły kurs co godzinę wioząc zatrzymanych z Rygoli w stronę Gib i odwrotnie. Kilka dni później wojska radzieckie przeniosły się na wschód. Od tego czasu po aresztowanych ślad zaginął — w przeciwieństwie do zatrzymanych pół roku wcześniej, nikt nie powrócił ani nie dał znaku życia. Nie pomagały poszukiwania przez MCK podejmowane przez wszystkie niemal rodziny zatrzymanych. Coraz mocniej rozpowszechniało

się przekonanie, że złapani w lipcowej obławie nie zostali nigdzie wywiezieni, lecz pomordowani i ukryci w grobach na terenie Puszczy Augustowskiej. Nic dziwnego, że kiedy mieszkaniec wsi Dworczyso Stefan Myszczyński 29 czerwca 1987 napotkał w lesie masowe groby wieść rozniosła się po okolicy błyskawicznie. Ze wszystkich okolicznych miejscowości na teren grobów zaczęli przybywać ludzie. Pojawiły się wkrótce kwiaty, ktoś postawił brzoźowy krzyż. Wszyscy czekali, co powie władza. Komisja przyjechała 15 lipca i po kilkugodzinnej zaledwie pracy orzekła — co ogłosił potem Urban, że są to niemieckie groby wojskowe.

Komisja pracowała krótko, błyskawicznie doszła do właściwych wniosków, ale jej ustalenia i sposób działania budzą sporo wątpliwości. Komisja poprzestała na rozkopaniu zaledwie niewielkiej części grobów — w istocie jest ich o wiele więcej. Dlaczego?

Zebrany licznym okolicznym chłopom pokazywano rzeczywiście znaczki identyfikacyjne niemieckie i niemieckie guziki. Ludzie dobrze jednak pamiętają, że 42 lata temu w lasach sporo było Niemców przedzierających się w kierunku Niemiec. Wśród zatrzymanych przez Rosjan „nasze i Niemce” byli przemieszani. Dlaczego komisja nie próbowała interpretować przedmiotów niezbyt pasujących do przyjętej tezy, a znalezionych w grobach — damskiego kołczyka, kozucha, faktu, że jeden ze szkieletów miał nogi spięte drutem, a kilka czaszek było przestrzelonych z tyłu?

Skąd i dlaczego komisja autorytatywnie orzekła, że w pobliżu znajdował się szpital polowy, kiedy nikt z miejscowych nie pamięta tego faktu? Dlaczego cmentarz niemiecki został ukryty wśród gęstych kilkuletnich choinek, bez żadnego znaku rozpoznawczego, a teren tak zamaskowany, że chłopci dowiedzieli się o jego istnieniu dopiero po 42 latach?

Groby znajdują się dokładnie w połowie drogi między Rygolą a Gibami — kilkadziesiąt metrów od bitej drogi. Komisja nie udzieliła odpowiedzi na żadne z tych pytań i nie zamierza ich udzielić. „Komisja historyków radzieckich i polskich pracuje żmudnie i w pocie czoła, żeby we właściwy sposób naświetlić białe plamy w historii stosunków polsko-radzieckich.”

A chłopci pytają: gdzie są Mieczkowscy z Gruszek — ojciec i trzech synów, Jan Kornacki z

Rygoli, Stanisław Kozielski z Rudawki, Józef Przekopowski z Kudrynek, Zyta Kucharzewska z Gib, Sienkiewicz z Mikaszówki? Nie wiedzą, czy odnalezione groby to te groby, czy nie te. Ale są przekonani, że „nasi” w tym lesie leżeć muszą.

(Przegląd Wiadomości Agencyjnych, nr 27, 19.08.87)

(...) Oto, co pozostało w pamięci niektórych osób z tragicznych wydarzeń w lipcu 1945 roku.

Wspomina Andrzej K., wówczas mający 16 lat: — Zabrali moją 19-letnią siostrę Krystynę. Uwięzili ją w zagrodzie sąsiada, którą Rosjanie przekształcili na więzienie. Obora i stodoła były już zapchane ludźmi, więc siostra była trzymana w ubikacji. Przez dwa tygodnie przychodził do nas żołnierz rosyjski i zabierał dla siostry jedzenie. Potem nadeszła noc. Pod każdym domem i przy każdym oknie ustawili się rosyjscy żołnierze; nam nie wolno było wyglądać. Ukradkiem spoglądałem przez okno. Samochody podjeżdżały pod zagrodę sąsiada, ładowano do nich aresztowanych. Naliczyłem jedenaście ciężarówek. Samochody kierowały się polną drogą do puszczy, chociaż obok przebiegała utwardzona droga do Sejna. O świcie pobiegliśmy do zagrody sąsiada — było pusto i ponuro. W jednej z izb znaleźliśmy długie, drewniane igły ze śladami krwi — tam pewnie prowadzili śledztwo, tortuowali ludzi. W innym pomieszczeniu stała kadź pełna krwawej wody; ktoś powiedział, że tam musieli w niej myć się pobici i męczeni. W chlewie więźniowie także byli trzymani, ściany były pomazane. Rosjanie usunęli napisy, które zrobili aresztowani. W ubikacji nie było Krystyny. Jedyne ślady, jaki po niej pozostał, to napis ułożony z kamyczków, którego jednak nie udało się odczytać, bo ktoś wcześniej je rozgarnął, pewnie butem. —

Prawie 80-letnia Hanna B. straciła wtedy męża: — Był kowalem. Najpierw zabralo go dwóch żołnierzy rosyjskich niby do wyjaśnienia, tak mówili. Trzymali go dzień i wypuścili. Po tygodniu przyszedł o świcie i powiedzieli, żeby mąż zaprowadził ich do sąsiada. Poszedł z nimi. Więcej go nie widziałam. Zostałam sama z trójką małych dzieci. Nacierpiałam się i nabiedowałam. O męża, o wyjaśnienie, co się z nim stało, pisałam do Genewy. Nic nie wiedzieli. Byłam w ambasadzie rosyjskiej, pisałam do nich prośby. Nigdy nie

otrzymałam ani jednej odpowiedzi. Posyłałam tam też listę, na której podpisało się 70 świadków, że mąż nie był partyzantem. —

Katarzyna S., gdy mówi o tym, co się u niej wydarzyło przed czterdziestu z górą laty, blednie i trzęsie się. Dwaj żołnierze rosyjscy chcieli ją zgwałcić na oczach syna. On ich odciągał, więc jeden z nich go pchnął i kopnął. Katarzyna wyrwała się drugiemu i wyskoczyła przez okno. Umknęła. Wróciła w nocy do domu. Czekwała na 14-letniego syna. Do dziś nie wrócił.

Jakub S. 14 lipca 1945 r. widział, jak z Puszczy Augustowskiej wychodzą tyralierą żołnierze rosyjscy. Zabrali ze wsi wszystkich mężczyzn, w tym trzech jego braci i ojca. Początkowo aresztowanych przez trzy dni trzymali pod strażą na polu. Później pogonili do odległej wsi, gdzie zapędzili do stodoły wraz z innymi ludźmi z okolicy. Po dwóch tygodniach wróciła do wsi połowa mężczyzn, lecz nikt z rodziny Jakuba S.

Ludzie z Gib, którzy pamiętają tragiczne wydarzenia z lipca 1945 r. wymieniają rosyjskiego generała o nazwisku Zacharow i pułkownika Dobruszyna. Wiele też jest pogłosek. Na przykład mówi się, że w jednej ze wsi pomagał w aresztowaniach milicjant bez jednego oka, że w innej zatrzymawano wszystkich, których nazwiska była na specjalnej liście przygotowanej przez władzę ludową. Na temat tego, co stało się z aresztowanymi też snute są rozmaite przypuszczenia. Mogli zostać wywiezieni, do granicy rosyjskiej stąd jest niedaleko. Żyją podobno świadkowie, którzy uczestniczyli w kopaniu dużych rowów w Puszczy Augustowskiej. Udało im się uciec. Te rowy — mówi pogłoska — to masowe groby pomordowanych mieszkańców okolicznych wsi. Rosjanie po dokonaniu zbrodni mieli zasypać groby ziemią, ubić przy pomocy czołgów nawierzchnię i zamaskować młodymi drzewkami.

(KOS, 30.08.87, nr 14/122)

★ ★ ★

Suwałki, 2 sierpnia 1987 r.

W lipcu 1945 r. na polskich ziemiach przygranicznych Suwalszczyzny, pomiędzy Puńskiem a Dąbrówą Białostocką wojskowe władze radzieckie przeprowadziły wśród ludności polskiej masową akcję zatrzymań. Objęła ona wiele setek osób. Zabieranym z domów wyjaśniano, że po sprawdzeniu dokumentów zostaną zwolnieni. Los

tych ludzi nie jest do dziś znany — nikt z nich nie powrócił ani nie dał znaku życia. Podejmowane przez rodziny próby poszukiwań nie dały rezultatów.

W lipcu 1987 r. na uroczysku Wielki Bór, przy drodze odkryto masowe groby. Wzbudziło to poruszenie w wielu rodzinach. Zapytany w dniu 21 lipca 1987 roku o los zaginionej ludności Suwalszczyzny rzecznik prasowy rządu uchylił się od odpowiedzi. Pragnąc dopomóc rodzinom w ich staraniach o powrót zaginionych lub ustalenia ich losu, w przekonaniu, że wyjaśnienie białych plam w historii stosunków polsko-radzieckich leży w interesie obu krajów, powołujemy Obywatelski Komitet Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w lipcu 1945 r. Komitet będzie dążył do ułożenia kompletnej listy zaginionych, ustalenia ich losów i umożliwienia powrotu do domów. Komitet apeluje do władz PRL, ZSRR, Kościoła, Czerwonego Krzyża, wyspecjalizowanych instytucji polskich i międzynarodowych oraz wszystkich ludzi dobrej woli. Prosimy o przekazywanie informacji na ręce:

Piotra Bajera, 16-400 Suwałki, ul. Reja 76/2, tel. 620-05,

Mirosława Basiewicza, 16-509 Pogorzelec, wieś Białogóry,

Stanisława Kowalczyka, 16-400 Suwałki, ul. Szamanowskiego 6/13.

Obywatelski Komitet Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w Lipcu 1945 r.

(Z dnia na dzień, nr 25/450, 3-23.08.87)

★ ★ ★

3 września br. członkowie Komitetu Obywatelskiego zajmującego się poszukiwaniem zaginionych w 1945 r. mieszkańców Suwalszczyzny — co do których istnieje przypuszczenie, że zostali zamordowani przez NKWD w pobliżu wsi Giby — zostali wezwani do Wydziału Spraw Wewnętrznych Urzędu Wojewódzkiego w Suwałkach. Piotr Bajer, Mirosław Basiewicz i Stanisław Kowalczyk usłyszeli tam, że ich Komitet jest nielegalny, ponieważ nie figuruje w rejestrze stowarzyszeń. 5 września br. dyrektor wydziału wydał decyzję zakazującą działania Komitetowi. W uzasadnieniu podano, że do poszukiwań powołane są PCK i ZBOWiD, a działania nowego stowarzyszenia mogą wywołać dezorientację i niepokój społeczny.

(PWA, nr 32, 23.09.87)

Czas

Jest to ładna tradycja prasy, podtrzymywana w PRL nawet w ciemnych czasach zaostrzającej się, stalinowskiej walki klasowej by w numerach bożonarodzeniowych drukować pogodne opowiadki, sentymentalne wspomnienia, historie łzawe i wzruszające lub anegdotycznie zabawne, a zawsze przesiąknięte, jak zapachem choinki, atmosferą zapomnianej i na codzień wyklętej ludzkiej zwyczajności, życia poza ideologią i polityką.

Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć w świątecznym numerze choćby *Tribunu Ludu* ani uchwały Biura Politycznego ani wspomnienia o Dzierżyńskim. Boże Narodzenie nie było nigdy okazją do wezwań o wzmoczenie dyscypliny pracy ani przeciwstawianie się amerykańskiemu imperializmowi.

W gazetach wypływanych w Polskę w wigilijny poranek zwykły patos proletariacki, codzienna dialektyka władzy, a w ostatnich latach linia porozumienia i walki ustępowały i ustępują taktownie tradycji zaświadczającej, że trwanie kultury nie zostało przerwane. W radio idą kołody, stoliki spikerów telewizyjnych ozdabiane są choinkami. W czas bożonarodzeniowy Polska Ludowa staje poza czasem.

To niezwykle jak na blok realnego socjalizmu zjawisko można sobie tłumaczyć rozmaicie. W kategoriach politycznych świadomością władzy, że walczyć można z klerykałizmem, z Kościołem, z religią — a więc z instytucją i światopoglądem — ale nie z wartościami tradycyjnie związanymi z Bożym Narodzeniem; w kategoriach psychologicznych tym, że i Bierut i Gomułka i Jaruzeński i Kiszczał byli kiedyś pętkami w krótkich spodenkach, podkradającymi cukierki z choinki i z drzeniem serca czekającymi na rozpakowanie prezentów. A wszak politycy, zwłaszcza tej klasy

— jak wiadomo od Znanieckiego — nigdy nie wyrastają z dzieciństwa. Jakkolwiek by było, pewne jest jedno — Boże Narodzenie w Polsce to wyspa czasu, położona poza marksistowską dialektyką historyczną. Przez te dziwne trzy dni Polska Rzeczpospolita Ludowa staje w miejscu, urywa się jej pochod od socjalizmu realnego ku rozwiniętemu (czy może odwrotnie), nie realizuje, nie walczy, nie planuje i nie wykonuje. Traci wszystkie atrybuty swego bytu.

W Boże Narodzenie Polska Ludowa przestaje istnieć.

Przez trzy dni istnieje po prostu Polska, ta sama, która przetrwała okupację, zabory, rozbiory, wojny szwedzkie i krzyżackie. Polska, która przetrwała historię — ani klasowa, ani ludowa, ani nawet narodowa. Polska wspólnoty, której nie tylko religijnym symbolem jest opłatek.

Zdumiewającą własnością polskiego Bożego Narodzenia jest przywracanie czasu bezpowrotnie, zdawałoby się, minionego. W końcu, mimo największych trudności, wszystko jest tak, jak było za naszego dzieciństwa, i dzieciństwa naszych rodziców, i rodziców naszych rodziców. W magmie ciągłych zmian, wśród codziennej szarpaniny i huśtawki Boże Narodzenie jest punktem stałym, niezmiennym, niewzruszonym, w którym oparcia szuka kolejne już pokolenie.

Zagadka Bożego Narodzenia jest zagadką samego czasu, o którą rozbiło się tyle filozoficznych dociekań i tyle talentów pisarskich, usiłując pogodzić okrucieństwo czasu z przemijalnością cierpienia. Klęska optymizmu jest z góry określona czasem.

Historia niczego nie wybacza

LESZEK KOŁAKOWSKI ALBO NAMIĘTNOŚĆ FILOZOFII
Z OKAZJI 60-LECIA URODZIN



Mówi się, iż stał się spokojniejszy i mądrzejszy. Wiąże się to ponoć z postępującym wiekiem. Wcale nie uważam, by był spokojniejszy, a mądry jest już od dawna. Być może dzisiaj, kiedy jest starszy, rzucają się w oczy, poza energią i temperamentem jeszcze inne cechy charakteru: dokładność, ostrość rozróżniania, łagodna nieubлагalność, sarkazm połączony z duchem pojednania — rycerska uczciwość urodzonego samotnika. Kołakowski, urodzony w Radomiu, już w młodości wywierał tymi cechami silne wrażenie na przeciwnikach i niepokoił nimi swoich zwolenników: jakie jest jego stanowisko, czy jest rzeczywiście „jednym z nas”?

Początki kariery Kołakowskiego są absolutnie jednoznaczne. Początkowo był zapaleńcem i zelotą¹. Młody student, robiący furorę na Uniwersytecie Łódzkim i habilitujący się w roku 1953 u Adama Schaffa w Warszawie, był nie tylko cudownym dzieckiem filozofii — w owych czasach trudno byłoby go odróżnić od ortodoksyjnego marksisty. Rodzice Kołakowskiego byli lewicującymi intelektualistami i wolnomyślicielami. Matka zmarła wcześniej. Ojca zdradzili rodacy i wydali hitlerowcom, z których ręki poniósł śmierć. Kołakowski w wieku 17 lat przeżywa wkroczenie Armii Czerwonej jako wyzwolenie — wyzwolenie od Pol-

ski, z którą wiązały się mgliste wspomnienia o marszałku Piłsudskim, pułkownikach, niekończących się kłótniach w sejmie i zajadłych walkach mniejszości narodowych. Zachód protestował tylko werbalnie przeciwko rusyfikacji kraju; gwarancje mocarstw zachodnich i zapewnienia Churchilla nie przyniosły niczego; armia polska i jej zwycięstwa przegrały i pogubiły się na emigracji. Cóż więc było bliższe, jak nie namiętne zaangażowanie się młodego filozofa w to, co zostało ogólnie przyjęte za nieodwracalny bieg historii.

Przeciwko religii i zwątpieniu

Tak więc Kołakowski podjął walkę na dwóch frontach — przeciwko religii i filozoficznym wątpliwościom, przeciwko klerykałom i pozytywistom — a w związku z tym przeciwko utartej polskiej tradycji akademickiej. Historia toczyła się jednak dalej. Nadszedł czas secesji Tito, 17 czerwca w Berlinie, Chruszczow, XX zjazd KPZS, upadek kultu Stalina i rehabilitacja ludzi, którzy po pokazowych procesach zostali zamordowani lub odstawieni na boczny tor. Filozof prezentował w swych wykładach i pracach humanistyczny marksizm. Tezy i dokumenty Kołakowskiego, które szybko ulegały konfiskacie, krążyły na kongresach filozofów i zebraniach młodzieży partyjnej. W ten sposób stał się przywódcą duchowej opozycji polskiego października 1956 r. Jego przemówienia utorały

¹ zelota — fanatyczny, zagorzały, namiętny entuzjasta jakiejś idei, religii itd. (przyp. tłum.)

drogę Gomulce, owemu długo potępianemu „krajowemu komuniście”, który zastąpił satrapów ery Bieruta. Później jednak racja stanu nowych władców zwróciła się przeciwko niemu; karami dyscyplinarnymi wykazywali swą wierność wobec Moskwy i Berlina Wschodniego. Kołakowski, chory na płuca, mógł jeszcze wyjechać na rok do Paryża i Amsterdamu, a w 1958 r. objąć katedrę filozofii na Uniwersytecie Warszawskim, lecz coraz bardziej ograniczano wolność jego publikacji i wystąpień. Już od 1958 r. moskiewska *Prawda* zaliczała go do „równie niebezpiecznych rewizjonistów jak Imre Nagy, Bernstein i Kautsky”. W 1966 r., 10 lat po polskim październiku Kołakowski musiał ostatecznie stwierdzić, iż próby przeprowadzenia reform spełzły na niczym. Partia komunistyczna wykluczyła go ze swoich szeregów. W 1968 r. stracił również katedrę filozofii. Odtąd mieszka i wykłada na Zachodzie: w Montrealu, Berkeley, Yale, Chicago, New Haven, Oxfordzie — wciąż jeszcze posiadając polski paszport.

Jürgen Habermas starał się w 1970 r. ściągnąć go na katedrę filozofii we Frankfurcie, jednakże członkowie tamtejszego wydziału zaprotestowali w otwartym liście, stwierdzając, iż Kołakowski wykazuje „niedostateczną wierność nauce marksistowskiej”. (...)

Patrząc wstecz na swój „okres rewizjonistyczny” Kołakowski stwierdza, iż nadzieje rewizjonizmu opierały się na iluzjach. Musiano się przekonać, iż stalinizm jest konsekwentną kontynuacją nauki i strategii leninowskiej i że niektóre z tych cech komunizmu posiadają swe korzenie w fundamentach marksistowskiej teorii społecznej. „Polityczny rewizjonizm panował w Polsce jeszcze kilka lat. Jego koniec nadszedł w 1968 r. wraz z odejściem od alternatywnej ideologii ortodoksyjnego dogmatu komunistycznego. Od tego czasu komunizm jako zjawisko filozoficzne przestał istnieć w Europie Wsch.; oficjalna doktryna państwowa stała się nieodzownym rytuałem, uzasadniającym słusznosc systemu władzy. Komunizm jest jednak martwy intelektualnie i nie posiada wyznawców; ani rządzący ani rządzeni nie wierzą weń.” (Człowiek bez alternatywy, 1984).

Kołakowski jest autorem na wskroś politycznym. Najwięcej uwagi i zaangażowania poświęcił tematowi odpowiedzialności jednostki za własne czyny — i to w czasach, kiedy roi się od taniach odciążeniach zbiorowych, tez o nieuchronności i historyczno-filozoficznych dowolności. Z pewnością

przeżycia osobiste odegrały tu znaczną rolę. Sam doświadczył i dał świadectwo jak zdeklarowane myślenie może poszerzyć swobodę działania — nawet w niesprzyjających warunkach stalinowskiego dogmatu. Te doświadczenia usiłuje przekazać sceptycznie nastawionemu pokoleniu na Zachodzie. Któż byłby tu bardziej wiarygodny, jeśli nie on?

Historia niczego nie wybacza. Zmienność ducha (lub czynników realnych) nie wymazuje osobistej odpowiedzialności. „Przywołci ludzie zadają sobie pytanie, w jakim stopniu powinni angażować się w sytuacje, które nie są całkiem przyzwoite — a z takich składa się większość ich ziemskiego żywota.” Tak formułuje to zagadnienie niespełna 30-letni Kołakowski i będąc wówczas jeszcze komunistą udziela odpowiedzi, która zdziwia swym dualizmem: „W związku z tym wyznajemy doktrynę totalnej odpowiedzialności jednostki za własne czyny i amoralności procesów historycznych. W drugim przypadku powołujemy się na Hegla, w pierwszym na Kartezjusza, autora znanego prawa, którego konsekwencje na pierwszy rzut oka nie są rozpoznawalne: nie istnieje tak słaba dusza, która przy dobrym prowadzeniu się nie byłaby w stanie zdobyć władzy absolutnej nad swoimi namiętnościami... Nie mamy prawa sprowadzać naszego świadomego zachowania się do jakiegoś czynnika, który je determinuje, gdyż posiadamy w każdym przypadku władzę podejmowania decyzji.” (Człowiek bez alternatywy, 1984).

A więc praktyczna decyzja jest wyborem wartości, aktem moralnym i nie podlega żadnym historyczno-filozoficznym uwarunkowaniom. Zaangażowanie społeczne jest zaangażowaniem moralnym, nie podlega niesprawdzonemu kultowi „praw historycznych”. Nic, co wybiega w przyszłość nie podlega przymusowi konieczności, który odnosi się tylko do przeszłości.

Takie rozważania musiały dość wcześnie wyrzucić Kołakowskiego z orbity historycznego materializmu. W istocie rzeczy jego prace prawie od samego początku zawierały motywy późniejszej krytyki marksizmu. Jest w nich dokładny dowód historycznych dogmatów eschatologicznych² sposobów rozumowania w marksizmie, krytyka „mistrzów” oportunistycznie usprawiedli-

² eschatologia — ogół poglądów na temat ostatecznych losów jednostki ludzkiej i (końca) świata (przyp. tłum.)

wijających system, jest sarkastyczny opis urzędowo zorganizowanego poznania prawdy i jej rewizji. Istnieją również przeciwieństwa: mieszczańsko-intelektualny „Clerc” z traktatu Juliana Bandy³, błazen jako element sprzeczności na dworach władzy; jest tu też (o ile wcześniej niż u Enzensberga) pochwała niekonsekwencji, protest przeciwko demitologizacji kultury, protest przeciwko wizji jedności społeczeństwa mieszczańskiego i politycznego. I jest tu też, pod wieloma postaciami, wygadany diabeł, z którym Kołakowski, jak zaden z innych współczesnych filozofów, prowadzi poufale dialog. W filozofii podejmowania decyzji i wolnego wyboru jest on koniecznością i wszechobecną postacią — reprezentuje przecież zło nie jako środek i narzędzie, lecz jako cel sam w sobie. Diabeł nie podlega żadnym reformom.

Kołakowski broni wciąż uniwersalności rozsądku przed współczesnym zwrotem ku szczegółom, takim jak rasa, klasa, naród. Niezwykła dyscyplina intelektualna, surowość, logika, erudycja, kultura nie są dla niego dobrami „panujących”, których należy tego pozbawić — należą one do całej ludzkości, są dostępne dla wszystkich, którzy o nie zabiegają. Z pewnością pozycja intelektualisty jest w pewnym stopniu uprzywilejowana, z pewnością swoboda, samotność i wolność powiązane są z materialnymi uwarunkowaniami, jak i z pewnością cały postęp żyje wolnym czasem, który jedni posiadają, a drudzy (jeszcze) nie. Następnym tego musi być możliwość poszerzenia uczestnictwa, a nie stawianie kultury i wykształcenia pod pręgierzem ideologicznych podejrzeń. Według Kołakowskiego największym nieszczęściem uciskanych i niedorozwiniętych klas i narodów jest niemożność uczestnictwa w rozwoju duchowej kultury — zadziwiające stwierdzenie, które jest zarówno zaprzeczeniem kulturalnego obrazoburstwa jak i nadziei na spontaniczne narodzenie się z rewolucyjnego ognia „nowej kultury”.

Autonienawiść intelektualistów

Równość nie może oznaczać, że wszystkich zrównuje się do poziomu najmniej uświadomionej jednostki; niedorozwoju kulturalnego nie powinno się marzycielsko podziwiać lecz leczyć. W tej pozbawionej sentymentu maksymie polskiego filozofa tkwi cały program kształcenia. Kołakowski

sprzeciwia się Sorelowi i jego uczniom, którzy chcieli zburzyć wszystkie mosty na drodze ku racjonalnej kulturze mieszczańskiej, by w ten sposób dać wolne przejście dla irracjonalizmu i anty-intelektualizmu w ruchu robotniczym; Kołakowski przeciwstawia się również rewolucyjnemu „kultowi proletariatu”, który neguje tradycję kulturalną, krytykuje maoizm, rewolucję kulturalną. Swą krytykę kieruje także ku współczesnym intelektualistom zachylającym się ruchem natywistycznym w Trzecim Świecie, prymitywizmem i „pierwotnością”.

„Współczesny zachwyt intelektualistów ruchami chłopskimi i lumpenproletariackimi, jak i ruchami mniejszości narodowych jest zachwytem nad tym wszystkim, co w nich reakcyjne i wrogie kulturze: pogarda dla wykształcenia, afirmacja przemocy i ducha zemsty, rasizm (gdym rasizm dyskryminowanej mniejszości, jak np. wśród niektórych członków amerykańskiego ruchu murzyńskiego pozostanie rasizmem).

Czym innym jest sprawa popierania uciskanych warstw ludzkich w ich walce o przezwyciężenie nędzy i poniżenia, a czym innym jest popieranie każdego rodzaju barbarzyństwa, jeśli jego źródłem jest dyskryminowana grupa oraz świętowanie każdego ruchu jako postępowego, jeśli rości on sobie prawo do bycia „wrogiem burżuazji” (tak, jakby ruchy faszystowskie nie dość często czerpały swoją siłę z buntu dyskryminowanego lumpenproletariatu i nie używały antymieszczańskiej frazeologii). Istnieje zasadnicza różnica pomiędzy krytyką zachodnich demokracji, wyszukujących biedne kraje lub nie pomagających w walce z nędzą w Trzecim Świecie, a taką krytyką, która jest tylko pretekstem dla podziwu mrocznych dyktatur, grożących zagładą „białemu światu”. Istnieje również zasadnicza różnica pomiędzy walką o równe szanse wykształcenia, a klęceniem przed czarnymi rasistami, którzy piętnują istniejącą tradycję intelektualną jako „mało ważne białe wykształcenie” i widzą w zacofaniu kulturalnym czarnej społeczności oznakę szczególnej wyższości. Nie można wykluczyć, iż współcześni wielbiciele barbarzyństwa reprezentują realną tendencję w procesie historycznym. Być może wszystkie duchowe i technologiczne zdobycze doby współczesnej mogą ulec zagładzie w bezprzykładnym krachu, w porównaniu z którym upadek Cesarstwa Rzymskiego jest tylko potknięciem, a ta część rodzaju ludzkiego, która

³ Julien Benda francuski pisarz i filozof; postulował izolację intelektualistów od życia politycznego (przyj. tłum.)

przeżyje zagładę popadnie w prymitywizm i nę-
dżę. Taka apokaliptyczna wizja przyprawia dzie-
ciną wyobraźnię niektórych intelektualistów o
przyjemny dreszczyk. Jednak nie interesuje ich
idea pomocy cierpiącym i uciskanyom." (Intelek-
tualiści contra intelekt, 1972).

Periodycznie wybuchająca autonienawiść
intelektualistów, zmuszająca ich do zdrady włas-
nych zasad — kultury, rozsądku, intelektualizmu —
posiada swe korzenie według Kołakowskiego nie
tylko w psychologizacji, w tęsknocie „niezamiesz-
kałego" ducha za istnieniem w ramach jakiegoś
porządku i poczuciu bezpieczeństwa wywodzą-
cego się z solidarności mas. Jest on wytworem
historii współczesnej kultury.

Już chrześcijaństwo żyło z jednej strony w
świadomości radykalnego zerwania z wcześniej-
szymi kulturami, zaś z drugiej strony podkreślało
jedność rodzaju ludzkiego i uniwersalność roz-
sądku. Tak więc w historii chrześcijaństwa mamy
do czynienia zarówno z powstaniem „plebejski-
mi" jak i z ikonoklazmem⁴ i przyswajaniem tra-
dycji kulturalnej. Kołakowski twierdzi, iż ta ostatnia
tendencja była najsilniejsza; nie wiemy jednak,
czy w dobie sekularyzacji tradycji chrześcijań-
skich te inne tendencje nie wzmacniają się i nie
usamodzielniają.

Nie reprezentując żadnego wyznania Koła-
kowski jest dokładnym i zainteresowanym zna-
wą chrześcijaństwa, jego nauki i dogmatycznych
tradycji, jego teologii i teologów. Już jako młody
zapalenie zadziwiał w walkach wyborczych
przeciwników z zakonu jezuitskiego wiedzą z za-
kresu teologii. Charakterystyczną cechą jego re-
fleksji jest przekraczanie podziałów pomiędzy teo-
logią a filozofią, historią Kościoła a historią ogólną
i snucie rozważań filozoficznych zaludnionych za-
równo Kainem, Noem, Abrahamem, Augustynem,
Erazmem, Melebranchem jak i Parmenidesem,
Plotinem, Spinozą czy Husserlem. Niejednemu
czytelnikowi jego pism może się przydarzyć, iż
natknie się na konfrontację nauk wczesnochrze-
ścijańskich soborów z teoretycznym aksjomatem
XX wieku lub też opis objawienia się historii biblij-
nych we współczesności (np. porównanie historii
Bileam i jego oślicy ze współczesnymi procesami
pokazowymi). W jego pismach prowadzone są
rozmowy z antycznymi autorami, tak jak by żyli

oni obecnie — nawet diabeł występuje osobiście
na metafizycznej konferencji prasowej w Warsza-
wie.

Takiej dyfuzji sfer może dokonać tylko filo-
zof, który jest równocześnie pisarzem i potrafi wy-
rażać swe myśli nie tylko w naukowych traktatach
ale również w aforyzmach, scenach i bajkach —
musi również mieć powiązania z chrześcijańską
tradycją.

Znam tylko niewielu chrześcijańskich pisa-
rzy ostatnich stu lat (Papini, C. S. Lewis, Chester-
ton; w inny sposób Christian Wagner i Francis
Jammes), którzy potrafiliby z taką łatwością, tak
zajmująco, czasem złośliwie, tak kompetentnie i
soczyście posługiwać się biblijnymi opowieścia-
mi.

Ornamentyka absurdu

Kołakowski obchodzi się czasami niekon-
wencjonalnie i bez pardonu z tą tradycją; osoby i
zdarzenia ustawia czasem w pradoksalnym i nie-
spodziewanym świetle, wypracowują parado-
ksy, stwarza ornamentykę absurdu. Lecz z tych
wycieczek czytelnik powraca nietknięty i dziewi-
czy, nie posiadając absolutnie wrażeń, iż autor
przyswoił sobie tę tradycję tylko po to, aby stanąć
w wolteriańskim świetle oświeconej wyższości.

Czy Kołakowski jest chrześcijaninem? Jego
odpowiedź brzmiałaby z pewnością: nie. Czy jest
nie-chrześcijańskim? Jego odpowiedź również w
tym przypadku brzmiałaby — nie. Kołakowski nie
należy do żadnego kościoła, lecz uczył się od
chrześcijaństwa i czuje się — jak to już przed laty
sformułował — uczestnikiem żywej kultury
chrześcijańskiej. Wyczuwa zło jako realność, wie-
rzy w tezę grzechu pierwotnego i po wszyst-
kich doświadczeniach uważa, iż człowiek nie jest
przypadkowo, lecz nieuchronnie zły.

Dokonał totalnej krytyki wszystkich prome-
tejskich nauk samozbawienia — w tym najbardziej
skutecznie — marksizmu. „Sen o doskonałej jed-
ności wspólnoty ludzkiej — pisze w 1973 r. — jest
chyba tak stary jak ludzka myśl o społeczeństwie;
romantyczna nostalgia była późniejszą tego in-
karnacją... Nie istnieje żaden powód, aby oczeki-
wać, iż to marzenie zostanie kiedykolwiek wyma-
zane z naszej kultury, gdyż zapuściło ono silne
korzenie w świadomości zerwania, którego ludz-
kość z pewnością doznała na początku swej

⁴ ikonoklazm — obrazoburstwo, zwalczanie kultu obra-
zów religijnych np. w Bizancjum w VIII-IX w. (przyj. tłum.)

egzystencji — po opuszczeniu zwierzęcej niewinności. W związku z tym nie należy też oczekiwać, iż to marzenie kiedykolwiek zrealizuje się inaczej niż w straszliwej formie despotyzmu; despotyzm jest jednak tylko rozpaczliwym naśladownictwem raju." (The Myth of Human Self-Identity/Mit ludzkiej samoidentyfikacji).

Kolakowski wycofując się z pozycji marksistowskich nie został chrześcijaninem. Absolut i nieodwracalność porażają go strachem, a pełne bezpieczeństwo irytuje. Jeśli nie ma Boga, wszystko jest dozwolone — ta konsekwencja wypływająca z filozofii Nietzschego jest również dla Kolakowskiego logiczna. Lecz czy nie jest też trochę odwrotnie — czy pewność istnienia Boga i woli Boskiej nie była źródłem despotyzmów chrześcijan wobec ludzi inaczej myślących? Gdzie leży granica, przy której prawda staje się tyranią? Czyż w końcu wątpliwość nie obiecuje wyzwalającej tolerancji? W pismach Kolakowskiego znajdują pewne echo podejrzenia sformułowanego przez Karla Löwitha, iż potworne i splatające się modele myślenia współczesnego państwa totalitarnego są, być może, niezamierzona pseudometamorfozą chrześcijańskiej radykalności.

Nic dziwnego, że Kolakowski od dawna stał blisko „chrześcijan bez Kościoła” i „marksistów bez partii”, zdając sobie naturalnie sprawę, iż ta erasmowska pozycja jest dla filozofa tylko przystankiem, bo filozof ten nie zrezygnował z poszukiwania pewności. Pyta się o nią z całą namiętnością. Równocześnie przyznaje się do uczucia zawrotu głowy na ścieżkach pewności, przy rozważaniach o myślach Spinozy i Husserla. *Horror metaphysicus* to tytuł jego najnowszego traktatu, który ukaże się w przyszłym roku w języku niemieckim w wydawnictwie Piper.

Nikt nie wie, dokąd zaprowadzi go ta mozolna podróż. Pewne jest jedynie, iż Kolakowski pozbył się wszelkich złudzeń co do wspólnego raju, pojednania się i wybawienia wypływających z natury ludzkiego ducha. Kolakowski żywi nadzieję, iż z własnej woli można wyrzec się zła, które tak zaciążyło na naszym XX wieku — gdyż zło tkwi w nas, a nie w stosunkach socjalnych.

Tłum. A. Knuff

(Z: *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, nr 247/24.10.1987; za zgodą redakcji)

Dokończenie ze str. 50

Doktryna komunistyczna oswoiła czas, czyniąc z niego kategorię polityczną, stanowiąc, że sam czas z natury rzeczy jest rozwojem niosącym ze sobą nieuchronny postęp. Arogancka i prostacka wiara w konieczność historyczną, zaprzęgnięcie czasu w kierat samorealizującej się progresji, uczynienia z niego kategorii społecznej — oto jądro doktryny. Ale czas nie daje się skolektywizować. Czas jest indywidualny. Czas jednostki nie czeka na wypełnienie się historii, na realizację planów, uchwał, wskazań teoretycznych. Czas jednostki przemija, choćby nawet czas społeczny zatrzymał się, skostniał i zastął w ponurym grymasie kolejnego błędu i wypaczenia.

Myślę dziś o tych, którzy przeminęli, o moich rówieśnikach, o starszych i młodszych. O niezrealizowanych życiorysach, o niespełnionych talentach, nie napisanych książkach, zmarnowanych możliwościach. O ludziach, którzy mieli tyle charakteru, żeby swego własnego czasu nie wtlaczać w system, a także i o tych, którzy w skutek własnej słabości dali się biernie pochłonąć przez szaleństwo skolektywizowanego czasu.

Zbrodnia tego reżimu nie są prześladowania polityczne, bicie, cenzura, nawet morderstwa — zbrodnią jest zawłaszczanie, kolektywizacja i marnowanie czasu jednostki. Dobra, którego każda stracona minuta jest już nie do odzyskania.

Ponury, zacięty, fanatyczny, komunistyczny doktor Faustus wierzy, że udzieli nam w końcu błogosławieństwa wiecznej młodości i słyszeć nawet nie chce, że jedyne czego pragniemy, to przemijanie w godności i spełnieniu.

Boże Narodzenie 1987 — kolejny okruczeństwo czasu wyrwany miążdżącej Polskę dialektyce historycznej, niepostrzegane spełnienie słów starej kołedy:

Bóg się rodzi, Moc truchleje...

SPROSTOWANIE

Pana Jana Chodakowskiego serdecznie przepraszamy za przeinaczenie imienia w podpisie pod zdjęciem na str. 69 w ostatnim 139 numerze *Poglądu*.

Różnorodność kulturowa czy kulturowa jedność Europy?

Poniższy tekst został wygłoszony w języku niemieckim w dniu 25.10.1987 w Berlinie Zachodnim na zorganizowanej przez ASPEN-Institute międzynarodowej konferencji poświęconej „Europie XXI wieku”.

Rozpoczynając te rozważania uważam za konieczne wyjaśnić pojęcia kulturowej różnorodności i jedności, jak również zastanowić się nad tym, co rozumiemy pod pojęciem Europy. Co może i powinno pozostać różnorodnym, a co musi zostać sprowadzone do przynajmniej najmniejszego wspólnego mianownika? Z pewnością miejsce jednostki we wspólnocie społecznej, a więc rola jednostki w kulturze.

W niektórych krajach zachodnich Europę rozumie się jako wspólnotę polityczno-gospodarczą na zachód od Elby łącznie z kilkoma krajami neutralnymi jak Szwajcaria, Austria lub Szwecja. Z czysto geograficznego punktu widzenia Europa jest półwyspem Azji o powierzchni ok. 10 milionów km kwadratowych (przy uwzględnieniu europejskiej części Związku Sowieckiego), na którym żyje ponad 500 milionów ludzi. W poprzek Europy, wzdłuż Elby, przebiega zupełnie przypadkowy i sztuczny podział polityczny, który ma izolować narody żyjące w różnych systemach. Linia ta, dzieląca dzisiejszą Europę na Europę Zachodnią i Wschodnią spowodowała, że istniejąca od wieków Europa Środkowa popadła w niemal zupełne zapomnienie. Mieszkańcy Budapesztu i Pragi, Warszawy i Krakowa, Lipska i Drezna posiadają jednak nie mniejsze prawa od wiedeńców, monachijczyków, czy paryżan do uważania się za

współspadkobierców ogólnoeuropejskiej tradycji. Jako chrześcijanie i ludzie, których ciężko doświadczyły dwie ostatnie wojny światowe mamy obowiązek przezwyciężenia tego podziału — w każdy możliwy sposób — jak i złagodzenia w granicach możliwości jego skutków. W czasie ostatniej wizyty prezydenta Francji Mitterranda prezydent Republiki Federalnej Niemiec Richard von Weizsaecker wyjaśniając swoje stanowisko sformułował tezę, iż granic w Europie nie należy przesuwac a jedynie uczynić bardziej ludzkimi. Konieczne jest wzmocnienie historycznych, kulturowych i ludzkich więzi w całej Europie.

Stanowisko to jak sądzę potwierdza nieodzowność wyżej wspomnianych podstawowych więzi.

★ ★ ★

Europa lat 30-tych prezentowała się przede wszystkim w Anglii i Francji, w owych wielkich ośrodkach zachodnich idei, centrach kultury duchowej i politycznej, będącymi przedmurzami demokracji, humanizmu i humanitaryzmu. Społeczności te jeszcze nie zapomniały, jak bardzo I wojna światowa odległa o nie więcej niż 15 lat, zmieniła krajobraz polityczny Europy: na nowej mapie pojawiły się małe i średniej wielkości państwa,

pragnące zachować suwerenność polityczną, niezależność oraz normy własnej kultury i wewnątrzpaństwowego życia. Największym z tych państw była Polska, ale powstały przeciw także w nowych granicach Węgry i Austria, Czechosłowacja, Finlandia i republiki bałtyckie — Estonia, Łotwa i Litwa. Wszystkim im zależało na pokoju, politycznej i gospodarczej stabilizacji, na rozwiązaniu szeregu wewnętrznych problemów w długotrwałym procesie kształtowania nowych społeczeństw w wolnych, demokratycznych państwach, a także na współpracy kulturalnej i naukowej.

Jak wiadomo, II wojna światowa w najboleśniejszy sposób zniweczyła ten 20-letni proces. Lecz europejska wspólnota myśli, kultury, sztuki — zarówno dziś jak i w przyszłości — przetrwa różnorodność politycznych, gospodarczych i społecznych systemów. Żadna linia graniczna czy podział polityczny nie jest w stanie znieść głęboko zakorzenionej, od wieków wspólnej hierarchii wartości.

A jakie wartości są tak charakterystyczne dla wspólnej aktywności, dla wspólnego życia? Po pierwsze są to pojęcia, które dotyczą roli człowieka w społeczeństwie, w państwie, a częściowo i w historii. Czy człowiek jest narzędziem w ręku państwa, własnością panujących? Czy też jest — miłującym pokój — człowiekiem, dlatego że jest wolny, bo przecież bez wolności nie można zachować pokoju?

Do wspólnoty kultury należy literatura, muzyka, malarstwo, tak samo jak wychowanie i nauka. Wszystko to, co tworzy hierarchię wartości, należy do dorobku kulturowego. I dopiero gdy zaakceptujemy tę definicję, to pojęcie, to będziemy w stanie zrozumieć możliwość podziału lub zbliżenia, pojednania lub przewyciężenia dzielących nas czynników. Z tego punktu widzenia odległość między np. Madrytem a Oslo jest obecnie mniejsza niż dystans dzielący Warszawę od Moskwy, choć na — realnej — mapie geograficznej wygląda to zupełnie inaczej. Trwać to jednak nie musi wiecznie. A z pewnością nie do końca XXI wieku...

Interesującym przykładem wspólnej hierarchii wartości, mimo istnienia w Europie różnych systemów filozoficznych, gospodarczych i politycznych, jest fakt, iż w roku 1978 kardynałowie Kościoła katolickiego wybrali Polaka na zwierzchnika

Kościola; obywatela Polski Ludowej, który osiągnąwszy wiek lat 20 w ciągu 5 lat doświadczył okupacji hitlerowskiej, a następnie przez 33 lata żył w systemie tzw. „realnego socjalizmu” i otrzymał w tym systemie święcenia kapłańskie... Główną rolę odegrała tu z pewnością wiążąca wspólna hierarchia wartości.

Przez wiele pokoleń w XIX i XX wieku nie mało ludzi składało ofiary i cierpiało w przekonaniu, iż sens życia wiąże się z duchową hierarchią wartości i że warto jest walczyć o świat wolności i godności dla wszystkich. Wierzone — może zbyt naiwnie — iż ludzkość opamięta się i że przewaga militarna nie będzie decydowała o losie ludzi i narodów.

Z nauczania chrześcijańskiego wiemy, iż pokój nierozzerwalnie związany jest z wolnością jednostki. Z pewnością nie przypadkowo papież Jan Paweł II powiedział w 1979 r. w swoim kazaniu na terenie byłego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu-Brzezince, że „nigdy jeden naród nie może rozwijać się za cenę drugiego, za cenę jego uzależnienia, podboju zniewolenia, za cenę jego śmierci.” Głęboki sens tych słów mówi, iż nie ma prawdziwego pokoju bez wolności człowieka, bez przestrzegania praw ludzkich, bez uznania i urzeczywistnienia praw człowieka, a więc także bez możliwości kulturowego rozwoju.

Wolność człowieka oznacza więc naturalnie wolność od głodu, lecz także i wolność od strachu. Strach bowiem — jedno z najsmutniejszych zjawisk naszej epoki — jest nadal w wielu przypadkach najbardziej skutecznym instrumentem ucisku człowieka. Strach wyzwala agresję, a ta z kolei rodzi poczucie zagrożenia. Wolność od strachu jest — obok wolności wiary, światopoglądu, wolności od głodu i wolności ekonomicznej — jedną z „czterech wielkich wolności”, które zostały już w sierpniu 1941 roku sformułowane w „Karcie Atlantycznej”, deklaracji wielkiej koalicji aliantów o celach II wojny światowej. Wówczas miliony ludzi w Europie, Ameryce i gdziekolwiek indziej oczekiwały z naiwną lecz zrozumiałą nadzieją na realizację tych zasad.

Tymczasem miała miejsce konferencja w Wannsee, wymordowano 6 milionów Żydów, a dalsze miliony chrześcijan po obu liniach frontu padły ofiarą bezsensownej wojny i okrucieństwa. Przypominając sobie o tym wszystkim, można zrozumieć, ileż trzeba nam odwagi, by wierzyć w



Lord Bullock (historyk, autor biografii Hitlera) i prof. Władysław Bartoszewski na konferencji w ASPEN-Institute

możliwość głębokiej przemiany człowieka. Ale nie ma żadnej innej alternatywy. W przemianie ludzkiej mentalności winno formować się pojęcie pokoju, którego immanentnym składnikiem są prawa ludzkie w wolnych społeczeństwach.

Kiedy widzi się i przeżywa na Zachodzie oznaki solidarności z narodami Europy Wschodniej, nawet jeśli pojawiają się one sporadycznie i w dość ograniczonym zakresie, wówczas jest się przekonany, iż istnieje możliwość wzajemnego zrozumienia.

Doświadczenia codziennego życia duchowego nad Odrą i Wisłą, czy nad Dunajem należą do najbardziej różnych doświadczeń ludzi w „drugim świecie”, w „drugiej Europie”. Czy postrzega się je jako niezwykle, ba, egzotyczne, czy też głęboko emocjonalne? Czy rozpatruje się je jako część naszej wspólnej, współczesnej kultury?

Następne pytanie: czym jest dzisiaj problem praw człowieka dla kulturowej jedności Europy? Czy postrzega się go — co jest z pewnością ważne — jako problem poszczególnych ludzi, poddawanych represjom, czy też uważa się ten problem za bardziej zasadniczy — za problem dążeń, które, nacechowane chrześcijańską kultu-

ram europejską, dochodzą do głosu w „drugiej Europie”? Czy walka na Węgrzech, w Czechosłowacji i Polsce — 1956-1968-1970-1976-1980/81 — zmieniła punkt zapalny na prawa ludzkie? Czy dokonały tego Karta 77, NSZZ „Solidarność”, przyznanie pokojowej nagrody Nobla Sacharowowi czy Wałęsie?

Bez odpowiedzi na to pytanie nie ma polityki, która perspektywicznie byłaby ukierunkowana na wspólną przyszłość całej Europy. Oprócz zachodnioeuropejskiej wspólnoty istnieje także w praktyce coś takiego jak europejska wspólność. Jest to wspólna europejska jedność, historyczna i duchowa, i ją należy zachować. Owa europejska wspólność myśli, kultury, sztuki przetrwa różnorodność systemów politycznych, gospodarczych i społecznych. Zależy to jednak od nas samych, a także od ludzi zyjących w systemach totalitarnych. Gdyż żadna linia politycznego rozgraniczenia i żaden podział nie są w stanie znieść głęboko zakorzenionej wspólnej hierarchii wartości, jeśli ludność jakiegoś kraju czy też grupa krajów tę jedność uznaje i do niej zmierza.

W czasie tzw. „uroczystości europejskich” w dn. 9 listopada 1982 w Santiago de Compostela

papież powiedział: „Po dwudziestu wiekach historii, pomimo krwawych konfliktów, które stawiały przeciw sobie narody Europy i pomimo duchowych kryzysów, jakie odcisnęły swoje piętno na życiu kontynentu do tego stopnia, że przed świadomością współczesną stają poważne znaki zapytania co do jego przyszłych losów — trzeba stwierdzić, że tożsamości europejskiej nie można zrozumieć bez chrześcijaństwa i że właśnie w nim znajdują się te wspólne korzenie, z których wyrosła i dojrzała cywilizacja starego kontynentu, jego kultura, jego dynamika, jego przedsiębiorczość, jego zdolność do konstruktywnej ekspansji także i na inne kontynenty — jednym słowem to wszystko, co stanowi o jego chwale.

I jeszcze dziś dusza Europy pozostaje zjednoczona, ponieważ oprócz tych wspólnych początków żyje wspólnymi wartościami chrześcijańskimi i ludzkimi, takimi jak godność osoby ludzkiej, głębokie przywiązanie do sprawiedliwości i do wolności, pracowitość, duch inicjatywy, miłość rodzinna, szacunek dla życia, tolerancja, pragnienie współpracy i pokoju, które są jego cechami charakterystycznymi.”

W ramach tak rozumianej wspólnej hierarchii wartości również mały i słaby naród może odgrywać duchowo ważną rolę. W Europie jutra potrzeba nam wspólnoty wolnych narodów i państw, a więc współpracy duchowej, tj. kulturowej i naukowej, ale i również gospodarczej. Potrzebujemy czegoś w rodzaju europejskiego patriotyzmu. Oznacza to po pierwsze przywiązanie do duchowej i kulturalnej tradycji własnego narodu. Po drugie, głębokie zrozumienie dla sąsiednich narodów, po trzecie, poczucie kulturowej przynależności do całej ludzkości.

Naturalnie droga do głębokiego, dojrzałego patriotyzmu europejskiego jest długa. Ale jak powiedział Jan Paweł II pod koniec cytowanego wyżej apelu w Santiago de Compostela: „Jeśli Europa będzie zjednoczona, a może nią być z należnym respektem dla wszystkich jej różnicowań, wraz z tymi jakie wynikają z różnorodności systemów politycznych; jeśli Europa w swoim życiu społecznym zacznie rozumować z całą mocą, którą są obdarzone zasady w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, w Europejskiej Deklaracji Praw Człowieka, czy w akcie końcowym Konferencji do Spraw Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (...) nad jej przyszłością nie zapanuje niepewność i lęk, lecz otworzy się ona na nowy

etap życia, tak wewnętrznego jak zewnętrznego, etap dobroczynny i decydujący dla całego świata, ciągle zagrożonego przez chmurę wojny i możliwy huragan zagłady atomowej.”

* * *

Moje własne doświadczenia Europejczyka, który niemal przeżył — przekonują mnie, iż ludzie są zmuszeni do pewnego przystosowania. Lecz żadna władza nie jest w stanie zmusić nas do zdrady własnej historii, przekonań i świadomości.

Czysty pacyfizm dodaje odwagi dyktatorom na całym świecie do okupowania innych krajów i zniewalania ludzi. Sądzę, iż metoda, która rozwinęła się w ostatnich latach na całym świecie, w tym również i w mojej ojczyźnie Polsce — metoda stawiania oporu przemocy bez użycia siły ma bez wątpienia swoją wysoką cenę. Ale działający wg niej ludzie zachowują swoją godność. Nie dokonują terrorystycznych zamachów, nie głoszą nienawiści. Głoszą miłość i gotowość do dialogu. I zawsze oczekują znaku dobrej woli ze strony przeciwnej.

Czy ma to sens? Jeśli interpretuje się historię w krótkim okresie czasu, 5 do 10 lat, to nie ma to sensu. Jeśli jednak traktuje się historię jako konsekwentny rozwój ludzkości, wówczas to ma sens. Można by powiedzieć: ktoż mógł przypuszczać w czasie prześladowań pierwszych chrześcijan za Nerona, iż prawda chrześcijańska odniesie zwycięstwo, a z okresu rzymskiego pogaństwa pozostaną tylko rzeźby i wykopaliska? To była przecież też historia ludzkości, a nawet więcej: to były nasze korzenie.

Międzynarodowa solidarność robotników w dzisiejszej Europie Zachodniej straciła na znaczeniu: dziś oczekujemy więcej: międzynarodowej solidarności ludzi w duchu właściwie pojętego humanizmu. Jest to absolutnie nowa solidarność ludzi, postrzegająca wzajemne zobowiązania. Można ją zaobserwować ostatnio, również w Niemczech — w kraju, o którym można powiedzieć że przebył ciężką drogę, by zaakceptować ludzi myślących inaczej lub okazywać wyrozumiałość dla ludzi innej narodowości — doszło do znacznego rozwoju wielkiej solidarności z cierpiącymi ludźmi na całym świecie. Wiele milionów ludzi dobrej woli walczy w różnych krajach o te cele. A są to cele dla następnych pokoleń, przy czym

chodzi nie tylko o rozwiązanie współczesnych problemów gospodarczych czy też socjalnych. W sposobie myślenia Europejczyków dają się zauważyć duże zmiany. Jeśli to optymistyczne spostrzeżenie jest słuszne, to można też przyjąć założenie, iż tego rodzaju zmiany będą też możliwe w przyszłości. A jeśli są możliwe, to możemy i powinniśmy na te przemiany wpływać i je powodować.

Prawdy i sprawiedliwości, wolności i solidarności trzeba szukać na drogach do duchowej i kulturalnej jedności ludzi. Trzeba im służyć — nie można ich posiadać jak sztuki złota. Choć są nie mniej niż złoto ważne dla naszej wspólnej przyszłości.

(Tekst autoryzowany, cytaty z przemówień Papieża za *Osservatore Romano* — wersja urzędowa polska)

WYWIAD Z WŁADYSŁAWEM BARTOSZEWSKIM

Nie przemilczać przeszłości!

Jung & liberal: Panie Bartoszewski, z jakimi odczuciami przyjmuje się w Polsce do wiadomości wznowienie dyskusji na temat problemu niemieckiego?

Władysław Bartoszewski: Zjednoczenie Niemiec jest dla Polski bardzo interesującym i o życiowej doniosłości pytaniem, gdyż Niemcy — niezależnie od formy państwa — pozostaną sąsiadami narodu polskiego.

W kręgach intelektualistów od kilku lat twierdzi się, iż w polskim interesie nie leży za bardzo przeciwstawianie się niemieckiemu zjednoczeniu. O wiele ważniejsze jest rozważenie warunków takiego zjednoczenia.

Natomiast wśród szerokiej masy społeczeństwa myśl o jednolitym państwie niemieckim, które byłoby największym i najważniejszym państwem Europy wywołuje wciąż jeszcze strach. Właśnie poprzez głęboko zakorzoną świadomość historii i niezbyt pocieszające doświadczenia historyczne wielu Polaków widzi w zjednoczonych Niemczech potencjalne zagrożenie.

— Mimo inicjatyw odprężeniowych od początku lat 70-tych?

— Układ z grudnia 1970 r. był naturalnie wysoce pozytywnym krokiem na drodze ku odprężeniu. Republika Federalna Niemiec jako praworządne państwo rezygnuje wprawdzie z terytorialnych roszczeń wobec Polski, lecz nie ponosi odpowiedzialności za politykę

zjednoczonego państwa niemieckiego. I tu leży pies porzeczany. Któż może nam zagwarantować, że to nowe zjednoczone państwo nie zechce wkrótce po powstaniu przywrócić granice z 1937 r. Dlaczego my — Polacy — mielibyśmy ryzykować nasze bezpieczeństwo?

— Czy demokratyczne, w rozumieniu zachodnim, państwo ogólnoniemieckie nie byłoby dla Polski również korzystne?

— Tak, z pewnością byłibyśmy szczęśliwi z wojakowego punktu widzenia z posiadania na Zachodzie demokratycznego sąsiada. W końcu NRD służyła i służy Związkowi Sowieckiemu jako obszar gdzie w szyku bojowym stacjonuje on 25 dywizji Armii Czerwonej, zdolnej w każdej chwili rozbić nowe ruchy reformatorskie w Polsce.

— Wcześniej mówił Pan o warunkach zjednoczenia, które byłyby dla Polski do przyjęcia. Jakie to warunki?

— Nasze społeczeństwo z łatwością zaakceptowałoby zjednoczenie bez roszczeń terytorialnych. My — Polacy — ze względu na doświadczenia historyczne doskonale rozumiemy ból podziału. W końcu ponad 100 lat byliśmy podzieleni między Rosję, Austrię i Prusy. Przy zachowaniu obecnej zachodniej granicy Polski Polacy zaakceptowaliby zjednoczenie narodu niemieckiego. Lecz musimy także posiadać gwarancje, że chodzi tylko o zjednoczenie ludzi tego samego języka i tej samej kulturalnej tradycji, a nie o zjednoczenie obszaru w granicach z 1937 r. Te granice są absolutnie nie do przyjęcia dla Polaków.

Republika Federalna uznała w 1970 r. i później w Helsinkach ustalone granice, NRD uczyniła to w 1950 r. w układzie zgorzeleckim. Mimo to nie czujemy się pewni. Zmora Rapallo wciąż żyje.

— Panie Bartoszewski, wymieniał Pan hasło Rapallo. Sowiecki eksperci d/s Niemiec Arbatow i Portugalow powiedzieli, iż „byłoby całkowicie nie do pomyslenia”, by w roku 2000 jakiegokolwiek armie stacjonowały w obcych krajach. Czy oczekuje Pan zasadniczej zmiany polityki sowieckiej wobec problemu niemieckiego?

— ZSRR prowadzi obecnie najrozsądniejszą politykę na świecie. Do tego zaliczam również wypowiedzi, które są dla mnie przede wszystkim próbnymi balonami, wypuszczanymi przez Kreml z czysto taktycznego punktu widzenia. W ten sposób ZSRR chce wy badać, czy i jak dalece Republika Federalna pozwoli się oddzielić od USA. I przesadna naiwność niektórych Niemców napawa mnie strachem.

— Na koniec jeszcze spojrzenie w przyszłość. Jak widzi Pan rozwój stosunków niemiecko-polskich?

— Nie powinniśmy przemilczać naszej przeszłości, fakty muszą być artykułowane uczciwie i z godnością. Jednak wówczas powinniśmy utorować sobie nowe drogi, nie powinniśmy trwać w nienawiści, lecz starać się o prawdziwe pojednanie. (...)

(Jung & liberal, nr 4/1987; Przekład autoryzowany)

Parada kłamców i blagierów

PRZYCZYNEK DO ROZWAŻAŃ DR. DIETMARA STUTZERA O HISTORII ŻYDÓW POLSKICH

W listopadowym wydaniu broszurki-miesięcznika GEHÖRT - GELESEN, w podtytule: NAJLEPSZE AUDYCJE RADIA BAWARSKIEGO znajdujemy zapis audycji p. dr. Dietmara Stutzer a O GABRIELU CENTERSCHWAIERZE, SAMUELU ORGELBRANDZIE I INNYCH - PRZYCZYNEK DO HISTORII ŻYDÓW POLSKICH.

Gdyby chodziło tu o publikację organu neo-nazistów *National Zeitung* czy jakąś z broszurek propagandowych pogrobowców Adolfa Hitlera, można byłoby wrzucić ramionami. Tymczasem mamy do czynienia z instytucją państwową — wielką rozgłośnią radiową i stacją telewizyjną.

W inkryminowanej audycji, oprócz onomastycznej egzegezy niemiecko brzmiących nazwisk polskich Żydów i pobieżnej analizy roli żydowskich finansistów i bankierów w historii polskich poczynań handlowo-ekonomicznych, znalazły się następujące stwierdzenia:

(str. 37) (...) *W żydowskiej historiografii dotyczącej Polski przyznano wreszcie, iż kombinacja przemożnej władzy magnaterii z faktycznym żydowskim monopolem finansowym i kredytowym tworzy mieszaninę wybuchową, z której w końcu powstać może zaczyn agresywnego antysemityzmu. Ten najpewniej z Polski poprzez kulturę austriackich władz zaborczych wylądował w Niemczech.*"

Rzucając *kulturę austriackich władz zaborczych (die Kultur österreichischer Teilungsmacht)* na zer antropologom kultury i językoznawcom, ośmielam się zwrócić uwagę, iż mamy tutaj do czynienia z pewnym uproszczeniem oraz wyrazić zdziwienie, iż np. p. dr Stutzer nie

wywiódł hitleryzmu z monarchii Habsburgów, jako że Adolf Hitler urodził się był w Braunau (Austria).

Nieco wcześniej, na str. 32 autor stwierdza: (...) *jest to historia wymarłej kultury (społeczności żydowskiej — przyp. mój), która nie przeżyła unicestwienia poprzez narodowy socjalizm. Lecz także powojenna socjalistyczna Polska w części przyczyniła się do tego. (...) Dwa z pogromów zorganizowanych przez polskich komunistów w byłym województwie kieleckim (...) w 1946 roku i po raz wtóry w roku 1949 kosztowały życie 200 tys. Żydów. Było to możliwe poprzez znajomość kryjówek w Górach Świętokrzyskich, które stworzyli sobie podczas okupacji w sąsiedztwie polskich partyzantów, w kibuczach, pośród prawie niedostępnych, niesprzyjających osiedleniu suchych gór jurajskich, co umożliwiło im przetrwanie w czasach nazistów.*

Syntaksa powyższego zdania jest równie skomplikowana jak i związki kłamstw z przypuszczeniami. Absurdalne jest stwierdzenie, iż do roku 1949 w Górach Świętokrzyskich ukrywały się setki tysięcy Żydów, a jeden z moich kolegów redakcyjnych — kielczanin — twierdzi, iż najwyższą grań „Gór” można pokonać w sukni balowej i lakierkach bez specjalnego niepokoju o zniszczenie stroju, zaś różnica wzniesień i krajobraz do złudzenia przypominają okolice Teufelsberg w Berlinie Zachodnim — wzniesienia usypanego z gruzu po wojnie — ulubionego miejsca spacerów wielu berlińczyków. Poza tym Góry Świętokrzyskie są górami kredowymi a nie jurajskimi, zaś ortografia p. Stutzer a, „Świentochice-Gebirge”, każe raczej myśleć o nieistniejących Górach Świętochłowičkih.

Winnych pogromu kieleckiego z 1946 roku można oczywiście doszukiwać się wśród polskich komunistów, albo, jak słyszałem ostatnio, w NKWD — jednak faktem pozostaje, iż 41 Żydów w Kielcach wg oficjalnych statystyk zamordowano rękami polskiego Ciemnogrodu, polskiego antysemityzmu w odwet za rzekome mordy rytualne popełnione przez Żydów na polskich dzieciach.

Kłótnie więc o to, kto inspirował tę okropną zbrodnię — NKWD, UB, NSZ czy naukowcy Uniwersytetu Jagiellońskiego wobec braku dowodów brzmią niestosownie. Jedynym namacalnym faktem jest, iż polscy komuniści cynicznie wykorzystali antysemitzkie burdy w kraju do własnych celów propagandowych.

W ostatnim z cytatów bezpośrednio sąsiedztwo „narodowego socjalizmu” i „powojennej socjalistycznej Polski” jak i dobór słów nie wydają się przypadkowe. Mimo pewnego podobieństwa metod działania obu systemów, zbrodni UB, SB, popierania w niektórych okresach przez polskie władze komunistyczne antysemitzkie nastrojów czy nawet ich wywoływania trudno postawić znak równości między kazamatami UB a kombinatem „Auschwitz”. Brzmi to mniej więcej tak samo Pannie doktorze Stutzer, jak wyciąganie wniosków z faktu, iż szef propagandy pańskiej ojczyzny w latach 1933-45, Joseph Goebbels również próbował być dziennikarzem, posiadał tytuł doktora i również kłamał.

Wróćmy jednak na ubitą ziemię twardych faktów. Henryk Grynberg tak pisał w liście do *Archipelagu*, nr 10-11 (37-38) w 1986 roku na str. 98-99:

(...) Ponieważ do tego stopnia rozszerzono pojęcie POGROMU przypominę, że 41 Żydów zamordowanych w przytoczonym przez p. Ziętkiewiczza pogromie kieleckim, to nie były jedyne ofiary napadów polskich na Żydów w latach 1944-47 na terenach wyzwolonych od okupacji hitlerowskiej. Sam przeżyłem taki napad w miasteczku Dobre (na wschód od Mińska Mazowieckiego) zimą 1944-45. Napady tego rodzaju miały miejsce w dziesiątkach miasteczek, do których wracali ocaleni Żydzi. Byli oni także wyciągani z pociągów przez uzbrojonych ludzi (głównie z NSZ-u) i zabijani. Profesor Lucjan Dobroszycki w studium na ten temat szacuje liczbę zabitych Żydów na jakieś 1500. Inny historyk, Shmuel Krakowski w pracy pt. „Społeczeństwo polskie a ukrywający się

Żydzi (poza Warszawą) w latach 1942-1944 (Polish Society in Confrontation with Jewish Fugitives in Hiding (Outside Warsaw); 1942-1944) odczytanej na konferencji w Oxfordzie jesienią 1984, podaje, że 3037 Żydów zidentyfikowano na podstawie dokumentacji jako zamordowanych przez Polaków lub wydanych władzom niemieckim przez Polaków na terenie Generalnej Guberni poza Warszawą i bez uwzględnienia ziem polskich włączonych wówczas do Rzeszy...

Jak widać, podane wyżej liczby z pewnością nie są pełne. Ziemia w Polsce kryje o wiele więcej bezimiennych ofiar żydowskich polskiego antysemityzmu, denuncjacji, rozboju i ciemnoty. I należy te fakty często przypominać, tak jak i antysemitzka histeria 1968 roku po to, by się nigdy nie powtórzyła. Potrzeba taka wydaje się ciągle aktualna, zwłaszcza kiedy w Polsce internowania, pałowania, niewybredne ataki oficjalnej prasy są wyłącznie przywilejem opozycji, zaś ludziom o umysłowości i pokroju p. Poręby udostępnia się łamy gazet, daje do ręki kamery i tworzy Patriotyczne Zjednoczenie GRUNWALD.

Niemniej jednak kłamstwa p. dr. Stutzer a są równie niebezpieczne i mogą prowadzić do stwierdzenia, iż skoro nie było polskiego mordu na wymyślonych 200 tysiącach Żydów w Górach Świętokrzyskich, pogrom w Kielcach i inne polskie mordy na Żydach po wojnie też się nie zdarzyły.

Nawet jeśli p. dr. Stutzer działał w szlachetnej intencji wypowiedzenia wojny polskiemu antysemityzmowi, chciałbym przypomnieć, iż żadnej kampanii nie wygrały fałszywe komunikaty wojenne (o czym p. dr. Stutzer mógł się na własnej skórze przekonać w dn. 9.05.1945). Jeśli jednak dr. Stutzer usiłuje przerzucić most pontonowy między zbrodniami hitleryzmu a polskim antysemityzmem, wyrażam obawy o utrzymanie tego przyczółka.

Audycję wieńczy następujące ubolewanie: (str. 40) *Statystyka dla I-szej Republiki (chodzi o Polskę międzywojenną — przyp. mój) podaje ok. 3 mln Żydów. 18 tysięcy żyje dziś jeszcze w żydowskich gminach w Polsce. Największa więc diaspora Europy, poza garstką, została unicestwiona przez ludobójstwo i emigrację. Jednakowoż pozostaje ta cyfra niższą od ogólnej liczby ofiar nazizmu wśród Żydów Europy Wschodniej. Wykazuje to, iż brakuje tu demograficznej analizy*

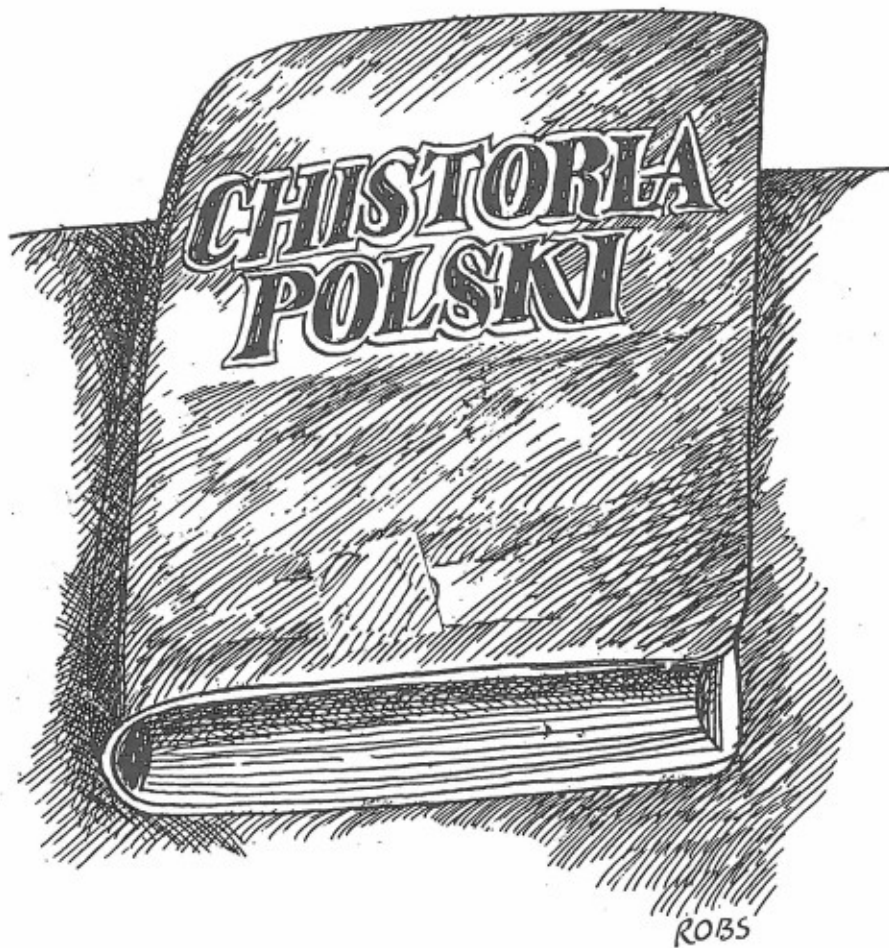
strat poniesionych przez Żydów poprzez holocaust jak i analizy strat kulturowych.

Zaiste, Panie doktorze Stutzer, Pańscy rodacy mordowali Żydów tak szybko, iż demografowie nie mogli nadażyć.

Redakcja *Poglądu*, do której należę, za jedno ze swych zadań uważa walkę z kłamstwem, ciemnotą, głupotą, szowinizmem, ksenofobią, wszelkimi objawami aberacji myślowej — szczególnie jeśli te dotyczą nas, Polaków. W imię walki z kłamstwem i antysemityzmem wypowiedzieliśmy wojnę nacjonalizmowi i antysemityzmowi rosyjskiemu w numerze poprzednim, ja zaś w niniejszym toczę prywatną wojnę z nacjonalizmem chińskim.

Niech mi więc będzie wolno, korzystając z okazji, z wolnej trybuny *Poglądu* szepnąć polskim nacjonalistycznym antysemitom, iż dziedzictwem naszym, obok Mieszka I-go, jego brata Czcibora, Kazimierza Wielkiego, Mikołaja Kopernika i Hubala są także: Feliks Dzierżyński, Józef Ankwicz, Targowica, kpt. Piotrowski. Ich obecność w naszej historii, tak chętnie przez polskich nacjonalistycznych antysemitów przemilczana, jest równie wstydliwym elementem polskiego pejzażu jak Marzec '68, hałaśliwa i chamska obecność w naszej kulturze zjednoczenia GRUNWALD, pisma *Rzeczywistość* i szerzenie lansowanych tam kretyńskich poglądów.

Polak o ukraińskim nazwisku
PIOTR KOWALCZUK



Paryskie forum

W dniach 18-21 listopada 1987 r. w Paryżu odbyło się forum intelektualistów poświęcone stosunkowi ludzi kultury do systemów totalitarnych. Wśród gości Forum znaleźli się tak znani pisarze i uczeni, jak Rosjanie Edward Kuzniecowa, Włodzimierz Maksimow czy Natalia Gorbaniewskaja, Niemcy Siegmund Faust i Ulrich Schacht, Ukraińcy Jarosław Pelenski i Michaił Morgulis (pierwszy jest wydawcą pisma *Widnowa*, drugi redaktorem wychodzącego w USA *Literackiego Kuriera*), jugosłowiański krytyk komunizmu Milowan Džilas, litewski poeta Tomas Venclova i wielu innych. Spośród obecnych na sali Polaków najbardziej znani są Kazimierz Brandys, Wiktor Woroszyński, Mirosław Chojecki, Adam Zagajewski, Józef Czapski czy Barbara Toruńczyk — by pozostać tylko przy najgłośniejszych.

Pierwszy dzień obrad Forum zatytułowanego „Literatura bez granic” poświęcony był przeszłości, zwłaszcza tej najdotkliwiej wciąż obecnej, okresu hitlerizmu i stalinizmu. W tym kontekście interesujące wydaje się wystąpienie znanego przedstawiciela szkoły „nowych filozofów” we Francji, Andre Glucksmanna, który zastanawiał się nad podobieństwem i różnicami postaw tak wybitnych przedstawicieli humanistyki, jak działający i pracujący w Niemczech hitlerowskich filozof Martin Heidegger i pozostający w młodości pod wpływami stalinizmu pisarz Aleksander Solżenicyn. Co spowodowało, że znakomity fenomenolog niemiecki mógł bez konfliktów żyć pod ciśnieniem totalitarnego systemu? I co spowodowało, że wielki prozaik rosyjski dość wcześnie wszedł z podobnym systemem w ostry konflikt? Zdaniem Glucksmanna winę w przypadku niemieckiego filozofa ponosi jego system myślowy, całkowicie „nieprzemakalny” na rzeczywistość, oderwany od realiów życia, abstrahujący od losu poszczególnego człowieka. W wypadku Solżenicyna było odwrotnie — skupił się on właśnie na doli konkret-

nych jednostek, a tym samym musiał dostrzec zbrodniczy charakter systemu i przeciw niemu wystąpić. Teza dyskusyjna, choć bez wątplenia zawierająca racjonalne jądro. Pamiętać jednak należy, że w ocenie postaw intelektualistów minionych dziesięcioleci posługujemy się wiedzą i doświadczeniem, które im wówczas nie było dane. Znamy skutki wydarzeń im współczesnych. Jakby wyjaśniając sprawę postawy Heideggera pisał w 1949 r. Karl Jaspers w liście do Hannah Arendt: „Wymieniłem w swoim czasie kilka listów z Heideggerem. Pokażę je Pani, gdy będzie Pani u nas. Pograżył się całkowicie w spekulacji o Bycie. Przed 25 laty stawia na „egzystencję”, ale tak naprawdę to wypaczył sprawę”. Jak widać — dyskusja na temat zależności lub oporu intelektualistów wobec systemów totalitarnych dotyczy nieraz spraw bardzo już wysublimowanych, które nagle okazują się niesłychanie „zyciowe”.

Zgola inaczej w wypadku Milowana Džilasa. Jeden z uczestników Forum przypomniał siedzącemu za stołem prezydialnemu sędziemu krytykowi reżimu jego napisane przed niemal pół wiekiem peany na cześć Stalina zwracając przy tym uwagę, że później, gdy był „człowiekiem nr 2” komunistycznego reżimu w Jugosławii, miał swój udział — nie symboliczny, ale konkretny, rzeczowy — w represjach wobec niezależnie myślących. Odpowiedź Džilasa była też bezradna, co charakterystyczna dla wielu byłych aktywistów komunistycznych, którzy później zmienili poglądy. Powołał się mianowicie na swe późniejsze prace, skrył się za nimi jak za tarczą stwierdzając jakby tym samym, że równoważą one uprzednie jego działania. Jeśli jednak podobne stanowisko możliwe jest do przyjęcia w odniesieniu do pisarzy czy filozofów — choć i tu dość drudno się z tym zgodzić — to przecież w wypadku atywnych pracowników aparatu totalitarnego reżimu, ludzi, którzy byli bezpośrednimi inicjatorami a często i wykonaw-

camii zbrodniczych aktów, przyjął podobnych tłumaczeń nie sposób.

Oczywiście — sprawa odpowiedzialności intelektualistów za ich współdziałanie w tworzeniu systemów totalitarnych — lub choćby tylko za milczenie wobec zbrodni — to problem dużo szerszy i nie sposób go wyczerpać ani w trakcie kilkudniowego sympozjum, ani tym bardziej w niniejszym sprawozdaniu. Niemniej warto przypomnieć, że



Przemawia Mirosław Chojecki, obok P. Daix i M. Heller

zagadnienie to jest żywo obecne w polskiej kulturze od roku 1956, zwłaszcza zaś od chwili powstania niezależnego obiegu prasy i wydawnictw, o którym mówił w swym wystąpieniu M. Chojecki. Ostatnio sprawa ta powróciła z całą ostrością przy okazji wydania książki Jacka Trznadla „Hańba domowa”, na którą składają się m.in. wywiady z byłymi stalinowcami.

Zwrócenie się ku przeszłości miało też przede wszystkim na celu podkreślenie dzisiejszej odpowiedzialności intelektualistów na kształt świata, w którym przyszło im żyć. Tym większe wrażenie wywarły na zebranych relacje o cenie, jaką wielu spośród zaangażowanych w obronę praw człowieka i swobód demokratycznych musi wciąż jeszcze płacić za wierność zasadom. Do takich właśnie ludzi, którzy zapłacili cenę najwyższą, cenę życia, należeli intelektualiści sowieccy Marczenko i Stus, o których życiu i łagiernej śmierci przejmująco mówiła rosyjska poetka Natalia Gorbaniewska.

Warto przy tym zwrócić uwagę na fakt, że paryskie spotkanie intelektualistów było odpowiednią na wcześniejsze forum moskiewskie mające na celu wsparcie polityki Gorbaczowa, jego „otwartości” i „demokratyzacji” życia w bloku komunistycznym. Podkreślono szczególną podatność zachodnich środków masowego przekazu

na ideologiczną manipulację Moskwy, co wynika, zdaniem części uczestników (m.in. Maksimowa i Zinowiewa) z ulegania mitowi „postępu” z jednej strony, z drugiej zaś ich pragmatycznemu nastawieniu nie pozwalającemu dostrzec specyfiki systemu komunistycznego. Według tych krytyków postawy prasy zachodniej, należy uczynić wszystko, by uświadomić opinii publicznej fakt niereformowalności tego systemu.

Przeciw tej tezie opowiedzieli się m.in. Vernclova i Bondy wskazując, że jeśli w odniesieniu do idealnego państwa komunistycznego podobne rozumowanie wydaje się poprawne, to przecież nigdzie podobnego modelu nie udało się dotychczas utrwalić — nawet biorąc pod uwagę tragiczne doświadczenia Kambodży. Mamy do czynienia nie z układem modelowym, lecz z żywą rzeczywistością, która podlega realnym i wymiernym zmianom — współczesny komunizm różni się znacznie i to na korzyść, od epoki stalinowskiej, co pozwala żywić nadzieję na jego dalsze ewolucyjne zmiany, choć oczywiście nie należy też wykluczać możliwości przemian typu rewolucyjnego, wstrząsowego.

Ważnym wydaje się wystąpienie Vernclovy, który, nawiązując do żywej dziś dyskusji na temat Europy Środkowej, podkreślił fakt przynależności do niej krajów bałtyckich — Litwy, Łotwy i Estonii.



Leszek Szaruga (z lewej) i Gustaw Herling-Grudziński

Ostatnie wydarzenia w tych krajach wyraźnie wskazują na żywą w ich społeczeństwach świadomość łączności z kulturą europejską. Postawa ta wspierana jest przez fakt nieuznawania okupacji tych krajów przez większość państw europejskich oraz przez Stany Zjednoczone. W chwili obecnej rozwój wydarzeń na tych terenach ozna-

cza realne zmiany w świadomości prowadzące do odwrócenia nasilonego w poprzednich dziesięcioleciach procesu sowietywizacji. Podobne procesy zachodzą i w innych krajach objętych dominacją sowiecką. Wskazywał na to m.in. Pelenski mówiąc o ożywieniu świadomości narodowej Ukraińców coraz otwarciej domagających się m.in. uznania własnego języka za język państwowi. Oznacza to powolne odnowienie myśli społeczeństwa w kategoriach ukraińskiej państwowości. W tym też kontekście wspominał Pelenski o randze zbliżenia polsko-ukraińskiego czego wrazem było m.in. spotkanie w październiku biskupów polskich i ukraińskich w Rzymie — odnalezienie wspólnej platformy porozumienia jest znaczącym krokiem ku uregulowaniu w przyszłości stosunków między dwoma sąsiadującymi ze sobą, a podzielonymi przez tragiczne doświadczenia historyczne narodami.* Do tych podziałów — tym razem w odniesieniu do stosunków polsko-rosyjskich — nawiązał Wiktor Woroszyński wskazując w swoim wystąpieniu na rolę, jaką w zbliżeniu kultur i zwaśnionych narodów może odegrać literatura. Ogólnie rzecz biorąc w czasie paryskiego Forum zdołało nakreślić interesujący obraz przeobrażeń systemu sowieckiego, który zdaje się ewoluować ku formom bardziej otwartym, posttotalitarnym. Nie brakowało jednak przestróg przed zbyt poważnym traktowaniem „demokratycznej” ofensywy Gorbaczowa i jego ekipy. Wskazano m.in. na brak gwarancji prawnych, na wyłącznie werbalne zapewnienia o rosnących swobodach, na brak kontroli społecznej nad życiem politycznym itp.

Samo spotkanie przyczyniło się do wzmocnienia porozumienia ośrodków emigracyjnych z bloku komunistycznego, do ożywienia dyskusji nas temat jego przyszłości. Żałować tylko należy, że — poza wyjątkami — spotkanie to nie zgromadziło znaczącej grupy intelektualistów zachodnioeuropejskich, których udział mógłby w znacznej mierze podnieść rangę imprezy.

* Patrz artykuł J. Tyberskiego „Spotkanie polskich biskupów z biskupami ukraińskimi w Rzymie” — przyp. red.

SPROSTOWANIE

Informacja podana przez nas w ostatnim numerze *Poglądu* na str. 64 jest nieścisła. SB aresztowała Kornelia MORAWIECKIEGO, natomiast Konrad Mazowiecki, który w 1227 roku sprowadził nam do Polski Krzyżaków przebywa dziś tam, gdzie ręka SB raczej nie sięga.

Dokończenie ze str. 2

Ukłonem w stronę praw człowieka były dwie rzeczy: Jak stwierdził Reagan w przemówieniu do społeczeństwa, chodzi o rozwiązanie spraw indywidualnych, takich jak zwolnienie z więzienia i zwolnienie na emigrację. Prezydent nie powiedział jednak o ilu więźniów politycznych ani o ilu Żydów chodzi. Drugi ukłon w tym kierunku, to ciągłe przypominanie, że prawa człowieka odgrywają ważną rolę w stosunkach amerykańsko-sowieckich, tak samo jak prawo do uprawiania praktyk religijnych i wyznawania wiary. O Europie Wschodniej nie było w ogóle mowy. O ile jeszcze niedawno tzw. przedstawiciele władz amerykańskich uważali ją wręcz za teren konfliktu regionalnego, o tyle obecnie przestała istnieć. No dobrze, ale jeśli Rumunii prezydent rok rocznie wystawia doskonałą cenzurkę po to, by Kongres mógł jej przyznać klauzulę najwyższego uprzywilejowania, to taka Polska ze swoim referendum musi sprawiać wrażenie kraju wolnego.

Konflikty regionalne też zresztą nie znalazły rozwiązania. Z kwestii omawianych: Afganistanu, wojny iracko-irańskiej, Bliskiego Wschodu, Kambodży, południowej Afryki, Ameryki Środkowej i innych prezydentowi podobno najbardziej na sercu leżał Afganistan. Za sukces uznano więc oświadczenie Gorbaczowa, że Związek Sowiecki podjął polityczną decyzję wycofania wojsk z Afganistanu, ale pod warunkiem, że Stany Zjednoczone wstrzymają pomoc dla afgańskiego ruchu oporu. Prezydent nie wspominał o tym warunku w swoim przemówieniu do społeczeństwa, nie ma też o nim mowy we wspólnym oświadczeniu końcowym, ale za to Gorbaczow wymienił Afganistan na konferencji prasowej, a wysoki rangą przedstawiciel amerykański, naprawdę bardzo wysoki, powiedział: „prezydent nie podjął zobowiązań co do pomocy dla partyzantów”.

W przemówieniach prezydenta było za to sporo o amerykańsko-sowieckim sojuszu z okresu II wojny światowej. Opowiedział nawet historjkę, że kiedy Amerykanie stacjonowali w Moskwie, niektórzy jeszcze w mundurach, na wieść o zwycięstwie nad faszyzmem wylegli przed ambasadę i tłum poniósł ich na ramionach na Plac Czerwony. Ale nie wspominał już ilu sowieckich żołnierzy wracających z frontu „poniesiono” na Syberię, za to, że zetknęli się z obcymi. Reagan z pewnością

nie czytał Solżenicyna, ale za to czytał (sam przyznał) panią Mazzie, która u źródeł ekspansjonizmu sowieckiego dostrzega kompleks państwa obłożonego.

A kiedy Gorbaczow mówił o pokoju dla dzieci, wnuków i dzieci wnuków prezydent nie był w stanie zapytać: dla czyich dzieci — afgańskich, ginących od ładunków wybuchowych w sowieckich „zabawkach”, o których Gorbaczow z pewnością nie wie? A może dla wnuków kobiet zbombardowanych przez sowieckie lotnictwo? Może wreszcie dla dzieci wnuków mieszkańców tych krajów europejskich, które mogą się wkrótce znaleźć pod dziurawym parasolem nuklearnym?

Kiedy oba mocarstwa zaczynają nawiązywać do swego przymierza z okresu wojny czas modlić się o ratunek. Prezydent modlił się w tych dniach sporo: zanosił modły o pokój, o krzewienie demokracji, to znów o przyszłość we współzawodniczej wprowadzie egzystencji — ale za to „w ramach pokojowych”. Człowiek ucieka się jednak najczęściej do modlitwy wtedy, kiedy nie widzi już ratunku, kiedy nie widzi przed sobą przyszłości. Dla prezydenta Reagana przyszłość się skończyła. Jest to już jego ostatnia kadencja, posuwa się też w latach. I oto zdobył ostatnią w swoim życiu szansę zasłynięcia, zostawienia po sobie śladu w historii. Podczas gdy zadawano sobie tu w Waszyngtonie pytanie czy Związkowi Sowieckiemu udało się wbić klin między Amerykę a Europę, Reagan mówił o euforii, z jaką w Ameryce i w Eu-

ropie przyjęto podpisanie układu. Bardzo często bowiem z perspektywy amerykańskiego polityka, polityka z zaściankowymi tradycjami wiecującego tłumu, Europa to bezkształtna plama. Jednakże Wielka Brytania, mimo iż pani Thatcher jest najwyraźniej oczarowana Gorbaczowem, nie jest gotowa zrezygnować z własnego arsenału nuklearnego, a Francja nie chce o tym w ogóle słyszeć.

Amerykańsko-sowieckie spotkanie na szczycie przyniosło, i owszem, rezultaty w postaci układu, który raz jeszcze uczynił z Europy poligon, oraz dowodu, że determinantem stosunków amerykańsko-sowieckich są nie cztery dziedziny, o których mówił prezydent Reagan, lecz jedna: próba kupienia sobie pokoju dla własnego kraju za cenę państw trzecich. Być może najbardziej przełomowym rezultatem spotkania na szczycie jest sukces ofensywy propagandowej Gorbaczowa. Ostatecznie podbił serce zdeklarowanego antykomunisty, który uwierzył we jego niewinność.

Najbardziej bodajże wymownym świadectwem tego, czego dokonano podczas trzech pamiętnych dni były toasty wzniesione w trakcie bankietu w Białym Domu. Kiedy Reagan przepił do Gorbaczowa, ten rzucił od niechcenia: „przejmuję władzę w swoje ręce na czas, gdy prezydent jest zajęty”. Idea prezydenta Reagana brzmi: „każdy jest kowalem swego losu”. Owszem, ale po co zaraz pchać się między młot a kowadło. I to na dodatek nago. ■



POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
Stodieck's Buchhandlung und Galerie
prowadzi wydawnictwa emigracyjne i krajowe

Richard-Wagner-Str. 39
D-1000 Berlin 10
Tel. 341 10 40

Nowy katalog jesień/zima 1987/88.
Przeszło 400 tytułów, w tym blisko 90 znacznie przecenionych.
Katalogi wysyłamy bezpłatnie na życzenie!

Prywatne rozmyślenia

1.

Rezultaty referendum wprawiły wszystkich — poza Urbanem — w lekkie osłupienie. Nie chodzi nawet o to, że Polacy wypowiedzieli się przeciwko reformom, nie o to nawet, że przeciw demokracji. W ogóle nie chodzi o rzeczywisty wynik tego głosowania. W każdym innym kraju na świecie, położonym poza przodującym obozem, sensacją nie byłaby ani niska frekwencja, ani większość opowiadająca się przeciwko propozycjom władz. Są to w końcu sprawy dość normalne.

Zgłupieliśmy wszyscy, ponieważ wygląda na to, że podano do wiadomości publicznej rzeczywiste rezultaty referendum. A do tego naturalnie nikt nie jest przyzwyczajony. Pewien znajomy z Lublina wzdychał do mnie na tydzień przed głosowaniem, że ma głębokie obawy, iż jego miasto wytypowane zostanie — jak Kraków w 1946, w czasie 3 x tak — na miejsce bez cudu nad urną — takie, po którym partia i rząd będą chciały rozemnieć rzeczywiste poglądy społeczeństwa. Wtedy — mówił znajomy — żeby rozbić gniazda burżuazji i zredukować krakowiaków wystawiono im Nową Hutę. A dziś co?

Dziś żeby nam dać nauczkę będą musieli przyłączyć lubelskie do sowieckiej Białorusi. Tak narzekał mój lubelski znajomy, a tu okazuje się, że nie tylko lublinianie zawiedli zaufanie władzy, a wszystkich przecież, łącznie z Zieloną Górą i Szczecinem do Związku Sowieckiego nie przyłączy. Na dobrą sprawę powinienem był się cieszyć, że to panie demokratyzacja, uczciwość, rzetelność, prawda i otwartość. Coś mnie jednak powstrzymuje, za dużo już w życiu widziałem i nie mogę pohamować myśli — co za numer tkwi w całym referendum razem z jego rezultatami? Jaki interes mają komuniści w takim otwartym przyznawaniu się do ewidentnej porażki?

Nie jestem zwolennikiem spiskowej teorii historii, nigdy nie wierzyłem w istnienie tajnych, masońskich sztabów manipulujących dziejami, ale 1 grudnia popadłem w lekki stan schizofreniczny. Przychodzą mi do głowy różne rozwiązania — na przykład, że referendum przeprowadzone zostało dla zagranicy, dla Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego, dla Klubu Paryskiego i innych wierzycieli, domagających się zmian w sposobach zarządzania gospodarką w PRL. I że Polacy masowo wzięli udział w referendum i masowo byli za tymi zmianami, zaś rezultaty zmanipulowano, żeby pokazać zagranicznym politykom i ekspertom, że proszę bardzo, naród nie chce żadnych zmian, dobrze jest, jak jest i że wobec tego należy umocnić planowanie centralne i rozbudować system nakazowo-rozdzielczy.

W podejrzeniu upewnia mnie fakt, iż z rezultatów głosowania wynika, że dwie trzecie Polaków jest przeciw demokratyzacji. Biorę potem zimny prysznic i tłumaczę sam sobie, że przecież gdybym mieszkał dziś w PRL, też nie poszedłbym do urny, ponieważ za nic uważam demokratyzację robioną rękami Kiszczaków i Siwickich, a swobodę stowarzyszania się hodowców kanarków albo miłośników gry na dudach, co przyrzekł referat Biura Politycznego, nie zadawała moich pojęć o demokracji i samorządzie. Ale zaraz potem znów zaczynają mnie nurtować wątpliwości — może Jaruzelski miał pocziwe zamiary, może rzetelnie pragnął zmian i wpadł w pułapkę zastawioną przez partyjny beton, którego najwybitniejsi przedstawiciele wydawali się być zneutralizowani — Olszowski w Nowym Jorku, Milewski na emeryturze, a Grabski w Berlinie Wschodnim.

I już jawi mi się spisek, rozstawione sieci i wysysanie resztek autorytetu generalskiego truchła. A wtedy nagle przypomina mi się reforma

gospodarcza Gomułki — okazja jest dobra, bo to prawie rocznica. Ta z grudnia 1970 roku. Kiedy wówczas ogłoszono podwyżki zatelefonował do mnie pewien znajomy ubek, odznaczający się wybitną skłonnością do napojów rozweselających.

Zwierzył mi się, że pił ostatnio trzy dni, zaniedbał się w służbie i teraz też mu pęka, więc prosi mnie o pomoc. Powinien mianowicie przedstawić raport o nastrojach ludności muszę mu zatem koniecznie powiedzieć, co ludzie mówią o podwyżkach. Cieszą się — odparłem. Znajomy jęknął, popił kranówki i powiada — Nie wyglupiaj się, pomóż. Zapytaj swojej żony — powiedziałem mu — inni mówią to samo.

Referendum, mówię sam do siebie, wspominawszy przeszłość, dokładnie przypomina zbieranie materiałów do raportu o nastrojach ludności przez mego znajomego w grudniu 1970. Nic dziwnego, że Polacy udzielili dokładnie tej samej odpowiedzi, co jego żona wtedy. I już jestem uspokojony, już mi się wydaje, iż oswoiłem sytuację, gdy jak bumerang powraca pytanie — no dobrze, ale dlaczego komuniści nie zachowali wyników dla siebie?

I tak bez końca, *da capo al fine*, ponieważ w 43 lata po powstaniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej łatwiej jest mi uwierzyć we wszystko łącznie z krasnoludkami, w każdą najbardziej nawet zawikłaną i nieprawdopodobną teorię niż w to, że władze mojej Ojczyzny zachowały się uczciwie i przyzwoicie. W końcu one nie muszą, bo od tego nic nie zależy.

2.

Najlepszy, jak dotąd, komentarz do referendum wygłosiła moja żona. Wysłuchawszy konferencji prasowej Urbana orzekła:

— Rząd dał dupy ustami swego rzecznika.

3.

Z wielką uwagą śledzę zachodnioniemiecką dyskusję na temat tzw. Vermummungsverbot, czyli zakazu maskowania się podczas demonstracji. Nie mam tu zamiaru przytaczać katalogu argumentów obu stron z których jedna — zwolennicy zaostrzenia przepisów — kieruje się racjami pragmatycznymi, natomiast druga — ci którzy

pragną by wszystko pozostało bez zmian — posługuje się idealizmem, wyrażając niebezpieczeństwo w końcu obawy, że zaostrzenie jakichkolwiek przepisów może nadgrzeć delikatną z natury rzecz tkankę demokratycznych swobód.

Obie strony mają swoje racje, ale jakoś nikt jeszcze nie wpadł na pomysł, aby całą tę dyskusję przenieść na zupełnie inną płaszczyznę, na płaszczyznę hierarchii wartości obowiązującą dziś w Republice Federalnej Niemiec.

Mamy przed sobą całe spektrum polityczne — konserwatystów z CDU, którzy są za zaostrzeniem przepisów i całkowitym zakazem maskowania; liberałów z FDP, którzy jak zwykle wahają się, bo nie wiedzą jaka opcja jest dla nich bardziej korzystna; postępową lewicą z SPD która uważa, że skoro niektórzy zamaskowani dopuszczają się gwałtu to nie mogą ponosić za to konsekwencji wszyscy inni i wreszcie radykałów z Zielonych, którzy sądzą, że byłoby dobrze, gdyby wszyscy chodzili zamaskowani.

Tak oto podzielone są poglądy na maskowanie się w czasie wyrażania poglądów politycznych. A teraz proponuję mały przedświąteczny eksperyment — proszę się ubrać jak na demonstrację na Startbahn-West, albo Hafenstrasse i wejść do najbliższego banku czy Sparkassy. Zagadka na którą należy odpowiedzieć, brzmi — ile czasu (tygodni, miesięcy, lat) zabierze eksperymentującemu wytłumaczenie policji i prokuraturze, że korzystało się tylko z liberalnych przepisów o maskowaniu się, a wejście do banku było jedynie demonstracją przeciw krachowi na giełdzie i obniżeniu odsetek?

Jest bardzo miło żyć w kraju demokratycznym i liberalnym, gdzie wszelkie swobody, łącznie z zakrywaniem twarzy praktykowane są szeroko. Ale jednocześnie jakoś niemiła pozostaje świadomość, że te swobody kończą się, kiedy idzie o pieniądze.

Życie i zdrowie uczestników demonstracji i pilnujących ich demonstrantów jest przedmiotem sporów i kontrowersji między politykami, ale niech no tylko wejdzie w grę parę tysięcy marek, natychmiast wszyscy się pogodzą. Jeśli można chodzić po pieniądzu (własne) do banku z odkrytą twarzą, a nawet brać pożyczkę bez ciemnych okularów i chustki na ustach, to tym bardziej można manifestować w ten sposób poglądy, albo ich brak.

4.

Hasło na murze w Bonn, które popieram: Wir wollen alles, und zwar sofort. (Chcemy wszystkiego, i to zaraz — przyp. red.).

5.

Po usunięciu ze stanowiska Borysa Jelcina, sekretarza moskiewskiego komitetu partii zaniepokojono się na Zachodzie losami głośności i pieriestrojki. Jak zawsze w takich przypadkach podzielono elitę władzy na progresistów i twardogłowych, czyniąc z Jelcina ofiarę szefa KGB, Czebrikowa. Podobno wraz z dymisją Jelcina Gorbaczow stracił swego najlepszego sojusznika w dziele przebudowy.

A mnie się jakoś wydaje, że jest całkiem inaczej, że Jelcin jest ofiarą samego Michała, a jego zasadniczą winą wcale nie było niepoohamowane krytykowanie aparatu i zbyt gwałtowne wprowadzanie pieriestrojki. Jelcin popełnił komunistyczny grzech śmiertelny — mianowicie zdobył sobie autentyczną popularność wśród tłumów. A takich rzeczy nie lubią pierwsi sekretarze, bo łamią one naturalną, urzędową hierarchię, wprowadzając elementy siły, leżącej poza demokracją centralistyczną. Ostrożny polityk w komunizmie nigdy nie jest popularny. Polityk osiągający sukces jest zawsze niepopularny. Wystarczy popatrzeć na Jaruzelskiego, Honeckera, Husaka, którzy nie na popularności zrobili kariery. Jedyna dobrze widziana popularność w realnym socjalizmie — to popularność na Zachodzie. I tu Gorbaczow jest lepszy od Jelcina.

6.

Czy można być równocześnie tzw. „realpolitikiem” i mistykiem? Doświadczenie uczy, że nie tylko można, ale i trzeba; że są to kategorie nierozdzielne, że mistyka prowadzi do „Realpolitik” i odwrotnie, że uprawianie „Realpolitik” spycha nieuchronnie w mistycyzm. Dowiódł tego świeżo Andrzej Micewski, historyk i katolicki publicysta, aktualnie naczelny redaktor wydawanego w Wiedniu czasopisma *Znaki czasu* artykułem „Dramat Polski” opublikowanym na łamach *Die Zeit*.

Najpierw Micewski dokonuje chłodnej, realistycznej oceny sytuacji PRL, ze wszystkimi normalnymi atrybutami. A więc mamy przynależność

Polski do Bloku Wschodniego, z której to przynależności — pisze Micewski — Związek Radziecki nigdy nie zrezygnuje. Zupełnie realistyczna ocena, zwłaszcza, że — jak pisze *Die Zeit* — „katolicki publicysta działający na zlecenie prymasa Glempa” ani się zająknął, czemu to o przynależność Polski tu czy tam ma decydować Związek Sowiecki a nie Polska i czy taką sytuację można w świetle jakichkolwiek doktryn — w tym i kościelnych — uważać za normalną.

Dalej jest o sytuacji wewnętrznej, też realistycznie. Micewski dostrzega, że w Polsce działa opozycja, bez której poparcia nie są możliwe żadne reformy, ale opozycja ta stawia warunki — na przykład pluralizm związkowy — których w przewidywalnym czasie nie może przyjąć żadna rządząca Polską ekipa. Bardzo realistycznie. Pasent, który zazwyczaj gości na łamach *Die Zeit* nie napisałby inaczej. Publicysta katolicki, który specjalnie wyjechał do Wiednia, by móc spokojnie i bez cenzury wydawać pismo współczesne podziela pogląd Jaruzelskiego, że pluralizm związkowy jest w Polsce niemożliwy. Uzasadnienie tego twierdzenia wprowadzić nie ma, ale można się domyślać, że istnieją „uwarunkowania”. Słowem, sytuacja w której Polacy nie mogą mieć takich związków zawodowych jakich chcą, uznana została przez Micewskiego, reprezentującego w Wiedniu Glempa za normalną. Przynajmniej na bieżącym etapie, jeśli wolno mi się wyrazić tak elegancko.

„Solidarność” — powiada dalej Micewski — była w 1981 roku naprawdę zbyt radykalna i dziś wielu jej działaczy zachowuje się nie jak związkowcy, ale jak radykalni politycy. Rozumiem z tego, że przyłączenie w roku 1981 „Solidarności” do PAX-u i zajęcie się przez jej aktywistów produkcją pasty do butów w koncernie INCO zadowoliliby wszystkich — władzę, Kościół i osobiście Micewskiego. Biedni działacze Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego nie zrozumieli w porę, że polityką zajmuje się Biuro Polityczne na zasadach wyłączności, że ma ono abonament i że inaczej być nie może, a nawet nie powinno. Ta nieświadomość sprowadziła na kraj stan wojenny i klęskę gospodarczą. Opozycja powinna być umiarkowana i elastyczna — nawołuje Micewski, tracąc jakby w tym momencie kontakt z rzeczywistością, bo przecież umiarkowaną i elastyczną opozycję mamy w PRL od czasów przynajmniej Gomułki, nawet w sejmie.

Umiarkowany opozycjonista Ozdowski jest dziś nawet wicepremierem. Szkopuł w tym, że społeczeństwo nie dorosło i opozycja umiarkowana nie ma wzięcia. Kiedy czytałem te wywody o potrzebie opozycji umiarkowanej nie mogłem jakoś zrozumieć, dlaczego Micewski nie dodał słów, i „konstruktywnej” — tego ulubionego wytrycha komunistów do niszczenia wszelkich przejawów swobodnej i odmiennej myśli. — Trzeba mieć odwagę — powiada Micewski — by stwierdzić, że w Polsce pluralizm związkowy nie jest politycznie możliwy. To może w Wiedniu trzeba mieć taką odwagę. W Warszawie jest, jak się zdaje, odwrotnie. Trzeba mieć odwagę, by stwierdzić, że pluralizm — każdy, nie tylko związkowy — jest konieczny jak powietrze.

No pięknie: naszkicowawszy krótko, co nie jest możliwe, obciążywszy opozycję odpowiedzialnością za kryzys, czyli złożywszy daninę „Realpolitik” stoczył się Micewski nieuchronnie — jak to zawsze bywa — w ciemną, zawikłaną mistykę, w regiony, gdzie nie ma miejsca na realność, pozostają sny i majaczenia.

Otóż — naprawdę ja tego nie wymyśliłem, tak wydrukował *Die Zeit* i podpisał nazwiskiem Andrzej Micewski — wobec tych licznych niemożności i krnąbrności polskich jedyną drogą wyjścia z kryzysu pozostaje współpraca w tej dziedzinie Wschodu z Zachodem. Wschód powinien Polskę uwolnić od płatności i zobowiązań gospodarczych na rzecz Układu warszawskiego, a Zachód dać nowe kredyty. Wobec tego, że nic się w Polsce politycznie zmienić nie może, gdyż żadna ekipa na to nie pójdzie, zmienić się powinno w Moskwie i Waszyngtonie. Odważna koncepcja. Zdaje się, że równie skutecznie można by zaproponować pokropienie Kremla wodą święconą oraz zorganizowanie dla pracowników nowojorskiej giełdy wykładu Manfreda Gorywody o wartości dodatkowej. A ponieważ mistycy zawsze skłonni są uważać, że jeśli nie wypełni się ich wskazań, nastąpi koniec świata, Micewski powiada, że bez koncesji Wschodu i Zachodu Polska popadnie w chaos, zagrażający pokojowi w Europie. Przyłączam się do niego i wołam wielkim głosem: tak jak z ziemi niemieckiej nigdy nie powinna wyjść wojna, tak z ziemi polskiej nie może wyjść koniec świata. Pieniędzy, pieniądze ze Wschodu i Zachodu dla ekipy Jaruzelskiego i dla umiarkowanej opozycji, inaczej biada ci, Ilium, miasto Priama. Amen.

7.

Wszystkim moim Czytelnikom — jeśli mam jakichś, a tego się nigdy nie wie na pewno — życzyć miłych, dostatnich i spokojnych Świąt.

Dokończenie ze str. 3

W kilka miesięcy później w lutym 1987 r. Gorbaczow stwierdził, że Związek Sowiecki jest gotowy do traktowania kwestii broni średniego zasięgu oddzielnie od innych problemów. W czerwcu USA wysunęły propozycję podwójnej opcji zerowej, a więc łącznego rozpatrywania rakiet średniego zasięgu do 1500 km i rakiet o zasięgu od 500 do 1000 km. W tydzień później Gorbaczow zaakceptował tę propozycję. W sierpniu wydał się, że inicjatywa układu załamała się. Minister spraw zagranicznych Związku Sowieckiego Szevardnadze oskarżył bowiem na konferencji rozbrojeniowej w ONZ w Genewie Stany Zjednoczone i RFN o usiłowanie storpedowania rokowań wobec wyłączenia z nich 72 przestarzałych rakiet Pershing-1A pozostających na wyposażeniu Bundeswehry. Głowice do tych rakiet znajdowały się w dyspozycji armii amerykańskiej. Kanclerz Kohl odpowiedział natychmiastową gotowością zełomowania tych rakiet i rezygnacji z ich zaplanowanej na rok 1989 modernizacji.

Tyle historii podpisania układu zwanego w skrócie INS. Zgodnie z jego literą zniszczeniu ulec powinno 1919 rakiet sowieckich typu SS-20, SS-4, SS-12 i SS-23 wyposażonych w 3683 głowice atomowe oraz 794 rakiety amerykańskie typu Pershing-2, Cruise i Pershing-1 z 692 głowicami nuklearnymi.

Czy układ INS ma rzeczywiście historyczne znaczenie? Głowice, które ulegną w rezultacie jego realizacji zniszczeniu stanowią zaledwie 3% nuklearnego potencjału pozostającego w dyspozycji obu mocarstw. Z punktu widzenia militarne go, zwłaszcza rozpatrywanego w skali globalnej, a więc w takiej z jakiej spoglądają Moskwa i Waszyngton, układ nie przynosi istotnych zmian. Inaczej wygląda sprawa z punktu widzenia europejskiego. Na starym kontynencie oznacza to po prostu zdjęcie z Europy Zachodniej amerykańskiego atomowego parasola ochronnego, który będzie trzeba zastąpić — gdyby nie doszło do

podpisania kolejnych porozumień, szczególnie o redukcji sił konwencjonalnych — dozbrojeniem armii europejskich NATO. Wymagać to będzie znacznego wysiłku finansowego, gdyż zbrojenia konwencjonalne są niemal dwukrotnie droższe w przeliczeniu na skuteczność od zbrojeń jądrowych.

Republika Federalna Niemiec od czasu wyśnięcia propozycji podwójnej opcji zerowej podejmuje próby ściślejszego związania się wojskowego z Francją, dysponującą własnym arsenałem jądrowym. Przeszkodą jest tu francuska doktryna militarna nastawiona na działania defensywne, w związku z czym francuskie rakiety mają zasięg zaledwie do 500 km. W tej sytuacji terytorium RFN stałoby się w ewentualnym konflikcie europejskim teatrem działań wojennych, na który spadałyby rakiety krótkiego zasięgu, i z NRD i z Francji.

Układ jest na pewno korzystny dla Polaków. Wedle doktryny Układu Warszawskiego, a i wedle zasięgu stacjonowanych w Europie rakiet, to właśnie terytorium Polski miało być miejscem rozgrywania działań wojennych. Układ przynajmniej częściowo znosi to niebezpieczeństwo.

To, co najbardziej istotne w układzie INS to obustronne koncesje, które umożliwiły jego podpisanie. Trzeba przy tym uczciwie powiedzieć, że ustępstwa Związku Sowieckiego były o wiele większe. Przede wszystkim Moskwa zgodziła się po raz pierwszy na asymetryczną redukcję sił. Jak dotąd we wszystkich rozmowach i rokowaniach obowiązywał matematyczny model ilościowy — my likwidujemy 100 rakiet i wy też 100. Niezależnie od stanu ich posiadania. Jeśli podpisanie układu oznacza zmianę sposobu myślenia na Kremlu, tworzy to dobre szanse dla rokowań w sprawie zbrojeń konwencjonalnych, gdzie Sowoci mają miazdzącą przewagę. Po drugie, także po raz pierwszy układ nie jest transakcją wiązaną, nie ma w nim żadnych dodatkowych warunków wstępnych, nie zawiera furtek, które później mogłyby stać się podstawą do utrzymywania, że to Zachód odstąpił od umowy. I wreszcie także po raz pierwszy Moskwa wyraziła zgodę na kontrolę wykonania układu na miejscu, dopuszczając inspekcje Stanów Zjednoczonych do swych baz wojskowych.

Zachód zaś zrezygnował ze swej pierwszej zasady strategicznej, zasady odstraszenia, na

miejsce której nie ma, jak na razie, żadnej innej koncepcji. Innymi słowy, po usunięciu rakiet średniego zasięgu, a przed wypracowaniem nowej doktryny obronnej, wojna w Europie, konwencjonalna wprawdzie a nie nuklearna, mogłaby stać się nie mniej ale bardziej prawdopodobna. Wypełnienie zobowiązań sojuszniczych przez Stany Zjednoczone musiałyby w tym przypadku zmienić wojnę europejską w wojnę światową.

Zapowiedzi dalszych rokowań w sprawie redukcji innych rodzajów broni, w tym i broni strategicznych, pozwałyby na odstąpienie od ostrożności ocen graniczącej z pesymizmem. Jeśli istnieje coś skłaniającego ku pesymizmowi, to kwestie nie dające się ująć w żadnych układach, umowach i traktatach międzynarodowych. Chodzi po prostu o różnicę w hierarchii wartości, w kulturze politycznej, stanowieniu i w wykonywaniu prawa kontroli społecznej i roli opinii publicznej w obu blokach militarnych.

Podpisano układ o likwidacji części śmiertelnościowego sprzętu przeznaczonego do zabijania, ale nie układ o zmianie mentalności dyspozytorów tego sprzętu. Można snuć różne domysły na temat przyczyn, które skłoniły Kreml do ustępstw i rezygnacji z nuklearnej przewagi w Europie. Może była to niezdolność dalszego lokowania 20% dochodu narodowego brutto w zbrojeniach. Może świadomość istnienia 10-12-letniego zacofania technologicznego, które może być zlikwidowane wyłącznie dzięki pomocy i przy współpracy z Zachodem.

Jedno jest pewne. Z partnerem słabszym Związek Sowiecki nie rokowałby rozbrojenia, nie ubiegał się o pokojowe stosunki i załagodzenie konfliktów.

Przed Białym Domem demonstrowali w obronie swoich spraw i praw swoich ziomków Żydzi, Ukraińcy, Bałtowie, Afgańscy. Nikt z delegacji sowieckiej nie wyszedł do nich, by ich wysłuchać. Wszyscy słuchali tylko Reagana. Zlikwiduje się ponad 2500 rakiet i ponad 4 tys. głowic nuklearnych — to bardzo pięknie — ale czy dla likwidacji 20 mln obywateli Związku Sowieckiego w czasach stalinowskich potrzebna była choć jedna rakietka i choć jedna głowica? Czy do polskich oficerów w Katyniu strzelano SS-20? Czy zrzucano w ciągu ośmiu lat wojny w Afganistanie, gdzie zginęło ok. miliona ludzi, choć jedną bombę atomową? Czy wreszcie w Polsce nie wystarczyły

pałki ZOMO i kilka strażów, by służyć potężny ruch społeczny? Przykład Kambodży pokazał nam, że trzonek od motyki jest narzędziem zabijania tak samo sprawnym jak bomba. Czterdzieści powojennych lat w podzielonej Europie powinny nas nauczyć, że brak wojny nie jest jeszcze równoznaczny z pokojem. Pokój zaczyna się dopiero tam, gdzie nie ma wroga, realnego czy wyimaginowanego na użytek propagandy. Gdzie w miejsce ideologii rządzi prawo, gdzie społeczeństwo kontroluje rządzących a nie odwrotnie.

Przedstawiciele Kongresu USA uzależnili ratyfikację układu od wycofania wojsk sowieckich z

Afganistanu, od realizacji prawa do suwerenności jednego tylko narodu. Kwestia takich samych praw narodów Europy Wschodniej w ogóle nie była podnoszona. Sprawy innych konfliktów regionalnych, w których stroną są bądź bezpośrednio Sowiety, bądź ich sprzymierzeńcy, kwestie praw i człowieka i praw obywatelskich w samym Związku Sowieckim i jego satelitach ustąpiły przed propagandą sukcesu, potrzebną przede wszystkim Gorbaczowowi.

Nie jest to najlepsza wróżba dla pokoju. ■



KSIĘGARNIA WAWEL

D-5000 Köln 1, Stephanstr. 11

Tel. 0221/24 61 60

otwarta codziennie od 10 do 18.30

w soboty do 14

CHCESZ SPRAWIĆ BLISKIM RADOŚĆ — PODARUJ !!!

W. Pobóg-Malinowski: **NAJNOWSZA HISTORIA POLITYCZNA POLSKI**

t. I lata 1864-1914, 640 str., t. II 1914-1939, 900 str., t. III 1939-1945, 930 str.
po DM 63,50

„**ŚMIECH ZAKAZANY**” — ponad 1000 politycznych dowcipów z 40 lat PRL.

Zebrał A. Rosenbusch. Melbourne, 225 str. DM 26.-

„**GOMUŁKA I INNI. DOKUMENTY Z ARCHIWUM KC PZPR**”

Rewelacyjne, tajne dokumenty odsłaniające kulisy rządów PRL. 272 str. DM 24.-

L. Kołakowski: „**JEŚLI BOGA NIE MA**”. Rozważania na temat powiązań między religią a życiem, erosem, śmiercią. 160 str.

DM 15.-

KALENDARZ ŚCIENNY na 1988 rok z pięknymi kolorowymi zdjęciami z podróży papieża Jana Pawła II. Wyd. w USA

tylko DM 3.-

★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★

Na składzie księgarni Wawel — kilka tysięcy tytułów książek polskich oraz płyty i kasyety
Nowy katalog gratis na żądanie?

Tybet a imperializm chiński

1.10.1949 roku proklamowano powstanie Chińskiej Republiki Ludowej. Jeszcze w tym samym miesiącu radio Pekin ogłosiło, iż Tybet jest częścią Chin oraz zapowiedziało, iż Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza wkroczy na terytorium Tybetu, by wyzwolić lud od obcych i rodzimych imperialistów i przywrócić kraj tonu wielkiej ojczyzny. Z biegiem czasu chińscy rewolucjoniści dawali jeszcze wyraźniejszy upust trosce o losy narodu tybetańskiego, a 7.10.1950 roku armia chińska „z pobudek patriotycznych, internacjonalistycznych, a także w imię solidarności klasowej rozpoczęła akcję wyzwolenczą” — jak doniosło radio Pekin, choć z jakimś opóźnieniem, bo 25.10, a więc w 18 dni później, gdy opór wojska tybetańskiego został praktycznie zdławiony.

Argument chińskości Tybetu nie jest wymysłem chińskich komunistów. Równie stanowczo posługiwali się nim Sun Jat-sen (pierwszy prezydent Republiki Chińskiej w 1911 roku), jak i Czang Kaj-szek, a cesarze chińscy z mniejszym lub większym powodzeniem starali się z Tybetu uczynić dobro lenne lub, w późniejszym czasie, kontrolować poczynania Tybetańczyków w ten sposób, by od strony zachodniego sąsiada nie groziła im agresja.

W historii ostatnich dwustu lat z okładem prawie zawsze bywało tak, iż republikanie obalając despotyczne i zaborcze monarchie, a później komuniści obalając imperialistycznych republikanów lub monarchów, nie rezygnowali z terytorial

nych ambicji swoich poprzedników próbując przedstawić się narodowi i światu jako spadkobiercy ich tradycji (a więc i imperialistycznych zaopędów), by z drugiej strony szermować argumentami etnologii i etnografii, gdy „dynastyczno-tradycyjne” nie miały racji bytu.

Chińczycy w stosunku do Tybetu zmuszeni byli zastosować wariant „dynastyczny”, bowiem kulturowe związki „dachu świata” dotyczą raczej Indii (religia, alfabet, handel), a język tybetański jest dla Chińczyka językiem obcym (w którym np. syfils nazywa się „chorobą chińską”). Choć i tu propaganda „państwa środka” nie brzmi zbyt przekonująco, bowiem argument chińskości Tybetu historia potwierdza niechętnie literą różnych narzucanych Tybetańczykom układów, umów, konwencji i traktatów, natomiast przeczą mu wydarzenia ostatnich 13 wieków, w czasie których Tybet z mniejszym lub większym powodzeniem bronił swojej politycznej i kulturowej odrębności.

W VIII wieku tybetański król Song-tsan Gampo opanował Bengal (Zatoka Bengalska nazywała się wówczas Tybetańska), Burmę, zachodnie Chiny, które płaciły Tybetowi trybut w... długości 50 tys. metrów brokatu rocznie, a księżniczka chińska była drugą (obok nepalskiej) żoną tybetańskiego władcy. Ekspansja Tybetu w głąb Chin trwała do połowy IX wieku, a walki wewnętrzne zredukowały w IX wieku królestwo do kilkunastu współzawodniczących ze sobą księ-

tewek, które na wieść o podbojach Dżingis Chana w 1207 roku wysłały doń delegację i ofiarowały okup, unikając w ten sposób najazdu hord mongolskich. Wnuk Dżingis Chana, Kubilaj, wezwał tybetańskiego lamę Phagpę, by ten udzielił mu instrukcji religijnych w kwestii buddyzmu. W 1254 roku Kubilaj nadał swemu religijnemu instruktorowi inwestyturę i uczynił go w ten sposób najwyższym autorytetem religijnym i świeckim w Tybecie, tworząc zeń formę mongolskiego „protektoratu”.

Nie od rzeczy byłoby wspomnieć, iż ów Kubilaj w 1280 roku koronował się na cesarza chińskiego. Nie inaczej miała się rzecz, gdy tron cesarski objęła w Chinach dynastia „narodowa” Ming (1368-1644), a liczne dokumenty regulujące stosunki sino-tybetańskie mówią o Tybecie jako o „Państwie Zachodnim”.

Zgodnie z duchem nadanej Phagpie inwestytury Tybet stał się de facto państwem teokratycznym, a tradycja wysyłania na dwory chińskie i mongolskie religijnego instruktora przetrwała do 1911 roku, gdy Chiny z cesarstwa przekształciły się w republikę. Koncept Kubilaja ustalił na długie wieki unikalny w Azji i trudny do wytłumaczenia w kategoriach politycznych Zachodu stosunek patron-lama, gdzie świecki autorytet lamów w Tybecie popierała siła patrona otrzymującego w zamian poparcie „duchowe” od przywódcy lamaizmu.

Stosunkom sino-tybetańskim rzadko towarzyszył paternalizm, a list chińskiego cesarza Kang-si z 1674 roku, w którym prosi on tybetańskiego dalajlamę o posiłki wojskowe (nie wysłane zresztą) celem uśmierzenia buntu uzurpatora, księcia Wu San-kuel, wskazuje wyraźnie na pełną emancypację „dachu świata”.

Delikatna, acz mocna pozycja dalajlami w Azji zasługuje na kilka słów wyjaśnienia. Zgodnie

z doktryną lamaizmu, będącego odłamem buddyzmu, wcielenia bóstw hinduskich chodzą po ziemi, a dalajlama, zwierzchnik kościoła w Tybecie, Nepalu, części Chin, Indii, Sikkimu i ZSRS, jest inkarnacją Awalokiteśwary. Tytuł ten nadany został przez mongolskiego władcę Altan Chana przywódcy tzw. złotego kościoła w 1578 roku.

„Dalaj” oznacza po mongolsku „ocean”, z czego ma wynikać, iż wiedza dalajlami jest równie głęboka. W tym samym mniej więcej czasie Mongołowie nadali niejakiemu Losang Chosgyanowi tytuł „wielkiego uczonego”, tzw. panczenlamy. W ten sposób panczenlama pozostaje do dziś autorytetem „naukowym” lamaizmu i zwierzchnikiem monasteru w Szigace (drugie co do wielkości miasto w Tybecie), natomiast władza administracyjna i autorytet religijny pozostają w rękach dalajlami, będącego opatem największego monasteru w okolicach stolicy — Lhasy.

Od połowy XVI wieku dalajlama, obok sprawowania funkcji administracyjnych, był arbitrem w sporach między państwami wielkimi jak Chiny i Indie, jak i małymi — Nepal, Sikkim. Inni lamowie (określenie mnicha) mogą być reinkarnacją zmarłych lamów lub też otrzymują ten tytuł z rąk kapłańskich święceń. Następca dalajlami, czyli kolejne wcielenie hinduskiego bóstwa, ma prawo urodzić się w 2-3 lata po jego śmierci, a tytuł ów, po przeprowadzeniu specjalnych prób i egzaminów, przyznaje dziecku specjalna komisja, w skład której wchodzi przywódcy najważniejszych monasterów i dwóch wyroczni. Od momentu śmierci dalajlami do chwili osiągnięcia przez następcę pełnoletności rządy sprawuje regent.

Jeden z nich, sprawując władzę, przez 15 lat ukrywał śmierć piątego dalajlami, co wyszło na jaw w 1703 roku. Wówczas to w Chinach panowała dynastia mandzurska, która wykorzystując zamieszanie w Tybecie poparła zbrojnie jedną ze



Yumbulang — najstarszy zamek w Tybecie (V-VI w. n.e.)

zwalczających się frakcji, by w 1727 roku wymusić zgodę tybetańskiego rządu na zainstalowanie w Lhasie urzędu ambanów — dwóch chińskich zwierzchników, którym nierzadko Tybetańczycy podcinał gardła — oraz garnizonu, którego liczebność ulegała wahaniam i niekiedy wyrażała się symboliczną liczbą 100.

Mimo nominalnego zwierzchnictwa Chin, określającego Tybet jako podmiot chińskiego suzerena, owa zależność miała często charakter dość iluzoryczny — np. w 1876 roku Brytyjczycy otrzymali zgodę Chińczyków na eksplorację naukową Tybetu, jednak nie byli w stanie przeprowadzić swoich badań ze względu na zbrojny opór nieufnych Tybetańczyków. W końcu XIX wieku Tybet siłą rzeczy znalazł się na orbicie intensywnych zainteresowań brytyjskich, wynikających z zawiadowania Indiami, a też z próby ograniczenia wpływów rosyjskich w Azji Środkowej.

W 1890 roku Anglicy podpisali w Kalkucie umowę z chińskimi ambanami z Tybetu. Umowę tę poparła konwencja handlowa z 1893 roku. Realizację układów, podpisanych bez udziału dalajamy, wymusił dopiero brytyjski korpus ekspedycyjny płk. Younghusbanda w 1904 roku. Znany skądinąd lord Curzon, wówczas wicekról Indii tak pisał do Rządu Jej Królewskiej Mości w Londynie

w 1903 roku: „Propozycję Chin jako suzerena Tybetu uznajemy za konstytucyjną fikcję, jednak nie protestujemy ze względu na jej dogodność dla obu stron.” Chodzi oczywiście o stronę brytyjską i chińską.

Zresztą Brytyjczycy, zmuszeni do stoczenia 5 bitew z wojskiem tybetańskim po drodze do Lhasy, uznali za konieczne podpisanie nowego dokumentu, już z udziałem strony tybetańskiej, zwanego Konwencją z Lhasy (1904). Konwencja ta, choć narzucona Tybetowi przewagą militarną, podpisana była w obecności ambanów chińskich ale, na specjalne życzenia dalajamy, nie w ich siedzibie. Chiny, jak pośrednio wynika z tekstu dokumentu, uznawane są tam za „obcą siłę” (foreign power). Dynastia Cing, potwierdzając w umowie z Brytyjczykami z 1906 roku swoją pozycję w stosunku do Tybetu jako „obce mocarstwo” upadła w 1911 roku.

Obalenie cesarstwa chińskiego przez Sun Jat-sena w październiku 1911 r. nie oznaczało końca tybetańskich kłopotów. Gdy dalajama w 1912 roku proklamował niepodległe państwo tybetańskie, znów wybuchły walki, a poczynania Chińczyków doczekały się ostrego protestu Brytyjczyków. Dalajama, zbiegłszy uprzednio do Indii, w 1913 roku podjął ryzyko powrotu do Lhasy i



Monaster Samye (VIII w. n.e.)



Trzynasty dalajlama (siedzi) z rządem. Kalkuta — 1910

po zmuszeniu Chińczyków do odwrotu zatrudnił emerytowanego japońskiego (sic!) generała jako szefa wyszkolenia tybetańskiej armii.

Tymczasem Anglicy postanowili uregulować trójstronne stosunki Wielka Brytania-Tybet-Chiny i w 1913 roku doprowadzili do konferencji w Simla (Indie), gdzie dalajlama wystąpił z następującymi propozycjami: 1/ w Tybecie nie będzie urzędować żadne przedstawicielstwo chińskie, 2/ Tybet reprezentuje interesy brytyjskie, 3/ Chińczycy muszą przystać na koncesje terytorialne wobec Tybetu. Natomiast strona chińska powoływała się na argumenty „dynastyczne” twierdząc, iż skoro Tybet znajdował się po protektoracie Dzingis Chana (ok. 1155-1227) musi należeć do Chin, ponieważ późniejsze chińskie dynastie „narodowe” uważały się za spadkobierców tradycji mongolskich, a „republikanie”, ma się rozumieć, dziedziczą automatycznie prawa Mongołów i cesarzy chińskich. W sumie dalajlama zgodził się na przyjęcie terminu „suzeren”, który dość niejasno określał stosunek Chin do Tybetu w zamian za szeroko pojętą autonomię i wyraźne ustępstwa terytorialne Chińczyków, uprawnionych do posiadania przedstawicielstwa w Lhasie jako „suzeren” — chronionego jednak nie więcej niż 300 chińskimi żołnierzami.

Umowa ta nie doczekała się ratyfikacji parlamentu chińskiego i Brytyjczycy 26.04.1914 roku oświadczyli, iż: „Cierpliwość Rządu Jego Królewskiej Mości wyczerpała się i w związku z tym informujemy rząd chiński, iż jeśli Konwencja nie będzie ratyfikowana do końca miesiąca, będziemy zmuszeni do podpisania jej wyłącznie ze stroną tybetańską”, co stało się po upływie terminu ultimum faktem.

W miesiąc później wybuchła I wojna światowa i obie zainteresowane strony, już bez udziału Anglików próbowały udowodnić swoje racje siłą. Tybetańczycy uważali, iż skoro Chińczycy przestali być stroną Konwencji w Simli Tybet istnieje jako suwerenne państwo zgodnie z duchem proklamacji dalajlamy z 1912 roku. Rząd Tybetu otworzył przedstawicielstwa dyplomatyczne w krajach sąsiadów, bił własną monetę, wydawał paszporty, drukował własne znaczki. Atak chiński na Tybet w 1917 roku został odparty, a kłopoty wewnętrzne Chin jak i wojna z Japonią kazały im zapomnieć o „dachu świata”, na terytorium którego do 1934 roku praktycznie nie postawił nogi żaden Chińczyk. Czang Kaj-szek w 1927 roku przesłał list dalajlamie, w którym proponował swoje poparcie w zamian za uznanie Tybetu za część Chin,

na co dalałama nie przystał. Generalissimus ponowił propozycję w 1930 i 1934 roku — również bez skutku — by korzystając z faktu, iż kolejny reinkarnowany panczeńlama w wyniku sporów o autorytet z dalałamą zmuszony został do ucieczki do Chinach, w 1923 roku usiłować siłą osadzić go na czele teokratycznego rządu Tybetu, któremu zgodnie z tradycją przewodzi dalałama. Jednak niespodziewana śmierć panczeńlami zniweczyła plany Czang Kaj-szeka.

Wypada dodać, iż obecny 14 dalałama urodził się na terytorium Chin, gdzie zgodnie ze wskazaniami wyroczni odnalazła go tybetańska komisja. Rządowi „dachu świata” udało się go sprowadzić do Lhasy po dwóch latach żmudnych negocjacji i opłacie w wysokości 90 tys. dolarów.

Usiłowania Chińczyków, by w jakiś sposób zmanifestować swą obecność w Tybecie zakończyły się zgodą na utworzenie w Lhasie chińskiej misji handlowej i zaakceptowania Chin jak „suzereana”. W gorącym czasie wojny domowej w Chinach „wielki marsz” komunistów wobec oporu Tybetańczyków musiał ominąć „dach świata”. Z biegiem czasu chińska misja handlowa stała się tubą komunistycznej propagandy i Tybetańczycy w 1949 roku wyprosili z niej wszystkich podejrzanych o prokomunistyczne sympatie. W tym samym roku doszło do cytowanych na początku oświadczeń radia Pekin, a 7.10.1950 do agresji wojskowej. Sprawa, ze względu na niejasny status Tybetu, stanęła na obradach ONZ dzięki wnioskowi Salwadoru, jednak wobec zaangażowania Amerykanów w Korei, brytyjskich obaw o Hong-Kong, a także veto przedstawicieli Czang Kaj-szeka (sic!) (już wówczas na Formozie), w Radzie Bezpieczeństwa nie doszło do uchwalenia żadnej rezolucji i obrady mające być poświęcone Tybetowi „odroczone”, by ich nigdy nie podjąć.

Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza przyniosła na bagnietach dobrodziejstwo komunizmu krajowi o stosunkach wczesnofeudalnych i doprawdy śmiesznie brzmiałyby slogany Lenina w kontekście panujących tam „stosunków produkcyjnych”, stanu „bazy” i „nadbudowy”, gdyby ich wprowadzenie w życie nie pociągnęło za sobą tyłu ofiar.

Przed inwazją komunistów chińskich, jak z całą powagą podaje Tsepon W. D. Shakabpa w książce „Tibet- a Political History”, eksport opierał

się głównie na sprzedaży ogonów jaków do USA na brody dla tamtejszych Mikołajów. Ten sam historyk pisząc historię swego kraju podaje z niejakim oburzeniem, iż dalałama został zmuszony do przerwania 3-letniej medytacji celem spotkania się z „handlową” ekspedycją płk. Younghasbanda.

Poczta tybetańska do 1956 roku funkcjonowała dzięki sztafecie, której członkowie mieli do przemierzenia 4,5 mili angielskiej każdy, przy czym listy opatrzone znakiem strzały (rządowe) miały bezwzględny priorytet. Próba zorganizowania komunikacji samochodowej zakończyła się w 1930 roku zburzeniem prowizorycznej szosy przez obawiających się o swoje transportowe interesy właścicieli jaków i baranów, po czym dalałama wydał odpowiedni dekret zabraniający budowy dróg w całym państwie.

Dyplomatyczne stosunki między Tybetem a USA nawiązane zostały w 1942 roku, kiedy to kapitan Ilija Tolstoy i porucznik Brooke Dolan przybyli do Tybetu z misją zbadania możliwości transportowych między Indiami a Chinami via „dach świata”. Wymieniono podarki i wysłannicy z Waszyngtonu powieźli do USA list następującej treści:

Szanowny Franklin D. Roosevelt, Prezydent USA, Biały Dom

Drogi Panie Prezydencie, z wielką satysfakcją przyjęliśmy Pański list jak i oznaki dobrej woli (Pańską fotografię z autografem i wyjątkowej wartości złoty zegarek wskazujący fazy księżyca i dni tygodnia). (...) Jako oznakę szacunku wysyłam Panu szarfe honoru, 3 monety tybetańskie, własne zdjęcie (...) i 8 talizmanów szczęścia oprawnych w brokatowy jedwab. Pozostaję z szacunkiem, dalałama Tybetu, pieczęć, datowano: 19 dnia 1-go miesiąca tybetańskiego, roku Wodnej Owcy.

Rząd tybetański, zdając sobie sprawę z doniosłości znajomości języka angielskiego usiłował 3-krotnie w 1920, 1923 i 1945 otworzyć odpowiednią szkołę. Z obaw o religijne konsekwencje faktu wszystkie usiłowania spęłzy na niczym i szkoły zamknięto.

Podobny stosunek mieli z natury nieufni Tybetańczycy do wszelkich prób ingerencji z zewnątrz — czy to rosyjskiej czy brytyjskiej — a uznanie „opieki brytyjskiej” ratyfikowaniem Kon-

wencji z Simla z 1913 roku było typowym wyborem między mniejszym a większym (chińskim) złem. Zaś usunięcie z chińskiej misji handlowej w 1949 roku wszystkich podejrzanych o komunizowanie Chińczyków — to, rzecz jasna, próba uniknięcia zła najwyższego.

W tej sytuacji trudno więc przyjąć argument o „odwiecznych” prawach Chin do Tybetu, a sto-

sunki sino-tybetańskie należy chyba bardziej oceniać w kategoriach słabości lub siły Chin, którym Tybet starał się w miarę swoich skromnych możliwości dyplomatycznych i wojskowych przeciwstawiać.

Chińczycy starali się opanować Tybet zgodnie z recepturą sowiecką. Analogie są tak przejrzyste, iż najpewniej nie proszą się o żaden ko-



mentarz. Oto fakty: radio Pekin przeprowadza kampanię propagandową, popartą oświadczeniami dostojników partyjnych o odwiecznych prawach Chin do Tybetu. Jeszcze w czasie trwania negocjacji między przedstawicielami dalajłamy a ambasadorem Chin Ludowych w New Delhi (Indie jako pierwszy kraj na świecie uznały komunistyczne Chiny), 2 armie chińskie zaatakowały Tybet z ośmiu kierunków likwidując kolejno opór szczupłych i uzbrojonych w sprzęt brytyjski z 1904 roku garnizonów w miastach. Największa bitwa miała miejsce w Sikang, gdzie garnizon tybetański bronił się 6 dni i skapitulował 13.10.1950 tracąc w sumie 4000 żołnierzy.

Następnie przedstawiciele rządu tybetańskiego zostali zmuszeni do stawienia się w Pekinie, by 23.05.1951 pod groźbą śmierci podpisać uprzednio przygotowany dyktando – umowę o Sposobach Pokojowego Wyzwolenia Tybetu. 17-punktowy dokument stwierdza między innymi, że „naród tybetański zjednoczył się w walce z agresywnymi siłami imperializmu (pkt 1, art. 1), przyznaje autonomię Tybetowi; przyrzeka nie zmieniać istniejącego systemu politycznego ani sprawujących do tej pory władzę urzędników bez względu na szczebel, respektować obyczaje, religię, pozycję dalajłamy; nie zmieniać wysokości dochodów monasterów, oraz ze ewentualne reformy mają być wprowadzone przez władze lokalne na wniosek ludu tybetańskiego po przeprowadzeniu szerokich konsultacji. Dalajłama chcąc wygrać na czasie nie zaopatrzył swoich wysłanników w pieczęcie, a zgodnie z tradycją żaden dokument, którego stroną jest Tybet bez owych pieczęci nie ma mocy obowiązującej. Chińczycy pięczęcie sfalszowali, a podpisy wymusili.

Warto przypomnieć, iż kilka wieków wcześniej, gdy dalajłama znajdując się w podobnie przymusowej sytuacji wrzucił swoją pieczęć do gotowanej na ognisku zupy Chińczycy pogodzili się z faktem i nie doszło do podpisania niekorzystnej dla Tybetu umowy.

We wrześniu 1951 roku do Lhasy wkroczył 25-tysięczny garnizon chiński, a w październiku dalajłama ratyfikował 17-punktową Umowę. W ten sposób Tybet stał się Autonomicznym Regionem Chin, których konstytucja nie jest tak łaskawa dla mniejszości narodowych jak sowiecka, przewidująca przeciw prawo republik do samostanowienia, z oderwaniem włącznie. Następnym logicznym krokiem Chińczyków była neutralizacja no-

minalnej władzy dalajłamy nad Tybetem. I tak już w 1951 roku w prowincji Czamdo Chińczycy utworzyli Komitet Wyzwolenia Narodowego (!!!) o prerogatywach lokalnego rządu, nie podlegającego autorytetowi dalajłamy.

W 1954 roku w Szigacie powstała specjalna Rada z panczenlamą (wówczas 17-letnim) jako przewodniczącym, a w 2 lata później utworzono Komitet Przygotowawczy Autonomicznego Regionu Tybetu z dalajłamą na czele, w skład którego wchodził przedstawiciel w/w ciał oraz rząd dalajłamy w Lhasie, posiadający w zgromadzeniu 15 przedstawicieli na ogólną liczbę 51. Tenże Komitet z kolei posiadał przedstawicieli w Chińskim Zgromadzeniu Ludowym.

Demontaż politycznego wpływu dalajłamy przeprowadzony został z precyzją odpalania elementów trójczłonowej rakiety sowieckiej i z zachowaniem pozorów legalności, w majestacie terminów sugerujących społeczną legitymację powołanych do życia ciał politycznych, najprzeróżniejszych organizacji, komitetów, lig, rad przedstawicielskich, potwierdzając w pełni słuszność zasady ustalonej kilka lat wcześniej w Europie Wschodniej: im mniejsza baza społeczna komunistycznej władzy, im jawniejszy fakt wojskowej agresji, tym większa, wręcz historyczna staranność o nadanie jej pozorów społecznego konsensusu. Jeszcze inną prawidłowością jest pomysł politycznego wykorzystania renegatów, który, choć stary jak polityka, wyraźnie odżył w czasach najnowszych, wraz z polityczną ekspansją ZSRS. Najwybitniejszym renegatem Tybetu był ówczesny panczenlama.

Chińscy komuniści mieli o tyle ułatwione zadanie, iż jak już wspomniano wyżej, ideę wykorzystania panczenlamy dla swoich celów wymyślił Czang Kaj-szek w 1935 roku i tylko niespodziewana śmierć renegata zapobiegła usiłowaniu osadzenia go na czele rządu Tybetu, co nie znaczyło wcale, iż generalissimus o swoim pomysle zapomniał. Zgodnie z religijnym obyczajem Tybetańczycy odczekali przepisowe dwa lata, po czym zaczęli rozglądać się za kolejną reinkarnacją lamy „Wielkiego Uczzonego”. Z wiadomości z terenu wynikało, iż pretendentów jest aż trzech. Na skutek politycznych i religijnych różnic postanowiono odłożyć decyzję na później, a chłopców oddano pod opiekę monasterom. W 1949 roku Czang Kaj-szek uzurpując sobie prawa tybetańskiej wyroczni arbitralnie uznał, iż panczenlamą jest kandydat

z monasteru w Sining w Chinach — terytorium znajdującego się wówczas w rękach kuomintangu.

W kilka tygodni później Sining opanowali chińscy komuniści i podjęli się tak intensywnej edukacji 14-letniego chłopca, iż ten już w dwa lata później przesłał na ręce Mao Tse-tunga telegram dziękczynno-gratulacyjny z okazji „wyzwolenia” Tybetu. W 1952 roku Chińczycy osadzili panczenlamę w Szigace (wówczas po raz pierwszy ujrzał on Tybet) gdzie, jak każdy poprzedni panczenlama został on głową zwierzchniego monasteru, by w 1954 roku przewodniczyć Radzie Szigatse o prerogatywach lokalnej władzy politycznej i administracyjnej. W tym samym roku Chińczycy podjęli trud kampanii propagandowej mającej udowodnić wszelką wyższość panczenlamy nad dalajlamą. Drukowano nawet broszury reinterpretujące księgi i tradycje lamaizmu.

Godzi się przypomnieć, iż w czasie rozpętania propagandy przeciwko dalajlamie (wówczas miał on lat 19) obaj wraz z panczenlamą (lat 17) gościli w Pekinie jako obserwatorzy obrad Chińskiego Zgromadzenia Ludowego, gdzie w czasie przypadającego właśnie święta narodowego ChRL podczas uroczystego bankietu z pełną powagą ściskali im dłonie Chruszczow, Mao, Bułgamin i Nehru.

Uroczystości w Pekinie przebiegały bez zakłóceń, więc w 1956 roku Chińczycy, zgodnie z sugestią Nehru pozwolili dalajlamie na wyjazd do New Delhi, gdzie odbywała się sesja UNESCO. Dalajlama wygłosił przemówienie lekceważące uprzednio przygotowany przez Chińczyków tekst. Powiedział m.in.: „Podczas, gdy cały świat głosi pokój, istnieją przypadki gdy niezależne narody są pożerane przez narody większe i silniejsze. Nie powinno umknąć to naszej uwadze.”

Ten wybryk, jak i kilka innych przypadków niesubordynacji uszły dalajlamie „na sucho”, bowiem jak iluzoryczną nie byłaby polityczna władza „Żyjącego Buddy”, jego religijny autorytet w Tybecie jest do dziś ogromny. Naturalnie walka z religią była jednym z naczelnym zadań chińskich poczynań — nie tylko propagandowych.

By zdać sobie sprawę z potęgi lamów, należy wiedzieć, iż każda rodzina w Tybecie przeznaczona do stanu duchownego przynajmniej jednego męskiego potomka. Zdarzają się, choć nie tak liczne, zakonnice. Co piąty Tybetańczyk jest

więc mnichem, co wraz z zasadą celibatu, jak za uważyła Shakabpa, reguluje problem przyrostu naturalnego, z którym bezskutecznie, lecz za to prawnymi zakazami walczą Chińczycy.

Tak więc chińskie poczynania propagandowe trafiły na glebę szczególnie nieurodzajną — też i z tego powodu, iż usiłowały zmienić świat, który od wieków trwał w niezmiennym kształcie. Propaganda ta posiadała i tę wadę, iż jej zwiastunami byli Chińczycy, będący dla Tybetańczyków od zarania dziejów naturalnym wrogiem. Poza tym jej niedostosowanie do specyficznych warunków teokratycznego, feudalnego państwa dyskwalifikowało i skazywało wszelkie usiłowania na niepowodzenie.

Co gorsza, praktyki chińskie na każdym niemal kroku przeczyły propagandowym zapewnieniom jak i zdrowemu rozsądkowi. Np. w Cinghai Chińczycy zarekwirowali świątynie Ta Euh i Chin Yah (ta ostatnia z powodów widocznych gołym okiem zwana jest świątynią złotych płytek) wraz z zawartością na potrzeby odpowiednio Wojskowego i Politycznego Instytutu Prowincji Cinghai. Natomiast zrabowane relikwie wypożyczali na wystawy do ZSRS, Indii, Burmy (gdzie za opłatą wypożyczyli ząb Buddy) bądź stały się one przedmiotem darowizny. Ten smutny los spotkał m.in. szczytki Hsuan-Tsanga (legendarnego lamy-naukowca), którymi Chińczycy wspinałomyślnie obdarowali Cejlon i Indie. By stworzyć jakąś fasadową reprezentację buddyjską w Chinach, komuniści powołali do życia Chińskie Stowarzyszenie Buddyjskie, którego celem było np. podczas spotkania w Kiangsi „zwalczanie do upadłego sekty Tao”, a w Cinghai - osiągnięcie wycofania się Amerykanów z Libanu. Cele oddziału tybetańskiego Stowarzyszenia sprecyzował jakąż fasadową reprezentacją buddyjską w Chinach, komuniści powołali do życia Chińskie Stowarzyszenie Buddyjskie, którego celem było np. podczas spotkania w Kiangsi „zwalczanie do upadłego sekty Tao”, a w Cinghai - osiągnięcie wycofania się Amerykanów z Libanu. Cele oddziału tybetańskiego Stowarzyszenia sprecyzował jakąż fasadową reprezentację buddyjską w Chinach, komuniści powołali do życia Chińskie Stowarzyszenie Buddyjskie winno regularnie przekazywać i propagować wśród buddystów politykę, prawa i dekrety KPCh oraz zachęcać wiernych do oddania się studium tych dokumentów jak i do wzięcia udziału w antyimperialistycznej i patriotycznej walce o pokój na świecie, a też w innych konstruktywnych działaniach.”

W ten sposób buddyzm, którego doktryna nie zajmuje się absolutnie sprawami życia doczesnego, usiłowano wprząc w służbę komunizmu. Ta sama doktryna, może dość wygodnie, za-

brania mnichom pracy, każe żyć z jałmużny, ale też i zabrania zabijania wszelkich żywych stworzeń. Chińczycy kolektywizując Tybet usiłowali zaprząć mnichów do pracy na roli lub walki ze szkodnikami, a na terenach mongolskich objęto lamów ... obowiązkiem służby wojskowej. Nic więc dziwnego, iż poczynania chińskie, choćby nawet przyswiecał im najwznioślejszy cel, zwykły Tybetańczyk uważał za zamach na własną religię, której praktykowanie jest dlań najistotniejszą częścią życia doczesnego.

Reformatorskie poczynania na niwie postępu cywilizacyjnego chińscy rewolucjoniści rozpoczęli mocnym uderzeniem. Oto bowiem w ślad za postępującymi w głąb Tybetu armiami chińskimi (1950) posuwały się ekipy budowlane, które siłami chińskich więźniów politycznych, jak i przymusową pracą miejscowej ludności rozpoczęły w dostojnie nieprzejezdnym kraju budowę dróg Sikang - Tybet i Cinghai - Tybet. Armie robotników żywiono rekwirowanym zbożem (o łącznej wartości ok. 10 mln dolarów) konfiskując przy okazji monety z kruszców o łącznej wartości ok. 300 tys. dolarów wg ówczesnych cen złomu złota i srebra. Budowę obu obiektów ukończono w 1954 roku, a z 200 tysięcy przymusowych robotników tybetańskich (w tym kobiety i dzieci) 40 tysięcy zmarło z głodu i wycieńczenia. Niemniej jednak zbudowano dwie najwyżej położone szosy świata o przeciętnej wysokości 4 tys. m n.p.m. i długości ok. 2300 km każda.

W ten sposób poprzednią izolację geograficzną Tybetu Chińczycy zastąpili polityczną, a kraj otworzyli w tylko jedną - swoją stronę.

Pomoc gospodarcza i walka o postęp cywilizacyjny rozwijały się dalej podobnym wzorem. Miast obiecanej pomocy materialnej, nowowybudowanymi drogami przybywali do Tybetu chińscy żołnierze (300 tys.), instruktorzy, osadnicy (min. 900 tys.), przywożąc ze sobą, jak zauważa Shakkabpa, jedynie puste miski i pałeczki. Spowodowało to w 1954 roku 10-krotny wzrost cen ryżu i gład.

Wypada tutaj wspomnieć, iż zachował się list cesarza chińskiego Czien-lunga z 1751 roku do ambanów i garnizonu w Lhasie, w którym Jęgo Cesarska Mość zabrania jakiegokolwiek wykorzystywania Tybetańczyków, oświadczając iż będzie wyposażał swoich przedstawicieli w wystarczającą ilość złota.

Należy przypomnieć, iż gład w Tybecie jest wynalazkiem chińskich komunistów, bowiem uprzednio feudalna gospodarka Tybetu, oparta na daninach w naturze i częściowo handlu wymiennym z powodu „nadwyżek produkcyjnych”, a także dobrodziejstwa klimatu pozwalającego na przechowywanie ziarna przez 25-30 lat, rządziła się zasadą składowania w spichlerzach zapasów na minimum 3 lata. Zapasy te udało się dopiero przejąć po wkroczeniu Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, co aż prosi o przypomnienie smutnego, bo mającego wiele z prawdą wspólnego dowcipu o tym, że gdyby komuniści gospodarowali na Saharze, po kilku latach zabrakłoby tam piasku.

Chiny wówczas, jak i zresztą wyniszczona wojną Europa Wschodnia, znajdowały się na etapie „kumunizmu romantycznego”, dla którego nie istniały problemy nie do rozwiązania, a panaceum na wszystko miała być niewolniczo pojęta praca, nierzadko wbrew naturze.

Chińczycy, popularni do dziś w świecie dzięki swym oryginalnym metodom walki z plagą insektów i wróbla, cytowanym w podręcznikach jako klasyczny przykład zachwiania równowagi w przyrodzie i jej skutków, czy też powołaniem 50-ciomilionowej armii domorosłych „hutników”, produkujących dziennie w dymarkach ok. 2 kg stali, nie innymi metodami działali w Tybecie.

Zaś sposób realizacji reform i prowadzenia walki ideologicznej charakteryzuje Fan Ming, sekretarz Komitetu Robotniczego Tybetu KPCh w 1957 roku w raporcie do Rady Państwa ChRL: „Część kadr hańskich (Hanowie, stanowiący 60% ludności, to jakby Rosjanie Chin - przyp. wł.) demonstrowała w różnym stopniu pozostałości postaw zgodnych z konceptem wielkohańskim, takich jak brak tolerancji religijnej, respektowania obyczajów tybetańskich i lekceważenie miejscowej ludności.”

Z drugiej strony jednak propaganda chińska twierdziła, iż Hanowie to główna siła rewolucyjna, zaś nieakceptowanie Hanów równa się odrzuceniu komunizmu - czyli zbrodni najwyższej. Wydało też walkę tzw. „lokalnemu nacjonalizmowi”.

Nic przeto dziwnego, iż ten sam Fan Ming zmuszony jest stwierdzić dalej: „Mniejszość (Tybetańczyków - przyp. wł.) rwie się do reform, lecz większość nie wykazuje żadnego entuzjazmu”, i dalej: „Obecnie mamy ponad 5 tys. lokalnych

kadr rewolucyjnych narodowości tybetańskiej, ponad 1000 członków partii komunistycznej, 2 tys. członków Komunistycznej Ligi Młodzieży” - co, gdy zwazyć 5 lat indoktrynacji wśród 2,7 mln Tybetańczyków jest chyba niewielkim sukcesem.

Zupełnie przerażająco natomiast brzmi komunikat radia Pekin z 9.05.56, wyrażający *expressis verbis* iście kolonialny stosunek Hanów do mniejszości narodowych: „Uznawanie prawa każdego narodu do samostanowienia nie znaczy, że każda narodowość ma być niezależna i odizolowana. O tym, czy jakaś narodowość ma być niepodległa czy nie... decyduje partia komunistyczna (!). Lenin wyraził esencję prawa narodów do samostanowienia za pomocą prostej formuły: »Dzielić by jednoczyć« ". W 5 dni później radio Pekin wyjaśniło, iż „wiele mniejszości narodowych jest politycznie, ekonomicznie i kulturalnie zafakowanych w stosunku do narodowości Han. Żyją one na rozległych terenach o bogatych złożach naturalnych w najwyższym stopniu ważnych dla socjalistycznej budowy ojczyzny. W związku z tą sytuacją KPCh sformułowała swą politykę wobec tych narodów. Jest to polityka konsolidacji i budowy wielkiej ojczyzny”.

Próby wprowadzania reform siłą klóczy się, rzecz jasna, z literą 17-punktowej Umowy i w centralnym Tybecie Chińczycy poczynali sobie ostrożniej, za to w rejonie Khamba, któremu „reformatorzy” zaordynowali 4800 kolchozów i skolektywizowali 120 tys. gospodarstw doszło w styczniu 1956 roku do rewolty. Bunt w kilka miesięcy rozprzestrzenił się do tego stopnia, iż Chińczycy mimo stłumienia powstania (np. w rejonie Batan-Litang wymordowali ponad 4 tys. osób, w tym kobiety i dzieci) ze względu na nastroje ludności w kwietniu 1957 roku oficjalnym dekretem jak i ustami Przewodniczącego Mao zobowiązali się do rezygnacji z wprowadzania reform w całym Tybecie do 1962 roku. Tymczasem powstańcy tybetańscy wycofali się w góry i walki o charakterze partyzanckim trwały nieprzerwanie do 1960 roku.

Dalsza eskalacja kolonialnych poczynań Chińczyków zaostrzyła sytuację do tego stopnia, iż zmuszeni oni byli w obawie przed wybuchem powstania w okolicach Lhasy wydać rozporządzenie, zgodnie z którym wszyscy przedstawiciele ludności wschodniotybetańskiej znajdujący się w okolicach Lhasy i Szigace winni powrócić do domu. Tak też się stało, a kilkanaście tysięcy wypędzonych zawiązało w pld. Tybecie w Drigu

Ochotniczą Armię Obrony Narodowej i walki przybrały na sile. Chińczycy próbowali bezskutecznie rozbić powstańców siłami stacjonujących w Tybecie wojsk, po czym zażądali, by rebeliantom stawiła czoła oficjalna armia tybetańska. Tybetańczycy zaś grali na zwokę usiłując wyjednać mediację prezydenta Indii Nehru. Jednak Chińczycy stwierdzili, iż ze względu na trudną sytuację w Tybecie nie będą w stanie zapewnić Hindusowi bezpieczeństwa i mediacja nie doszła do skutku.

Obok tradycyjnie przyjaznych związków Tybetu z Indiami zwrócenie się z prośbą do Nehru o interwencję miało też pewne podstawy prawne. Indie, odzyskując niepodległość w 1947 roku przejęły wobec Tybetu *de facto* rolę brytyjskiego protektora, a istniejącymi do 1956 roku pozostałościami tej zależności były 3 indyjskie przedstawicielstwa handlowe w Tybecie wraz ze stacjonującymi tam symbolicznymi garnizonami, jak i pozostawiony przez Brytyjczyków system telekomunikacyjny, którym zawiadywali Hindusi. Jednak na mocy umowy sino-indyjskiej z 1956 roku przedstawicielstwa zamknięto, a telegraf przeszedł w ręce chińskie.

Tymczasem sytuacja Chińczyków w Tybecie nie była łatwa, bowiem rebelianci do początku 1959 roku opanowali całe południe kraju i część wschodniego Tybetu. Nie chcąc dopuścić do stanu otwartej wojny, która wymagałaby sprowadzenia posiłków, użycia ciężkiej artylerii i lotnictwa wywołując skandal międzynarodowy, Chińczycy chwycili się ostatecznie szantażu i szef chińskiego garnizonu w Lhasie (40 tys. żołnierzy) zażądał, by dalejlama stawił się 10 marca w obozie wojskowym bez eskorty. Było to też, obok jawnego szantażu, wykroczeniem przeciwko protokołowi dyplomatycznemu, który zezwalał dalejlamie na straż przyboczną w sile 5 tys. żołnierzy. Doszło do wymiany listów, a 30 tysięcy Tybetańczyków stanęło dosłownie murem wokół pałacu dalejlami. Po 6 dniach zniecierpliwieni Chińczycy, którym tybetański rząd wypowiedział 17-punktową Umowę z 1951 roku, ostrzelali pałac ogniem z moździerzy, a dalejlama w przebraniu zbiegł do Indii, o czym Chińczycy dowiedzieli się dopiero po upływie dwóch dni.

Po ucieczce dalejlami, 19 marca 20 tysięcy Tybetańczyków zaatakowało chiński garnizon w Lhasie. Chińczycy opanowali sytuację w stolicy dopiero w trzy dni później. Tybetańczycy stracili ok. 5 tys. osób, w czym większość stanowiła lud-



Ucieczka czternastego dalajamy (na białym koniu) do Indii — marzec 1959.

ność cywilna, narażona na bezpardonowy ogień ciężkiej artylerii. Po zdławieniu oporu w Lhasie Chińczycy deportowali 15 z 40 tysięcy mieszkańców Lhasy, a walki jeszcze przez jakiś czas trwały w innych prowincjach. Powszechnie odbywały się rekwizycje, deportacje i egzekucje. W samej prowincji Khan chińczycy zburzyli 250 monasterów i przeprowadzili egzekucje na 6 z 7 głównych lamów (siódmy zbiegł do Indii), w tym jedną poprzez rozerwanie kołmi.

Na porządku dziennym były tzw. spotkania konfrontacyjne, czyli „procesy czarownic”, podczas których oskarżano lamów o szarlataństwo, złodziejstwo, tortury, malwersacje, reakcję i wszelkie możliwe przestępstwa. Ręka chińskiej sprawiedliwości ludowej dosięgła nawet nomadów, którym rekwirovano stada. Ogółem, jak się oblicza, życie straciło 90 tysięcy Tybetańczyków. Walczący w rejonie Khamba wspominali o „białych żołnierzach - wysokich, o niebieskich oczach, noszących wysokie czarne buty i mundury w kolorze khaki - którym Chińczycy okazywali niespotykany respekt”. A więc jednak...

Chińczycy przemebłowali rząd w Lhasie i próbowali nakłonić dalajamę do powrotu, zdając sobie sprawę z trudnej do wytłumaczenia sytuacji,

w której rebelia miała być wywołana przez garstkę bezwplywowych feudałów i reakcjonistów, podczas gdy najwyższy autorytet i nominalna głowa państwa opuszcza stolicę. Gdy zawiodły środki wojskowe Chińczycy pozostawili fotel przewodniczącego Komitetu Przygotowawczego w Lhasie pustą głośząc teorię, iż dalajama został uprowadzony przez swych zdradzieckich doradców. Później miało się okazać, iż Indie przetrzymują siłą Żyjącego Buddę.

Próby osiągnięcia jakiegoś rozwiązania ze strony dalajamy poprzez ONZ zakończyły się uchwaleniem rezolucji (przy sprzeciwie państw komunistycznych) domagającej się przestrzegania praw człowieka w Tybecie. Chin nie wymieniono z nazwy.

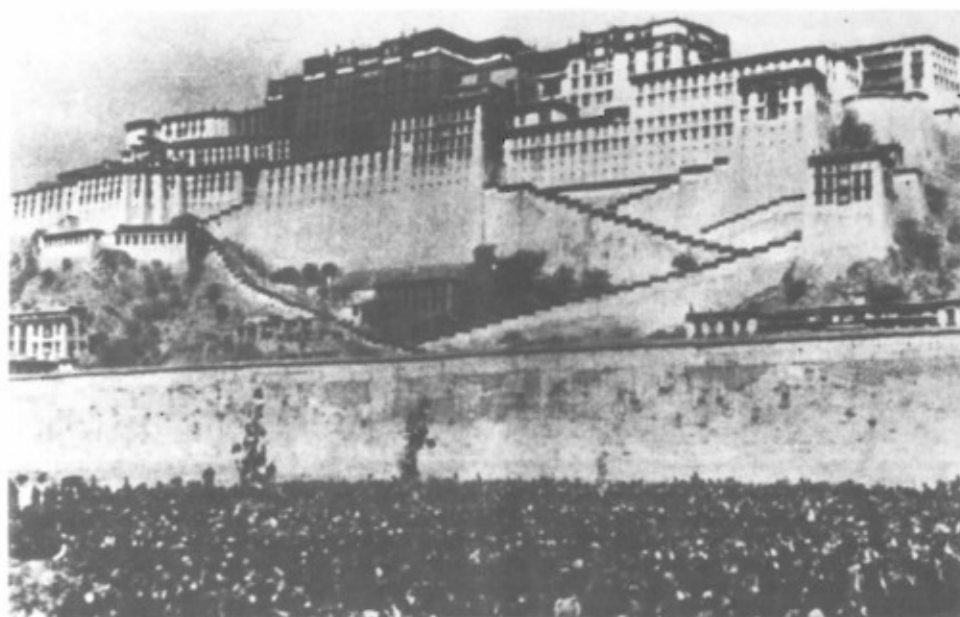
W tym samym 1959 roku Chińczycy wywołali spór graniczny z Indiami, w głównej mierze dotyczący terytorium zachodniego Tybetu. W 1962 roku doszło nawet do krótkotrwałej walki zbrojnej, co położyło kres tradycyjnym wyprawom kupców indyjskich i tybetańskich, dotychczas swobodnie przekraczających granicę, a w praktyce, po zamknięciu indyjskich misji handlowych i relegowaniu zamieszkałych w Tybecie Hindusów (nawet w przypadku małżeństw mieszanych) doprowadziło

do kompletnej izolacji „dachu świata”. Byłoby oczywiście zasadniczym błędem przykładanie do Tybetu europejskiej miarki i utyskiwanie nad odcięciem Tybetu od reszty świata. Przy tybetańskim oknie na świat nie było nigdy tłoczno, „a doktryna religijna każe Tybetańczykowi spoglądać na sprawy życia doczesnego z góry, tj. mniej więcej z wysokości 4-5 tys. m. n.p.m. z powierzchni czterokrotnie większej niż terytorium dzisiejszej Polski. Jeśliby jednak w latach 1950-80 jakiś Tybetańczyk zapragnął dowiedzieć się czegoś o otaczającym go universum, mógł to zrobić wyłącznie studiując tybetańską mutację pekińskiego dziennika *Jih Pao*, co zresztą w otworzonych przez Chińczyków szkołach zastępowało dla Tybetu lekcje historii i wiedzy o współczesnym świecie.

Jednakowoż faktem jest, iż w 1959 roku Chińczycy w Tybecie zatrzasnęli drzwi za ostatnim cudzoziemcem i dziarsko przystąpili do wprowadzania swoich reform, bez konieczności liczenia się z czymkolwiek zdaniem, bez narażania się na poważniejsze międzynarodowe protesty. Tak więc Dawidowi odebrano ostatni kamyczek do procy, a Goliat, podjudzony histerią rewolucji kulturalnej złupił 6 tysięcy tybetańskich monasterów część z nich bezpowrotnie niszcząc, skolek-

tywizował cały Tybet, zapędził lamów do roboty, mordując przy okazji, bagatelka, milion Tybetańczyków. Działo się to co prawda w atmosferze kompletnej izolacji, ale i przy milczącej zgodzie świata, w którym żaden kraj nie ważył się uznać Emigracyjnego Rządu dalajamy. Rozgoryczony W.D. Shakabpa porównał wówczas sytuację swego kraju do sytuacji Czechosłowacji z 1938 roku, co chyba w obliczu podanych wyżej faktów jest w stosunku do państw zachodnich ferowaniem wyroku dość łagodnego. W 1965 roku Tybet stał się oficjalnie Chińskim Regionem Autonomicznym. W latach 80-tych Chińczycy otworzyli Tybet turystom i siłą rzeczy odżyły kontakty dalajamy z własnym narodem.

Jak stwierdza reporter amerykańskiego tygodnika *Newsweek* z 19.10. br., między Tybetem a dalajamą pośredniczy siatka tajnych kurierów - Tybetańczyków, którzy wyemigrowali do Indii i Nepalu, też Europejczyków i Amerykanów. Ostatnio, w końcu września br. doszło znów do poważnych zamieszek w Lhasie i, wg niepotwierdzonych wiadomości, w Szigace. Doniesienia agencji prasowych były sprzeczne i dość trudno o klarowny obraz zajęć. Mówmy więc, kosztem chronologii i przyczynowego związku, o faktach. 24.09. br. Chińczycy mieli publicznie stracić dwóch krymi-



„Żywy mur” kobiet tybetańskich wokół Potali, pałacu dalajamy w Lhasie — marzec 1959



Rozruchy w Lhasie — październik 1987

nalistów tybetańskich. W dniach 21-28 września w USA gościł dalajlama i przedstawił komisji Kongresu 5—punktowy projekt uregulowania stosunków sino-tybetańskich. Na dzień 1.10. przypada święto narodowe ChRL, obchodzone także w Lhasie, na 7.10. br. przypada z kolei 37 rocznica „wyzwolenia” Tybetu. Z pewnością między w/w wydarzeniami a demonstracjami w Lhasie 27.09. i w okresie 1-6.10. istnieje jakiś związek przyczynowy.

Demonstracje zainicjowane przez mnichów monasteru Jokhang wywołały natychmiastową reakcję chińskiej milicji, co doprowadziło w sumie do śmierci co najmniej 8 osób, aresztowań i pobić. Spalono też miejscowy posterunek milicji wraz z archiwum odbijając aresztowanych uprzednio mnichów. Milicja otoczyła kordonem monaster Jokhang, wprowadzono godzinę policyjną, a do Lhasy przybyły znaczne posiłki chińskiej milicji i wojska. Dziennikarzom zagranicznym zarekwirowano filmy i notatki wprowadzając wobec nich „areszt hotelowy”. Chińczycy przerwali też (3.10.) wszelką łączność telefoniczną i teleksową Lhasy ze światem (nawet między Katmandu a konsulatem nepalskim), a następnie polecili wszystkim dziennikarzom i turystom indywidualnym opuścić Tybet w ciągu 48 godzin (7.10.) Reakcja świata na wydarzenia w Tybecie była ty-

powa. Kongresmeni amerykańscy złożyli protest w ambasadzie ChRL w Waszyngtonie, Bundestag na wniosek partii Zielonych podjął odpowiednią rezolucję.

W obu przypadkach chodziło, a jakże, o przestrzeganie praw człowieka. Natomiast Indie 7.10. zaryglowały kordonem granicę z Tybetem, by uniknąć przyływu uchodźców, a w New Delhi policja brutalnie rozpędziła demonstracje emigrantów tybetańskich przed ambasadą chińską i budynkiem Kongresu. Bawiący w tym czasie w Chinach szef CDU Strauss wskazał na złożoność problemu i zaapelował o ostrożność komentując protest kongresmenów amerykańskich pytaniem: „Czy władze amerykańskie widzą w ewentualnej władzy mnichów w Tybecie urzeczywistnienie swych demokratycznych ideałów?”. *Die Welt* z kolei opublikował wypowiedź Erwina Rickerta, byłego ambasadora RFN w Pekinie (1976-80), z której wynika, iż Chińczycy w roku 1978 zmienili swą politykę wobec Tybetu przyznając się do popełnionych błędów i próbując je naprawić odbudową monasterów, budową dróg, szkół, przemysłu, zaopatrzeniem Tybetu w traktory i samochody. Pan Wickert stwierdził też, iż sytuacji Tybetu nie można porównywać do sytuacji Afganistanu, oraz iż nieporozumieniem jest mówienie o prawach człowieka, jako że mnichom lamajskim

nie o to chodzi, bowiem sami sprawując władzę praw tych nie przestrzegali. Wyraził też przypuszczenie, iż lamowie nie mają o nich pojęcia.

(Nie mogę się tu powstrzymać od komentarza: Panie ambasadorze, idąc tym tropem myślenia, Pańska ojczyzna winna raz a dobrze uderzyć się w piersi, przyznać do błędów, odbudować synagogi, wypłacić zniszczonym przez ostatnią wojnę krajom kontrybucję — najlepiej mercedesami i volkswagenami — odbudować drogi, a potem strzelać do każdego, kto ośmieli się mówić o drugiej wojnie).

Warte odnotowania jest oficjalne stanowisko Tajwanu, z którego wynika, iż ostatnie zamieszki w Lhasie są skierowane nie przeciw Chińczykom, a przeciw komunistom, w czym Tajwan całkowicie popiera Tybet do dostarczenia broni włącznie, uważając go jednak za nieodłączną część Chin.

Doniesienia prasy chińskiej i stanowisko chińskich przywódców do złudzenia przypomina komentarze sowieckie wobec protestujących ostatnio Łotyszy, Litwinów i Tatarów. Wynika z nich, iż demonstracje w Tybecie wywołane zostały przez agentury obcego wywiadu i nie posiadających społecznego poparcia reakcyjnych mniichów, a też nielicznych kontrrewolucjonistów. Wszelkie protesty zagranicą są mieszaniną się w wewnętrzne sprawy Chin. Natomiast sprawę 8 zabitych Chińczyków wyjaśniają w dn. 1.10 br. w sposób zgoła fantastyczny. Oto bowiem demonstranci mieli rozbroić milicjantów i otworzyć ogień do przyglądającej się z dezaprobatą zajęciom miejscowej ludności.

★ ★ ★

Mamy 19 listopada. Ostatnie doniesienie prasy niemieckiej dotyczące Tybetu pochodzi z dn. 3.11. z *Sueddeutsche Zeitung* i dotyczy informacji przywiezionych przez wydalonych z Lhasy dn. 31.10. trzech nauczycieli angielskiego (2 Anglików, jeden Niemiec), z których wynika, iż protesty trwają nadal, a na murach pojawiają się codziennie ulotki i gazetki ściennie domagające się niez-

wisłego Tybetu. Z dziennikarskiego obowiązku wobec czytelnika śledziłem przez blisko dwa miesiące codziennie *Tagesspiegel*, *Sueddeutsche Zeitung*, *Die Welt*, *Neue Zuercher Zeitung*, *FAZ*, *TAZ* i *Frankfurter Rundschau*, też *Die Zeit*, *Der Spiegel*, *Newsweek*, *Time* w aspekcie ostatnich wydarzeń w Tybecie.

Mam wynotowane wszelkie doniesienia i oficjalne stanowiska rządów. Wynika z nich niezbicie, iż fakt istnienia ok. 2 milionów Tybetańczyków jest światu wyraźnie nie na rękę — świat chce spokoju.

Ostatnio prezydent Indii Ghandi jeszcze raz podkreślił serwilistyczny stosunek swego rządu wobec Chin. USA już w 1978 roku uznały Tybet za część „Państwa Środka”, a politycy obu mocarstw, jak i stojących za nimi krajów bez wahania składają Tybet na ołtarzu idei przeciwności Chin na swoją stronę, czy choćby otworzenia tego ogromnego rynku zbytu dla swoich towarów.

Ci z czytelników, którzy z uporem godnym lepszej sprawy przebrnęli przez gąszcz dat i nazwisk pytają pewnie: A cóż nam do Tybetu? Ano wiele.

Po pierwsze my, Polacy, jak zwykle nie widzący dalej niż koniec własnego nosa, który dla wielu z nas nie powinien być zbyt długi i za bardzo opadać w dół, poświęciliśmy buddyjskim mniichom jedynie makabryczny dowcip: Co to jest — małe, zółte i pali 3 litry benzyny? Gdyby ktoś nie rozumiał o co chodzi, wyjaśniam, iż o mnicha, który w proteście dokonuje aktu samospalenia oblewając się uprzednio benzyną.

Po drugie, niechże ta garść faktów i płynących z nich konsekwencji zabrzmiała jako kolejny apel o trzeźwość sądu i oglądu świata do tych z nas, którzy rozpatrują problem Polski w kategoriach moralnych czy też w kontekście ostatnich sowieckich reform, albo gestów wiceprezydenta Busha czy słów senatora Kennedy'ego.

Prawda bowiem jest taka, że od 3 września 1939 roku wielka polityka toczy się ponad naszymi



mi głowami, a doniesienia o *Solidarności Walczącej* karmią dziś siódme i ósme strony gazet. Sowiecko-amerykański brydż rozgrywany jest w zapisie międzynarodowym, a nie polskim. Zaś „polska karta”, choć z pewnością kier, z wymalowanym Chopinem, Paderewskim, papieżem i Wałęsą, bez względu na rozdanie będzie zawsze zrzutką, sygnalizującą może ilość posiadanych przez gracza atutów. Poza tym obie strony są po partii i wpadki drożej kosztują. Sowieci mają w rękawie kartę afgańską, dysydencką, osób żydowskiego pochodzenia, w licytacji stosują OSW (odzywka szlemowo-wywiadowcza). Poza tym karty są znaczone i tej grze, poza Panem Bogiem, nie

przygląda się żaden sędzia. Polska była zrzutką w czasie Kongresu Wiedeńskiego i Jałty, a w razie potrzeby będzie nią i teraz — jak kiedyś Węgry, Czechosłowacja, Afganistan, Chile, a ostatnio Tybet.

Ani przy tym zipniemy, ni puścimy bąbla z przereźbli.

W związku z brakiem dostępu do polskich źródeł poza wydanymi w Polsce po wojnie encyklopediami, w przypadku wielu nazw i nazwisk użyłem pisowni angielskiej. Z góry więc przepraszam za ewentualne odstępstwa od polskiej tradycji ortograficznej. ■

Spotkanie polskich biskupów z biskupami ukraińskimi w Rzymie

Przy okazji odbywającego się w Rzymie Synodu Biskupów w dn. 8.10.87 w Papieskim Kolegium Polskim w Rzymie przedstawiciele Episkopatu Polski spotkali się z biskupami i kapłanami Ukraińców Kościoła obrządku grecko-katolickiego, znajdującego się w przededniu obchodów milenijnych — 1000-lecia przyjęcia chrztu przez Rus Kijowską z rąk Bizancjum. Z okazji spotkania kardynał Glemp powiedział m.in.:

(...) Dziś kierujemy nasze myśli ku Ukrainie, nad Dniepr, do żywnego kraju, w którym żyje wielki naród i którego dzieje nie mogą być oddzielone od Polaków.

Nie chcemy poruszać historii, w której na pierwszy plan wybijają się sprawy bolesne. Taka jest tendencja patrzenia na nasze wspólne dzieje. Może kiedyś odkryjemy w naszej historii dobre karty, bo i takie były. Byli w naszej historii Ukraińcy, którzy kochali Polaków i byli Polacy, którzy kochali Ukraińców. Dziś jednak przygniata nas jakby nawyk narzekań, uprzedzeń oraz wspomnienia łez, a także krwi. Nie wolno nam podejmować licytacji, kto komu więcej krzywd wyrządził. Do niczego to nie doprowadzi. Szczególnie my, duchowni, winniśmy wiedzieć, że gojących się ran nie wolno drapać. Pomyślny, że mógł być ktoś

trzeci, co nas wzajemnie podburzał, by wygrać własne interesy.

Na terenie Ukrainy żyje — nie wiem dokładnie — kilkaset tysięcy Polaków katolików rzymskich, których obsługuje 14 kapłanów, w sposób niewystarczający, w warunkach bardzo trudnych. Kościół katolicki wiernych Ukraińców nie wiele może dopomóc, bo sam jest napiętnowany. Żaden z biskupów polskich nie może udać się z wizytą duszpasterską do wiernych Polaków żyjących na Ukrainie, bo i biskupi ukraińscy także tam udać się nie mogą. (...)

Ufamy, że w przyszłym roku Bóg pozwoli nam razem na Jasnej Górze włączyć się w Wasze „Te Deum” dziękczynienia Bogu za 1000 lat łaski chrztu, za lata wierności, za oczyszczające lata cierpienia, za lata nadziei ku lepszej przyszłości. Matce Bożej zawieramy nasze i Wasze sprawy. Zawieramy Jej sprawy trudne, aby prowadziła nas do Chrystusa razem z naszymi rodzinami.

W odpowiedzi kardynał Lubaczewski skierował następujące słowa pod adresem polskich duchownych:

W imieniu naszych dwóch metropolitów i moim własnym chciałbym podziękować za wspa-

niałe przyjęcie. (...) Przede wszystkim chcielibyśmy mówić o naszym położeniu, to znaczy Ukrainy i Polski. Obie nasze Ojczyzny są całkowicie, albo w połowie okupowane ateistyczno-komunistycznym reżimem, który pragnie zniszczyć nie tylko religię, ale także i cały naród. Wy jesteście w lepszym położeniu dlatego, że na razie zostawili Wam wasz własny rząd, ale jak długo to potrwa — jeden Pan Bóg wie.

W każdym razie trzeba będzie przygotować się do tego, że nie będzie lepiej, a raczej gorzej. Jak wspomniałem, jesteście w lepszym położeniu, to znaczy jeszcze was nie okupowali, a po drugie, w Polsce macie przynajmniej 98% albo i więcej katolików, i to nie tylko wierzących ale i praktykujących ludzi. U nas, jak wiecie, tak nie jest, bo lwowski pseudo-synod z 1946 r. zaprowa-

dził siłą „rosyjską” religię, a nasza Cerkiew musiała zejść do katakumb i żyjemy jak za pierwszych stuleci w Rzymie.

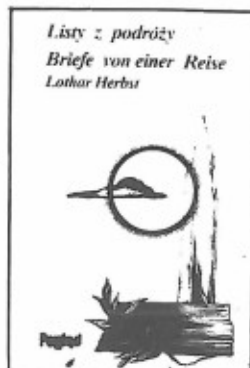
Postawili naszą Cerkiew poza prawem. Dlatego każdy akt wiary — to znaczy Msza święta, chrzest, bierzmowanie i inne sakramenty, pogrzeby — są przeciwko prawu, i nasi katolicy wyznając i oddając cześć Bogu, są w ich rozumieniu zbrodniarzami, są karani według ich złoczynnego prawa. Setki tysięcy naszych ludzi, którzy nie chcieli podpisać dokumentów zjednoczenia się z Rosyjską Cerkwią Prawosławną, byli aresztowani, zesłani do różnych obozów, na Sybir na 10 lat przymusowej pracy, bez odpowiedniej odzieży, pokarmu, opieki lekarskiej. Powrócili jako całkowicie załamani ludzie, i po kilku latach męki zmarli.

(jt)

Nowości wydawnicze »Poglądu«



cena 25.- DM



cena 8,50 DM



cena 5.-DM

Konkurs literacko-publicystyczny dla autorów krajowych i emigracyjnych

„ZEBY POLAK BYŁ POLAKIEM”

Jakimi ludźmi są — wybitni — przedstawiciele polskiej powojennej opozycji politycznej, o których można powiedzieć, że ich działalności przyświecały idee hasła „Zeby Polska była Polską”, tak często słyszanego w szeregach „Solidarności” w początkach lat 80-tych. Co spowodowało, że tacy ludzie jak Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk, Seweryn Jaworski, Marian Jurczyk, Jacek Kuroń, Adam Michnik, Karol Modzelewski, Anna Walentynowicz, Lech Wałęsa, czy też wielu innych, zaangażowanych na szczęblu regionów, miast lub zakładów pracy są dzisiaj dla milionów Polaków wzorami godnymi naśladowania, dlaczego właśnie ich uważa się za prawdziwych reprezentantów społeczeństwa?

Co wiemy o nich — działaczach opozycji demokratycznej? Czy znamy ich wystarczająco dobrze, ich życie prywatne, praktyczną działalność w zakładzie, w gremiach politycznych? Co wiemy o ich koncepcji dzisiejszej i przyszłej Polski, o ich walce — również jako więźniów politycznych PRL — o inne, lepsze społeczeństwo? Czy linia ich postępowania, propozycje, praktyczne decyzje były zawsze słuszne? Jak można ich ocenić dzisiaj z perspektywy niewielu lat? Czy i w jakim stopniu ich działalność wpływa na kształtowanie się współczesnych postaw Polaków? Jaki wpływ może mieć ich postawa na kształt historyczny przyszłej Polski, a także obecnie na kształt naszej zwykłej codzienności?

Istotą konkursu jest opracowanie monograficzne — literackie, publicystyczne czy nawet naukowe — sylwetki działacza opozycji demokratycznej w Polsce po 1945 r. **Bohaterami takich prac powinni być ludzie reprezentujący różne środowiska, grupy społeczne czy zawodowe, wyznający różne przekonania, czy światopoglądy. Powinni to być ludzie zarazem znani szerszym kręgom społeczeństwa, a ich działalność i zaangażowanie nie mogą mieć charakteru tymczasowego.**

WARUNKI KONKURSU

Forma opracowania jest dowolna. Objętość pracy nie powinna być mniejsza niż 20 znormalizowanych stron maszynopisu. Dopuszczone są wyłącznie prace dotychczas nie publikowane, napisane specjalnie na konkurs *Poglądu*. Uczestnicy konkursu zachowują wszelkie prawa autorskie, udzielając jednak *Poglądowi* prawa pierwszeństwa do publikacji ich prac, które wygasa z końcem 1988 r.

Na nagrody redakcja *Poglądu* przeznaczą sumę DM 3 000. Pierwsze miejsce w konkursie zostanie uhonorowane nagrodą w wysokości DM 1 000. O podziale dalszych nagród zadecyduje jury konkursu, w składającej się z członków redakcji *Poglądu*.

Czas trwania konkursu wynosi jeden rok, zamknięcie konkursu nastąpi 31. 03. 1988 r. Prace opatrzone godłem należy nadsyłać na adres redakcji: **POGLĄD, Postfach 62 02 24, D-1000 Berlin 62.**

Nazwisko i adres należy podać w osobno zaklejonej kopercie z godłem. Redakcja gwarantuje dyskrecję nazwisk autorów krajowych.

Pogląd apeluje do wszystkich polskich organizacji i do osób prywatnych o wpłacanie datków na fundusz nagród, aby zwiększając w ten sposób ich sumę zachęcić autorów polskich i emigracyjnych do wzięcia udziału w konkursie, gdyż prace konkursowe mogą być cennym przyczynkiem do opisu historii polskiej opozycji po roku 1945.

O wpłatach na fundusz nagród będziemy każdorazowo informować w *Poglądzie*, publikując nazwiska ofiarodawców i wysokość ich datków. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w czerwcu 1988 r.

Apelujemy do pism emigracyjnych i podziemnych krajowych o rozpropagowanie konkursu i ewentualne zamieszczenie niniejszego ogłoszenia. **Nagrodzone prace będą ogłoszone drukiem w osobnym wydaniu książkowym. Wybrane prace mogą zostać opublikowane w *Poglądzie*.**

Uczestnikom konkursu nie przysługują prawne dochodzenie roszczeń.

Redakcja *Poglądu*

Z Kopenhagi...

Roman Śmigielski

BEZ OWIJANIA W DYPLOMATYCZNĄ BAWEŁNĘ

Na początku listopada z dwudniową wizytą w Polsce przebywał duński minister spraw zagranicznych Uffe Ellemann-Jensen. Było to pierwsze od czasu ogłoszenia stanu wojennego polsko-duńskie spotkanie na tak wysokim szczeblu. Stosunki polsko-duńskie w ostatnich 6 latach nie układały się najlepiej. Ich wyznacznikami była sprawa mikrofonów znalezionych w ambasadzie duńskiej w Warszawie, wydalenie z Danii na początku br. pracownika ambasady PRL, który próbował werbować do współpracy polskich uchodźców przebywających w Danii, czy wreszcie sprawa dwóch obywateli duńskich skazanych w Polsce za szpiegostwo na 7 i 9 lat więzienia, a następnie zwolnionych za kaucją w wysokości pół miliona dolarów. Szczególne ta ostatnia sprawa poruszyła duńską opinię publiczną. Nawiązał też do niej szef duńskiej dyplomacji w swojej rozmowie z ministrem Marianem Orzechowskim, oskarżając PRL o łamanie konwencji Wiedeńskiej dotyczącej praw dyplomatów poprzez niedopuszczanie pracowników ambasady duńskiej do kontaktów z oskarżonymi, a także łamanie konwencji ONZ o prawach cywilnych i politycznych, gdyż oskarżeni nie zostali poinformowani o swoich prawach, a przed sądem postawiono ich dopiero po ponad 4-miesięcznym areszcie.

Uffe Ellemann-Jensen obwiniał imiennie Jerzego Urbana za wykorzystanie tej sprawy do celów propagandowych, a przez to do usiłowania pogorszenia stosunków między Polską i Danią. Jak z tego widać, rozmowy przebiegały w naprawdę szczerzej i otwartej atmosferze oraz bez owijania słów w dyplomatyczną bawełnę. Minister Orzechowski dał podobno duńskiej delegacji do zrozumienia, że nie ponosi odpowiedzialności za wypowiedzi Urbana. W wywiadzie dla prasy duń-

skiej minister Ellemann-Jensen stwierdził: „Mówiliśmy szczerze, otwarcie, bez upiększeń i ogródek. Postęp należy osiągać nie tylko w ograniczaniu zbrojeń, lecz także w respektowaniu praw człowieka.” Jednocześnie podkreślił, że pakt warszawski winien zredukować swoją przewagę nad NATO, jeśli chodzi o zasoby broni konwencjonalnych.



Kopenhaska popołudniówka „B.T.”:

„Polska żąda 3,5 mln koron za Duńczyków skazanych za szpiegostwo. Urban: Może i trochę drogo, ale za to jakość jest gwarantowana.”

Z innych poruszanych spraw należy wspomnieć rozpoczęcie rozmów na temat ustalenia granicy morskiej między duńską wyspą Bornholm a Polską, żądanie ograniczenia przez PRL zanieczyszczenia powietrza i wód Bałtyku, a także doprowadzenie do równowagi w handlu zagranicznym między obu krajami.

Na swojej cotygodniowej konferencji prasowej Urban zaprzeczył oskarżeniom duńskiego ministra i wyraził zdziwienie, że Ellemann-Jensen ośmielił się skrytykować go w rozmowie z Orzechowskim, a następnie poinformował o tym prasę. „To jest wbrew przyjętym normom dyplomatycznym” — stwierdził Urban. Albo pan Urban nie słyszał o polityce „glasności”, albo uważa, że jest to sowiecki patent, od którego wara politykom zachodnim. (Uffe Ellemann-Jensen, podobnie jak Urban, jest z zawodu dziennikarzem i w 1966 r. przeprowadził m.in. wywiad z byłym szefem Urbana z *Polityki* Mieczysławem Rakowskim.)

Po powrocie do Danii duński minister skomentował wypowiedzi Urbana następująco: „To,

co powiedziałem, mieści się jak najbardziej w normie dyplomatycznej, ale tego to pan Urban pewno nie wie, gdyż jest bardziej dziennikarzem niż dyplomata.” Jednym słowem: trafiła kosa na kamień.

Poza oficjalnymi kontaktami, Edellmann-Jensen spotkał się w Warszawie z arcybiskupem Jerzym Dąbrowskim (prymas Giemp przebywał w tym czasie w Watykanie, a Jaruzelski w Moskwie) oraz z delegacją „Solidarności” ze Zbigniewem Bujakiem i Wiktoorem Kulerskim na czele.

Kopenhaga, 8.11.87

List z Berna...

Andrzej Kolatorski

BIJA NASZYCH...

Dn. 7.11.87 w 70-tą rocznicą Rewolucji Październikowej 20 szwajcarskich stowarzyszeń emigracyjnych jak i demokratyczne organizacje szwajcarskie zorganizowały marsz protestacyjny i demonstrację pod ambasadą sowiecką w Bernie. Genewczyk Yves Nydegger przypomniał o 150 milionach ofiar komunizmu domagając się militarnego, kredytowego i technologicznego embarga wobec Sowietów, Gheorghe Calciu wskazał na krytyczne położenie Kościoła w Rumunii i 600 Rumunów, którzy giną co roku przy próbie nielegalnego przekroczenia granicy. Przemawiał też przedstawiciel uchodźców afgańskich i Marian Respond reprezentujący stronę polską. „Neue Zürcher Zeitung” z dn. 9.11. cytuje następujące fragmenty przemówienia p. Responda: „Część Europy opanowana przez Sowietów jest jednym wielkim Katyniem. (...) W związku z tym, iż na Zachodzie żyje zbyt wielu łatwowiernych i po prostu głupich ludzi, walka o wolność musi toczyć się dalej: Magna res libertas.”

Nasz Czytelnik p. Andrzej Kolatorski nadał korespondencję ukazującą drugą, niesławną stronę medalu szwajcarskiej demokracji.

Zaproszenia przyszło do domu. 7 listopada o godz. 15 w Bernie szereg szwajcarskich i uchodźczych organizacji bierze udział w oficjalnie

zgłoszonym marszu protestacyjnym na intencję 150-ciu milionów ofiar komunizmu. Od rana przygotowywałem transparent przypominający o tym, że 1,5 mln Polaków zostało deportowanych przez Rosjan. Kolega też nie spał. Wycinał mozolnie sierp z młotem i swastykę, aby między nimi postawić znak równości.

W Bernie skręciłem w stronę dworca, żeby zapytać o uliczkę, na której mamy się zebrać. Niosłem złożony transparent, ale i to już wystarczyło, aby mijający mnie przechodzień warknął i pogroził mi pięścią. Uśmiechnąłem się pobłaźliwie. Pytając o informację poznałem Kambodżańczyka. Do miejsca zbiórki doszliśmy razem. Byli tam już przedstawiciele naszej Delegacji „Solidarności”, Szwajcarzy z komitetu organizacyjnego i kilku przedstawicieli innych narodowości. Razem ok. 50-ciu osób. Rozwinęliśmy transparenty i czekaliśmy na wymarsz, z którym organizatorzy zwlekali, bo wciąż jeszcze ktoś nadchodził.

Raptem pojawiła się chmara mężczyzn w wieku od 20 do 30 lat. Było ich znacznie więcej od nas. Zagrodzili całą ulicę. Pierwszy ich szereg splótł się łokciami tworząc półkole, z którego czoła zaczęto po chwili wystrzeliwać w górę małe rakiety dymne. Kolega zwrócił mi uwagę na stojącego z boku osobnika w berecie z czerwoną gwiazdą. Pełnił wyraźnie rolę kierowniczą. Po wystrzeleniu rakietek spleciony kordon przeciwników zaczął wznosić jakieś okrzyki, na co dysponujący głośnikami organizatorzy naszej demonstracji rewanżowali się skandując: „70 Jahre Kommunismus, 70 Jahre Terrorismus”, „70 Jahre Leichenzug, 70 Jahre schon genug” i „Kommunismus muß weg”. W tłumie naprzeciw poruszyło się i dwa szeregi w głębi zaczęły naciągać maski. Trzon pierwszego szeregu przykucnął i nad ich głowami ktoś z drugiego rzędu zaczął przyskać jakimś sprayem. Po chwili zatkało mnie. Nie mogłem wciągnąć powietrza, a oczy zaczęły piec i gwałtownie łzawić. Dopiero teraz zrozumiałem, że te pozornie bez znaczenia rakiety potrzebne im były do określenia kierunku ruchu powietrza, żeby gazu czasem nie wypuścić pod wiatr.

Zanim zdążyłem dojść do siebie pierścień pierwszego szeregu rozwarł się i ci w maskach ruszyli do przodu tłukąc wokół długimi kijami. Jeden z nich wyrwał mi z ręki transparent i zerwał wiszący na pasku aparat fotograficzny, później dostałem dwa razy w głowę i dostałbym więcej,

gdybym nie cofnął się do bramy. Kolega rzucił się na pomoc starszemu mężczyźnie okładanemu kijami. Sam dostał też po głowie, spadły mu okulary, a kiedy usiłował je podnieść, napastnik przydepnął je i przekręcił stopę rozgniatając wszystko doszczętnie. Spora część pozostałych atakujących miała w rękach obtłuczone butelki po piwie. Miały być zapewne przydatne, gdyby gaz i pałki nie wystarczyły. Uczestnicy naszej demonstracji rozpięchli się w stronę śródmieścia, a ja wycekiwałem, żeby podnieść mój poszarpany transparent. Ostatni napastnicy szli właśnie całą szerokością jezdni i chodników łamiąc i rozdzierając porzucone transparenty. Później znikli tak szybko, jak i się pojawili.

Mimo tego napadu zebraliśmy się ponownie. Pochód ruszył i było nas już około setki, a może przy końcu dwie setki uczestników. Chwilę później dobiegł jeszcze młody człowiek w wojskowym hełmie, obejrzał mojego okazałego guza i podciągając łokcie zapytał: „Gdzie oni są?”. Dołączyło też trzech jego krewkich kolegów. Patrzyłem na nich z mieszanymi uczuciami. To miejscowi nacjonaliści. Przed nami był już też policyjny samochód. Na Bundesplatzu było już spokojnie. Tylko paru z tamtych próbowało z oddali trafić czymś w przemawiających. Jakiś skrzętnie notujący redaktor zlustrował mojego guza. Te mniej widoczne u paru innych pominął. Przewinięły się jakieś kamery i ze dwie telewizyjne ekipy. Później posłaliśmy pod sowiecką ambasadę zatrzymując się na chwilę przy PRL-wskiej. Skandowaliśmy oczywiście słowo „Solidarność!”.

Chyba ze 400 metrów przed obiektem docelowym naszego pochodu w poprzek drogi ustawił się rząd policjantów, a 50 metrów za nimi jeszcze jeden rząd z tarczami. Poczuliśmy się nieswojo. Czyżby oni myśleli, że to my będziemy zadawać gwałt? Organizatorzy pochodu nie omieszkali głośno wyjawiać żalu z tego powodu, a już szczególnie używanie mieli nacjonaliści skandując: „Schweizer Polizisten schützen Kommunisten” (Szwajcarscy policjanci bronią komunistów). Poparzony napalmem inwalida afgański i dwie inne osoby poszły do przodu, by złożyć żałobny wieniec i petycję. Policjanci przepuścili ich. O 17.30 pochód protestacyjny zakończył się. Dłużej nie było wolno, bo... ambasada sowiecka spodziewała się przyjazdu ważnych gości.

Minął tydzień. Dzisiaj w szwajcarskiej telewizji pokazywano demonstrację 1500 młodych lu-

dzi w Bernie. Powiewały czerwone flagi, mieniły się czerwone gwiazdy i inne nieodłączne znamiona. Poznałem te same postaci i te same maski. Protestowali przeciwko decyzji likwidacji jakiejś ruiny i pola campingowego będących pewnie miejscem ich bojowych ćwiczeń. ■

FUNDUSZ WYDAWNICZY „POGLĄDU”

Każde wydanie „Poglądu” ukazuje się również w wersji zmminiaturyzowanej z przeznaczeniem dla Czytelników w kraju.

Los wolnego słowa w Polsce zależy więc również od Czytelników i Prenumeratorów „Poglądu”.

Każda, nawet najmniejsza wpłata na fundusz wydawniczy pozwoli zwiększyć nakład naszego dwutygodnika na kraj.

„Gesellschaft Solidarność” e. V. „Poglad” Sparkasse der Stadt Berlin West Konto Nr 122 001 238 2 BLZ 100 500 00	lub Postscheckkonto 586 90-102 BLZ 100 100 10 Postscheckamt 1000 Berlin (West)
---	---

Na Towarzystwo Solidarność

1. W. Powzin, Hausham	DM 20,-
2. J. Świerkula, Kiel	DM 20,-
3. R. Flak, Kiel	DM 20,-
4. T. Drayton, Turcja	DM 200,-
5. G. Dettlaff, Melle	DM 200,-

Na Fundusz Wydawniczy „Poglądu”

1. Bezimiennie z Belgii	DM 14,-
-------------------------	---------

Na „Solidarność Walcząca”

1. Z. Dominik, Hagen	DM 24,-
2. R. Nawrot, Kiel	DM 10,-
3. Cz. Szubski, Mannheim	DM 20,-

Na walczących w kraju

1. J. Bettej, Hagen	DM 10,-
---------------------	---------

Na pomoc Solidarności

1. S. Lapke, Friedrichshafen	DM 20,-
------------------------------	---------

Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy!

Samotny, kulturalny pan lat 49, znający j. polski, z mieszkaniem, samochodem szuka w celu matrymonialnym statecznej, kulturalnej i uczciwej pani w wieku 35 - 40 lat (bezdziwnej).
Janusz Zawadzki
Kurt-Schumacher-Ring 28, 6072 Drei Eichen
tel 06103/31037

Jazzowa Warszawa, jesienią

Są takie dni, kiedy Warszawa wydaje się być trochę inna niż zwykle, bardziej „europejska”, rozśpiewana obcymi językami, żyjąca w przyspieszonym tempie, nowym rytmem. Te zmiany, widoczne zwłaszcza — a może tylko? — w śródmieściu, niekoniecznie muszą się wiązać z obecnością cudzoziemców na ulicach. Największy nawet kongres naukowy w Warszawie przy udziale kilku tysięcy nienagannie ubranych dżentelmenów z całego świata — nie produkuje na ulicach tyle „europejskości” czy wręcz „światowości”, jaką za każdym razem, co roku oddycha się przez kilka jesiennych dni za przyczyną „Jazz Jamboree”.

Tegoroczny — dwudziesty dziewiąty już — Międzynarodowy Festiwal Jazzowy odbył się w dniach 22-25 października 1987 r., zaś dostrzeżane na ulicach zmiany rytmu życia działały się nie za sprawą paru dziesiątek dość nobliwie wyglądających i także przeważnie żyjących zagranicznych muzyków, lecz dzięki setkom fanów, przybyłych z różnych zakątków Europy. Najbardziej niekonwencjonalnie wyglądający, ubrani, uczesani i zachowujący się, awangardowo modni lub ostentacyjnie (równie awangardowo) niemodni to nie Amerykanie, Anglicy czy Szwedzi. Nawet rozlegający się głośno i często język niemiecki nie powinien nikogo zmylić: to nie zjechali się fani z RFN i Berlina Zachodniego (choć tacy też byli, sam spotkałem kilku znajomych z Kreuzbergu i Weddingu). Masowo, jak zwykle odwiedzali Warszawę i „Jamboree” Węgrzy, Czesi, Słowacy, Niemcy z NRD i — po raz pierwszy w tym roku — Rosjanie, Litwini, Estońscy, Łotysze, a także zamieszkali na Litwie czy Białorusi Polacy. Nigdzie chyba w Europie (poza obszarem między Piccadilly Circus a Trafalgar Square w Londynie)

nie można by spotkać tylu naraz wygolonych i śpiewających zwolenników sekty Hare Krishna, co przez te kilka dni na olbrzymich schodach u wejścia do Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki.

Nawet na Schodach Hiszpańskich w Rzymie, po wielogodzinnej okupacji wieczorno-nocnej przez tysiące młodych (i nie tylko) z całego świata, nie zbiera się tyle pustych butelek po winie, ile mieli okazję znaleźć pracownicy MPO w Warszawie, niezbyt tym zresztą zachwyceni (butelki nietypowe w Polsce nie są skupowane). Rzadko też zdarza się oglądać tak często sytuacje, w których dwie grupy objuczonych plecakami młodych ludzi z „czubami” na głowach, po angielsku konwersują o wadach warszawskiej komunikacji, miejscowym kursie dolara i „głasności” w ZSRS — zaś owymi rozmówcami są przybysze z Mińska i Lipska.

Zdarzało się też inaczej — i to chyba jeszcze bardziej symptomatyczna oznaka, że idzie o warszawskie „Jamboree” AD 1987: po raz pierwszy widziałem na własne oczy Węgrów i Niemców z NRD, którzy — wbrew wszelkim oczekiwaniom — za język porozumienia wybrali rosyjski. Może dlatego, aby nie być niezrozumiałymi przez Polaków, którzy rosyjskiego nadal uczyć się nie chcą, nie lubią i żadna „głasność” ich w tym względzie nie przekona.

Cóż za paradoks: Europa w Warszawie, z wyglądu i obyczajów subkultur młodzieżowych typowo „zachodnia”, w wyłącznym prawie wykonaniu przybyszów ze wspomnianych wyżej krajów wschodnio- i środkowoeuropejskich. Nie byłoby to wszystko aż tak klarowne, zrozumiałe i rzeczy-

wiście oddziaływujące na nastrój warszawskiej ulicy, gdyby nie wspólna wszystkim przybyszom, a i części „tubylców” też — subkultura jazzu i różnych odmian rocka.

Ulica kończyła się u wejścia do Sali Kongresowej, nobliwej i nobilitującej — w równym stopniu panie w wieczorowych toaletach (to głównie warszawskie ambasady państw trzeciego świata i europejskiego realnego socjalizmu), co równomiernie rozsianych w tłumie dzinsowych tysiących długowłosych, brodatych ekologów i wygolonych naśladowców skinheads.

Aby wejść do Sali Kongresowej na koncert popołudniowy czy wieczorny (codziennie dwie edycje tego samego składu wykonawców) trzeba mieć bilet w cenie od 1300 zł do 2300 zł.

— How much for this ticket? — pyta elegancka Erzsebet z Budapesztu (lat 23, studentka, nie ma gdzie spać po koncercie, może wybierze się na jam session do „Akwarium”).

— Powinien kosztować 2300 zł, tyle wydrukowano na bilecie, oddam za osiemset — zachwała towar potencjalny sprzedawca.

— Może być 30 forintów i 300 złotych?

Pozostawiam transakcję nie znając ostatecznego jej wyniku, bo interesuje mnie młody brodac w niechlujnym, przybrudzonym swetrze, gromadzący zwolenników „wejścia” za jedyne 800 zł (tak było na początku, w ostatnim dniu już za 500 zł). Jak się okazuje, nie jest jedynym oferentem; w okolicach każdego z wejść do Sali Kongresowej kręcą się jemu podobni, a gdy zbiorą po 10-15 osób i zainkasują pieniądze, prowadzą ich — jak wycieczkę — do „swojego” wejścia i tam ostentacyjnie okazują „bramkarzom” odpowiednią ilość biletów; żaden nie zostanie „skasowany”, przedarty. Tyle, że pewnie „bramkarz”, odnotuje sobie ilość wpuszczonych „na lewo” i za chwilę odbierze odpowiednią prowizję od naganacza.

Trudno policzyć, ile na tej — nie nowej zresztą, lecz w tym roku wyjątkowo widocznej — „inicjatywie” traci Polskie Stowarzyszenie Jazzowe.

Dr Tomasz Tłuczkiewicz napracował się mocno z okazji festiwalu. Przede wszystkim jako prezes Stowarzyszenia Jazzowego, potem jako członek Komitetu Organizacyjnego, konferansjer, autor scenariusza, projektant obsady, autor teks-

tów programu. Mógłby uchodzić za najpracowitszego człowieka jazzu, gdyby nie muzycy. Niektórzy z nich dostarczyli wrażeń niezapomnianych — dzięki swej pracy, wyjątkowości, poszukiwaniom i konsekwencji działań artystycznych. Wśród Polaków takim „genialnym pracusiem”, okazał się pianista Sławomir Kulpowicz i koledzy (koleżanka harfistka też) i jego zespół; wśród cudzoziemców, ekscentryczny Amerykanin Sun Ra i Największy Brzech Zachodnioniemieckiego Jazzu Peter Herbolzheimer.

Cieszę się, że dane mi było usłyszeć dwie — moim zdaniem — najciekawsze, a niekonwencjonalne prezentacje festiwalu: Sun Ra Arkestra u USA („jazz kosmiczny i transcendentalny”) i Sławomira Kulpowicza z jego międzynarodowym składem (m.in. z udziałem słynnego brazylijskiego perkusisty, grającego na ludowych instrumentach, Dom Um Romao i... harfistki Anny Faber; harfa — w jazzie instrument chyba najbardziej nietypowy — była na „Jamboree” dwukrotnie wykorzystywana, bo grała na niej i Alice Coltrane innego dnia).

Kulpowicz jest prawdopodobnie jedynym zamieszkałym w Polsce jazzmanem, którego twórczość zakwalifikować można do światowej ekstraklasy. Oburzy się ktoś: a Namysłowski, Szukalski, Muniak, Ścierański czy Krzesimir Dębski? To wszystko muzycy naprawdę wpaniali (to samo można rzec o zamieszkałych za Oceanem Polakach — Urbaniaku i Makowiczu), niemniej właśnie Kulpowicz, choć skromnie, lecz uparcie zdaje się penetrować obszary, które mogą uchodzić za Oblicze Nowego Jazzu, bynajmniej nie awangardowe w potocznym sensie ani pseudo-nowoczesne, lecz zdecydowanie indywidualne. I to pomimo posługiwania się środkami wyrosłymi z tradycji bardziej starych bądź hermetycznych kultur muzycznych: indyjskiej, Bliskiego Wschodu, żydowskiej, brazylijskiej (tej najbardziej w sferze rytmiki), węgierskiej.

Zapyta Mały Jasio, z palcem w ustach, zdumiony: Jak to, jeszcze wszystko to ma być jazzem?

Właśnie tak! Takiej dbałości o niuanse rytmiki dawno nie obserwowałem, zaś krótkie, komunikatywne partie improwizowane mogłyby „żywcem” (niektóre przynajmniej) wejść do kanonu zawzięcie studiowanych „złoty solówek” najwybitniejszych jazzmanów. Skąd te pomysły, skąd



Tajemniczy Sun Ra

takie „wysokie” koneksje międzynarodowe u Kulpowicza? Wyobraźnia i praca, praca i wyobraźnia. Bardzo konsekwentnie.

Zapowiadający występ Sun Ra Arkestra szef audycji jazzowej w „Głosie Ameryki” Willis Conover powiedział: „Nikt nie wie, jak się naprawdę nazywa, nikt nie wie, gdzie i kiedy się urodził. Twierdzi, że przybył na Ziemię z innego świata.” Po tym wstępie pojawili się muzycy w kolorowych, „orientalnych” szatach, wyszywanych tu i ówdzie cekinami, wielokrotnie zjawiał się i znikał bardzo nietypowy balet (z elementami pantomimy), rozlegała się muzyka, ironicznie traktowana przez muzyków jako strasznie „niepoważna”, lider od niechcenia wygrywał na fortepianie „swingulanse”.

Pozorny tani greps może mieć głębię, w krzywym uśmiechu błazna (jazzowego) więcej prawdy o życiu niż np. w bardzo głębokich, skądinąd dramatycznych solówkach sowieckiego duetu Czekasin-Tarasow, który jednak nie ustępując Amerykanom, przegrał u publiczności przez śmiertelną powagę demonstracyjnej jazzowej

„pieriestrojki”. Jeśli zaś o porażkach, to i Amerykanie mają je na koncie — choćby występ „Coltrane Legacy” (Dziedzictwo Coltrane’a). Zespół, w którym na fortepianie i harfie gra żona zmarłego w 1967 r. Johna (zaliczanego do „geniuszy” jazzu i saksofonu), jego syn Ravi (ts), zanudził chyba większość słuchaczy uporczywym przelewaniem lawiny dźwięków, konsekwentnie atonalnych lecz przeraźliwie, programowo jednostajnych rytmicznie i nieodróżnicowanych dynamicznie. Polskiej grupie „Sounds” Jarosława Śmietany (g) uporczywie i nonszalancko próbującej być bardziej amerykańską od Amerykanów zaszkodził luz.

Przeciwieństwem byłyby tu produkcje duńskiego zespołu, kierowanego przez światowej sławy kontrabasistę (grał chyba ze wszystkimi — od Counta Basie’go po Anthony’ego Braxtona) Nielsena Henninga Oersteda Pedersena. Jego znakomitym partnerem był zwłaszcza pianista Kenneth Knudsen, wyzwalający z syntezatorów dźwięki wcale nie elektronicznie oschłe (do czego nas przyzwyczaiła elektronika rockowa), lecz wspaniałe, oparte na przepięknej barwie, wzbo-

gacające „międzynarodówkę dźwięków” o nowe wartości.

Inaczej z kolei Peter Herbolzheimer ze swoim big-bandem: kiedyś chwalony za „awangardowość”, obecnie wyraźnie zwrócony w stronę tradycji (standardy i jazz-originals — od „A Night in Tunisia” po „Air Mail Special” i „La Fiesta”). Najgorzej ubrany zespół w Europie, lider z największym brzuchem wśród jazzmanów i równie wielkim poczuciem humoru. A do tego największa chyba precyzja wykonawcza, jaką można sobie wyobrazić, uzyskana po prostu przez odpowiedni dobór muzyków: nie indywidualności lecz bardzo sprawnych „rzemieślników”, wirtuozów swoich instrumentów.

Odwrotnie zupełnie przy doborze muzyków postąpił szef legendarnej, bo najdłużej istniejącej (33 lata!) formacji jazzu nowoczesnego „Jazz Messengers”. Zespół istnieje, bo wciąż żyje jego lider, ale muzycy zmieniają się nieustannie. Obecnie 68-letni Art Blakey dobrał sobie młodzieńców, przebranych, upozowanych na autentycz-

nych be-bopowców z lat 40-tych i 50-tych, przypominających mu zapewne własną młodość. Grają ci młodzi nieźle, szczególnie jedyny biały w zespole — pianista Benjamin Green; w przyszłości pewnie jeszcze o nim usłyszymy. Niemniej — jeszcze sporo mają do zrobienia w dziedzinie rzemiosła. Widocznie Blakey bardziej ceni żywiołowość i młodość (a także pewną uległość w realizacji jego własnej konwencji) niż drobiazgową dokładność i wirtuozerię.

Poza głównym nurtem festiwalu w Sali Kongresowej odbywał się przez dwa dni w klubie „Hybrydy” oraz kawiarniach „Szampańska” i „Pod Samowarem” tzw. „Poljazz Festival”, czyli przegląd polskich grup „drugiego nurtu”, grających wszystko — od mainstreamu przez straight-ahead po awangardę.

A za rok — jubileusz. „Jazz Jamboree” po raz trzydziesty. Zakazana jeszcze w Polsce przed trzydziestu dwu laty muzyka obrasta w szacowną tradycję i wypina pierś po orderzy. Że będą, nie wątpię, zresztą zobaczymy za rok. ■



Zjazd zjednoczeniowy PPS

Historia emigracji polskiej nie obfituje raczej w wydarzenia radosne czy też skłaniające do optymizmu. Tym bardziej odnotowywać należy fakty, mogące odmienić ten niezbyt wesoły obraz. Takim właśnie wydarzeniem był dwudniowy Zjazd Zjednoczeniowy PPS (21-22 listopada 1987) w Bernried pod Monachium.

Do niewielkiej bawarskiej miejscowości przybyło ponad stu delegatów z różnych stron świata. Delegaci dyskutować mieli nad połączeniem partii, jak również nad dalszą działalnością PPS na emigracji. Zjazd odbywał się dokładnie 95 lat od chwili powołania partii do życia w Paryżu w roku 1892. Bezpośrednim impulsem pierwszego zebrania był strajk robotników Łodzi krwawo stłumiony przez Rosjan. Wtedy pod Paryżem postanowiono zjednoczyć polski ruch socjalistyczny, by z większą siłą i mocą występować w obronie praw robotniczych i narodowych. Obecnie chodziło również o zjednoczenie partii i zwiększenie możliwości jej oddziaływania.

Obrady otworzyła przewodnicząca PPS p. dr Lidia Ciołkoszowa referatem omawiającym historię PPS od chwili powstania do drugiej wojny światowej. W swym wystąpieniu p. Ciołkoszowa szczegółowo omówiła działalność Polskiej Partii Socjalistycznej pod zaborami, jej poparcie dla Legionów oraz walkę w wojnie polsko-sowieckiej z roku 1920. Przewodnicząca PPS wspomniała także o historii konfliktu i zerwaniu z Piłsudskim. Poparcie PPS dla przewrotu majowego obwarowane było bowiem warunkami, rozwiązania sejmowi i rozpisanie nowych wyborów. Marszałek jednak obawiając się, jak podkreśliła referentka, zwycięstwa lewicy sejmowi nie rozwiązał, utrzymu-

jąc go do końca kadencji w roku 1928. PPS zbojkotowała wybory uważając obóz Piłsudskiego za „autorytatywny” i „antydemokratyczny”.

Jednak samo zjednoczenie partii w Bernried nie było jedynym optymistycznym wydarzeniem w najnowszej historii PPS. Bowiern równie ważnym faktem było utworzenie, a raczej reaktywowanie Polskiej Partii Socjalistycznej w kraju. 15 listopada tego roku w prywatnym mieszkaniu w Warszawie ogłoszono „Deklarację polityczną PPS”, w której wyjaśniono powody i cele odrodzenia się PPS w Polsce. „Będziemy walczyć o respektowanie praw człowieka, wśród nich prawa do życia w niepodległym, wolnym kraju, do wolności stowarzyszania się, do pluralizmu politycznego. Domagamy się prawa do życia w nieskażonym środowisku naturalnym, prawa do zastępczej służby wojskowej oraz zniesienia kary śmierci. Wzywamy w szeregi PPS wszystkich Polaków, którym bliskie są ideały lewicy demokratycznej.” — przeczytać można w Deklaracji.

Władze PRL, same siebie nazywające „socjalistycznymi” wysłały na warszawskie zebranie założycielskie PPS hordę milicjantów i ubeków mających rozbić spotkanie. Większość uczestników zatrzymano i poddano przesłuchaniom. W podobny sposób władze zakończyły następnego dnia konferencję prasową zwołaną przez 16 założycieli PPS. Natomiast dwa dni po pierwszym zebraniu PPS w kraju, na wtorkowej konferencji prasowej rzecznik rządu PRL Urban powiedział, iż władze nie będą tolerowały działalności „nielegalnej organizacji”. Założyciele Polskiej Partii Socjalistycznej w Warszawie wystosowali list do gen. Jaruzelskiego domagając się zaprzestania

„bezwprawnych” szykan wobec PPS, która powstała i działa zgodnie z artykułami obowiązującej w PRL konstytucji. Tydzień później 22 listopada w konspiracyjnych warunkach odbyły się wybory do władz krajowej PPS. Przewodniczącym został Jan Józef Lipski, krytyk literacki, były członek KOR. Do władz weszli: prof. Władysław Goldfinger-Kunicki, weteran ruchu socjalistycznego oraz 32-letni działacz związkowy z Wrocławia Józef Pinior, który po aresztowaniu pierwszych przewodniczących wrocławskiego RKS-u (Władysława Frasyniuka i Piotra Bednarza) kierował działalnością podziemnego ruchu związkowego na Dolnym Śląsku.

Delegaci Zjazdu Zjednoczeniowego PPS na emigracji w swoich wystąpieniach podkreślali doniosłość faktu reaktywowania partii w Polsce. Niestety, tylko jeden z wygłaszanych w trakcie obrad referatów (p. Wawrzyniaka — przyp. red.) dotyczył spraw krajowych i miejscami dyskusja toczyła się wokół tematów raczej mało istotnych dla samego ruchu jak i celu Zjazdu Zjednoczeniowego.

W drugim dniu obrad przystąpiono do części organizacyjnej Zjazdu. Najważniejszymi punktami tej części było przede wszystkim oficjalne potwierdzenie woli zjednoczenia w głosowaniu. Drugim punktem był wybór władz naczelnych. Przewodniczącą Centralnej Rady Partyjnej została p. Lidia Ciołkoszowa. Stanowisko przewodniczącego Centralnego Komitetu Zagranicznego objął p. Stanisław Waśnik. Szczegółowym opracowaniem uchwał PPS oraz wskazań dotyczących dalszej działalności partii na emigracji zajmą się władze centralne w Londynie. Sprawozdanie ze zjazdu z ostateczną wersją uchwał ukazać ma się w formie książkowej.

W 95 rocznicę powstania Polskiej Partii Socjalistycznej zbiegły się ze sobą dwa ważne wydarzenia: ponowne zjednoczenie PPS oraz reaktywowanie tej partii w kraju. Jaki wpływ będzie miało zjednoczenie na przyszłość politycznej emigracji polskiej trudno przewidzieć. Sarkastycznie można by powiedzieć, iż nie takie szanse już marnowano. Jednak połączenie to ma charakter nie tylko praktycznego wzmocnienia organizacji, ale również posiada wydźwięk symboliczny, wskazujący na szansę zakończenia niepotrzebnych (i jakże często bezsensownych) sporów, od których nie jest też wolna najnowsza fala emigrantów, tych z „Solidarności”. Krajowe odrodzenie się Polskiej Partii Socjalistycznej jest prze-

de wszystkim sygnałem aktywności grup społecznych, o których zaczęto mówić, iż zastygają w jałowych gestach sprzeciwu rozstrząsając wciąż na nowo okres Wielkiego Związku. Dzieje się na szczęście inaczej. Reaktywowanej w kraju PPS życzyć należy przede wszystkim wielu zwolenników i sympatyków, na tyle licznych, by mogli, w razie, jak się dziś wydaje, nieuniknionych represji ze strony władz PRL obronić działaczy i ich rodziny. Najważniejszym jednak winna być chyba dobra i efektywna współpraca obu części PPS — tej w kraju i tej na emigracji, współpraca różniąca się nieco od tej, jaką mieliśmy w przeszłości i jaką niestety, mamy jeszcze niekiedy i dzisiaj.

* * *

W przerwie obrad przeprowadziłem krótką rozmowę z przewodniczącą PPS p. Lidią Ciołkoszową:

W.G. — Proszę Pani, Zjazd Zjednoczeniowy PPS odbywa się 25 lat po rozłamie w partii w roku 1961. Jakie były przyczyny tego rozłamu?

Lidia Ciołkoszowa: Nasz rozłam wyrósł z różnicy poglądów na sytuację w kraju i wniosków z niej płynących po przyjściu Gomułki do władzy. Mianowicie grupa Zygmunta Zaręby uważała, że Gomułka przeprowadzi uniezależnienie Polski od polityki sowieckiej, a nawet uzyska niezależność w polityce zagranicznej. Jednym słowem oni uważali, że Gomułka pójdzie ze społeczeństwem w obronie niepodległości. Grupa mego męża, Adama Ciołkosza, uważała, że Gomułka zrobi pewne kroki w kierunku demokratyzacji, ale że on z góry nastawiony jest na wycofanie się z tego i prowadzenie polityki posłusznego komunisty, dla którego Rosja Sowiecka jest ojczyzną proletaria-



Dr Lidia Ciołkoszowa: „Komuniści ukradli nam symbole”.

tu. Ponieważ jednak upłynęło już tyle lat, sprawy te stały się nieaktualne, dla młodego pokolenia prawie że niezrozumiałe, uważaliśmy, że trzeba doprowadzić do połączenia obu PPS, żeby to młode pokolenie, które przyszło do partii na emigracji rozumiało o co chodzi — że tamto jest już nieaktualne, i bez względu na to, kto przynajmniej której grupie rację, musimy partię zjednoczyć wokół problemów dzisiaj aktualnych.

— **Właśnie. Tydzień temu w Polsce wydano „Deklarację polityczną PPS”. Jakie znaczenie będzie miało dla polskiego ruchu socjalistycznego reaktywowanie PPS w kraju?**

— Według mnie jest to największe wydarzenie po powstaniu „Solidarności” — na pierwszym zebraniu było ponad 40 osób z siedmiu miast Polski. Deklaracja polityczna, którą nam przesłano podkreśla absolutnie zgodne z naszymi celami politycznymi działania PPS. Dla nas jest to powód do ogromnej radości i wzruszenia. Ludzie, którzy stanęli tam na czele są tymi, do których my mamy pełne zaufanie.

— **Jednak ta zgodność, o której Pani wspomniała, nie jest taka absolutna. W „deklaracji” warszawskiej mówi się na przykład o „nauce społecznej Kościoła”. Także akcent z działań na rzecz odzyskania niepodległości przesunięty został w stronę obrony praw człowieka. Czy nie jest to pewne odejście od tradycji i doktryny PPS-u?**

— Nie, PPS w ogóle nie miała obowiązującej doktryny, ani filozoficznej, ani naukowej. Dla nas Marks nie był prorokiem. Był naukowcem, który jako naukowiec także się mylił.

Jego teorie traktowaliśmy jako teorie naukowe i wyciągaliśmy z tych nauk to, co było wg nas słuszne i odrzucaliśmy to, co było niesłuszne. A popularność Marksa wśród robotników polskich nie polegała przecież na mądrości „Kapitału” — bo tego ludzie nie czytali — ale na tym, że Marks w pierwszej Międzynarodówce zgłosił wniosek o niepodległość Polski — to była przyczyna jego popularności! Więc tu ma Pan to nasze stanowisko wobec doktryny marksizmu.

— **Czy nie obawia się Pani jednak, że reaktywowanie PPS-u teraz, w Polsce drugiej połowy lat osiemdziesiątych, napotka na znaczne trudności? Nie mam tu na myśli policyjnych represji, lecz możliwości oddziaływania partii**

na społeczeństwo, szczególnie jego młodszą część. W kręgach PPS operuje się pojęciami, które w PRL są od dawna skompromitowane i nierzadko znienawidzone.

Takie terminy jak „towarzysz partyjny”, „socjalizm”, „reformy socjalistyczne” są terminami niezbyt miłymi dla ucha obywatela PRL.

— To, że słowo „socjalizm” było w Polsce lekceważone i jest znienawidzone wynika z tego, że zostało ono ukradzione przez komunistów, którzy nie mają z socjalizmem nic wspólnego. Ale na przykład po śmierci mego męża wydałam nasze pogadanki radiowe pod tytułem „Niepodległość i socjalizm” i to było drukowane w Polsce w kilku podziemnych drukarniach. To znaczy, że przedstawienie to można przełamać.



Dr Lidia Ciołkoszowa w rozmowie z Wiktorem Grotowiczem: „Negatywne nastawienie do socjalizmu można przełamać.”

— **Zjednoczenie PPS na pewno wzmocni samą partię. Czy fakt ten będzie miał również wpływ na całą emigrację polską?**

Tutaj na Zachodzie wśród emigrantów nie dzieje się zbyt dobrze. Czy sądzi Pani, że te tendencje zjednoczeniowe znajdą nareszcie uznanie u innych działaczy emigracyjnych?

— Wydaje mi się, że wzmocnienie PPS przez zjednoczenie jest wzmocnieniem całej działalności niepodległościowej emigracji, ponieważ PPS stanowi człon tej walki o niepodległość, o obronę sprawy polskiej, o obalenie skutków Jałty.

Mnie się zdaje, że to może mieć tylko korzystny wpływ na cały obóz niepodległościowy na emigracji. ■

Polska filatelistyka na emigracji

Zbieranie znaczków pocztowych jest najbardziej rozpowszechnionym hobby na świecie. Jest to pasja, która poza tym niesie ze sobą spory ładunek wartości poznawczych. Bo te małe arcydzieła sztuki graficznej rozpowszechniają nie tylko wiedzę o kraju, który je emituje, lecz również rozszerzają wiadomości o postępie technicznym na świecie, jego faunie i florze, wybitnych ludziach i wreszcie, pomijając cały szereg innych ciekawych tematów, filatelistyka przypomina nam o historii dawnej i najnowszej.

Podjmując dziś temat polskiej filatelistyki na emigracji, zatrzymam się właśnie na aspekcie historycznym, który w działalności polskich filatelistów na obczyźnie odegrał ogromną rolę i stanowi chyba ewenement w skali światowej.

Pierwsze wydania emigracyjnych znaczków pocztowych ukazały się w Londynie w 1941 roku i są dobrze znane i uwzględniane w katalogach nie tylko krajowych, ale i zamieszczają je wszystkie najpoważniejsze katalogi zagraniczne, jak Michel, Zumstein i Yvert. Tak samo znane są powszechnie następane serie, wydane przez pocztę Rządu Polskiego na emigracji w latach 1943-44. Natomiast, składającą się z czterech znaczków i bloku serię wydaną w 1946 roku przez Poczta Polową II Korpusu we Włoszech, znalazłem już tylko w Katalogu Specjalizowanym Znaczków Pocztowych Ziemi Polskich, tak samo jak serię składającą się z 9-ciu znaczków, wypuszczoną przez Poczta Osiedli Polskich we Włoszech. Nie znalazłem natomiast w żadnym dostępnym katalogu stempla okrągłego z napisem „Poczta Polowa”, odbijanego na kopertach opatrzonych znaczkami włoskimi. W moich zbiorach posiadam taki da-

townik umieszczony na 5-ciu różnych wartościach czworobokach znaczków poczty włoskiej – z datą: 18 maja 1944 roku.

Przypomnę jeszcze kilka wydań emigracyjnych, uwzględnionych przez Polski Specjalistyczny Katalog. Są to znaczki poczt międzyobozowych w Niemczech, w takich miastach jak Hamburg-Fischbeck, Lubeka, Helmstedt i Freiman koło Monachium. We wspomnianym katalogu znalazłem również posiadane przeze mnie dwa sześciocznarkowe, wielokolorowe bloki w wersji cętej i ząbkowanej wydane przez Komitet Polski w Dachau na rzecz Polskiego Czerwonego Krzyża. I na tym kończy się w krajowym katalogu historia polskiej poczty emigracyjnej, ale tym samym nie skończyła się bogata działalność polskich filatelistów, choć była nie zauważana od tego momentu lub po prostu ignorowana w PRL. Dlatego trudno dzisiaj przedstawić pełny obraz tych wydań, które ukazywały się zaraz po wojnie. Dopiero po roku 1960 zaczęły się pojawiać na emigracji katalogi, w których można znaleźć pełne informacje o wydaniach ukazujących się dosyć regularnie w latach późniejszych.

Z tych wczesnych wydań znamy znaczek wypuszczony przez Zjednoczenie Polskie w Niemczech w 1946 roku dla uczczenia rocznicy odzyskania Niepodległości. (Odbitka nr 1.)

Działające potem w Niemczech Zjednoczenie Polskich Uchodźców wypuściło w latach sześćdziesiątych cegiełki na Oświatę Polską. (Odbitki nr 2 i 3)

W roku 1964 Związek Inwalidów Wojennych – Oddział w Niemczech wypuścił nalepki-znaczki



Odbitka nr 1



Odbitka nr 2



Odbitka nr 3



Odbitka nr 4

na rzecz żołnierzy-inwalidów bez rent. (Odbitka nr 4)

Podobna edycja, o zmienionym jednak rysunku, tak samo na rzecz inwalidów wojennych, ukazała się w roku 1969. Związek Inwalidów w RFN wydał też w roku 1966 znaczek okolicznościowy z okazji milenium. Znaczek formatu 40/45 mm, zaprojektowany przez słynnego już w świecie grafika polskiego Czesława Słanię, przedstawia portrety Mieszka I i Dąbrówki oraz tarczę z piastowskim orłem. (Odbitka nr 6)

Również w Stanach Zjednoczonych ukazał się z tej samej okazji znaczek, również projektu Cz. Słani, w kolorze zielonym. (Odbitka nr 7). Podobnie w Londynie z okazji milenium ukazał się kwadratowy biało-czerwony znaczek z orłem w koronie. (Odbitka nr 8).

W Kanadzie w miejscowości Kaszuby odbył się w lipcu 1966 r. Milenijny Zlot Młodzieży Polonijnej i z tej okazji wydany został trójkolorowy znaczek biało-czerwono-brązowy. (Odbitka nr 9). Jak wiadomo, poczta Stanów Zjednoczonych



Odbitka nr 5



Odbitka nr 6



Odbitka nr 7



Odbitka nr 8



ZŁOT MŁODZIEŻY
POLONIJNY
JAMBOREE OF CANADIAN
POLISH YOUTH
JAMBOREE DE LA JEUNESSE
POLONAISE AU CANADA

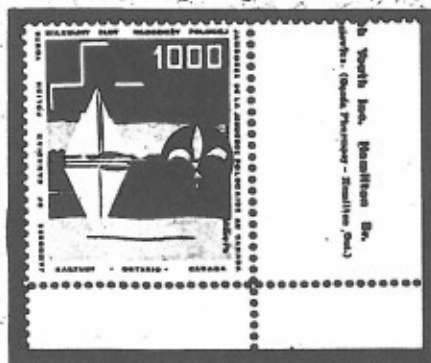
16. 7. — 31. 7. 1966

Odbitka nr 9

uczciła polskie milenium znaczkiem polskim z orłem. Wspominam o tym, bo Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w USA wypuściło w tym czasie pocztówkę z rysunkiem rannego żołnierza na polu bitwy i ta właśnie pocztówka ofrankowana została owym amerykańskim milenijnym znaczkiem i ostemplowana datownikiem pierwszego dnia obiegu poczty amerykańskiej. (Odbitka nr 10)

I wreszcie w Szwecji ukazał się znaczek formatu 40/55 mm, zaprojektowany również przez Cz. Słanię. (Odbitka nr 11)

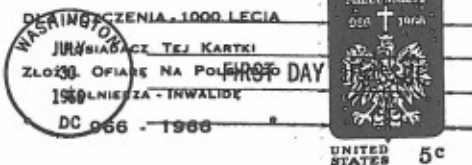
Oczywiście wszystkie te wydania były inicjowane przez polskich filatelistów, którzy wcześniej czy później tworzyli własne stowarzyszenia i związki. Najstarszym i największym polskim stowarzyszeniem filatelistycznym poza krajem jest założony w 1939 r. w Chicago: „Polonus Philatelic Society”. Towarzystwo to może poszczycić się poważnym dorobkiem publikacyjnym i organizacyjnym. Wydaje miesięcznik w języku angielskim *Bulletin of the Polonus Philatelic Society* i urządza doroczne wystawy, znane pod hasłem: „Polpex”. Obok „Polonusa” istnieją w Stanach jeszcze dwa znane polskie towarzystwa filatelistyczne: „Boston Philatelic Society” i „Plewacki Post Stamps



Society”. W Australii w roku 1959 zostało zorganizowane „Polish Philatelic Society”, które organizuje coroczne wystawy pod nazwą „Polphil”.

W 1968 roku w miejscowości Raubaix we Francji powołano do życia „Związek Filatelistów Polskich we Francji”, który już w następnym roku, w rocznicę założenia, urządza w Lille wystawę na temat 25 rocznicy Powstania Warszawskiego. Związek uzyskuje z tej okazji datownik okolicznościowy poczty francuskiej opatrzonego godłem Polski Walczącej. ZLP we Francji wydał szereg kopert i kart ostemplowanych każdorazowo specjalnymi datownikami poczty francuskiej — jak w 30 rocznicę powstania Armii Polskiej we Francji, w roku 1970 z portretem Generała Sikorskiego na datowniku, czy z okazji wypuszczenia przez pocztę francuską specjalnego znaczka w roku 1973 poświęconego wielkiej polskiej emigracji do Francji w latach 1821-23. (Odbitka nr 12)

Na terenie Wlk. Brytanii, jeszcze w okresie II wojny światowej, zostało założone w Glasgow „Stowarzyszenie Polskich Filatelistów w Wielkiej Brytanii”, lecz istniało tylko do końca wojny. Potem powstawały przejściowe kluby skupiające polskich filatelistów, ale dopiero powołany do życia w 1958 roku i do dziś działający „Związek



Odbitka nr 10

Filatelistów Polskich w Wielkiej Brytanii", wystarował od razu jako bardzo prężna organizacja o wyraźnym obliczu polskim i niepodległościowym. Świadczą o tym szerokie inicjatywy Związku w zakresie emisji kopert, kart i datowników okolicznościowych oraz licznych wystaw. Już w roku 1960 zapoczątkowano doroczne wystawy pod nazwą „Polphilex”, co jest skrótem od „Polish Philatelic Exhibition”. Jedną z pierwszych wystaw była urządzona w roku 1962 ekspozycja pod hasłem „Józef Piłsudski i jego epoka w polskiej filatelistyce”. (Odbitka nr 13)

Wystawa ta była pomyślana jako riposta na zorganizowaną w tym samym czasie w kraju wystawę pod hasłem: „Lenin i jego idea w filatelistyce”. W następnych latach doroczne wystawy Związku były poświęcone m.in.: „Tysiącleciu Polski Chrześcijańskiej”, różnym rodzajom broni Armii Polskiej, Armii Krajowej (odbitka nr 14), Lotnictwu, Marynarce, 60-leciu odzyskania Niepodległości, 60-leciu obrony Lwowa, Odsieczy Wiedeńskiej i wielu innym ważnym wydarzeniom z dawnej i współczesnej historii Polski.



Odbitka nr 11

Na wszystkie te wystawy i również na inne rocznice i uroczystości, które Związek upamiętniał wydawnictwami filatelistycznymi, uzyskiwano okolicznościowe datowniki poczty brytyjskiej, których od roku 1960 do dnia dzisiejszego powstało ok. 140-tu. Każdorazowy oficjalny datownik był dodatkiem do artystycznie wykonanych kart i kopert, których w sumie ukazało się w tym czasie prawie 500 rodzajów, w niedużych nakładach. Każda rocznica, czy uroczystość narodowa była ilustrowana kilku przeważnie kartami czy kopertami, a czasem całą serią pięknych kart okolicznościowych. Ciekawostką jest, że poza stemplem, znaczki poczty brytyjskiej, którymi były frankowane te polskie koperty i karty, są często perforowane małymi literami symbolizującymi temat. Tak na przykład znaczki naklejane na koperty wydane z okazji rocznicy śmierci Marszałka Piłsudskiego



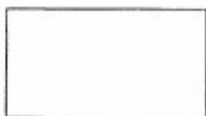
Odbitka nr 12



Fiat J.
30, Grosvenor St. Gardens,
London, E. 7. 6.

Odbitka nr 13

miały perforację w kształcie liter J.P., czy liter A.K. na znaczkach przyklejanych do kopert wydanych z okazji rocznicy Powstania Warszawskiego.



Odbitka nr 14

Na zakończeniu muszę jeszcze koniecznie wspomnieć o książce poświęconej historii filatelistyki polskiej w okresie II wojny światowej. Książka ukazała się niedawno w USA po angielsku pt.: „Poland occupied in World War II and Holocaust 1939-1945 — Philatelic History”. (Odbitka nr 15)

Napisał ją Amerykanin polskiego pochodzenia Edward T. Superson. Jest to bardzo obszerne dzieło, które w sposób naukowy bardzo szczegółowo omawia wszystkie zjawiska związane z funkcjonowaniem poczty na ziemiach polskich oraz zagranicą, gdzie powstały większe skupiska Polaków. Ponieważ książka adresowana jest przede wszystkim do czytelnika amerykańskiego, autor pisze w przedmowie dosyć obszernie o tragicznych losach naszego narodu w latach 1939-1945 i pierwszy rozdział swojej pracy poświęca dziejom Polski, od ich zarania do wybuchu II wojny światowej.

Edward T. Superson zgromadził olbrzymi materiał dokumentacyjny i w sposób niezwykle wnikliwy, zdradzający szeroką znajomość tematu, omawia go na 422 stronach swojej książki, ilustrowanej bogato reprodukcjami znaczków, arkuszy, kopert, kart i innych walorów pocztowych. Historia okupacyjnej filatelistyki usystematyzowana jest według następującego klucza: poczty funkcjonujące na terenie Generalnej Gubernii i ziemiach przyłączonych do III Rzeszy, potem poczty obozów koncentracyjnych, poczty w gettach i w sowieckich łagrach oraz poczta powstańcza, działająca w czasie Powstania Warszawskiego w 1944 roku. Poza pełnym zestawem reprodukcji materiału filatelistycznego, książka uzupełniona jest mapami i przypisami oraz szczegółowym indeksem nazw i miejscowości. Uważam, że ten cenny dokument historyczny powinien być koniecznie przetłumaczony na język polski.

Należy dodać, że książka Edwarda T. Supersona była wielokrotnie nagradzana na wielu międzynarodowych wystawach filatelistycznych, a ostatnio autor osobiście przedstawiał ją na światowej wystawie filatelistycznej, która odbywała się w dn. 15-25.10. br. w Kopenhadze.

Kończąc tę moją opowieść o polskiej filatelistyce na emigracji pozwalam sobie wyrazić nadzieję, że informacje i wiadomości, które udało mi się zgromadzić na ten temat, zainteresują nie tylko filatelistów.



Odbitka nr 15

Z biblioteczki emigrantki

Marek Celt: Biali kurierzy. Z przedmową Mieczysława Młotka. Monachium 1986.

Kim jest autor tej książki? Właściwie nazywa się Tadeusz Chciuk i jest rodzonym bratem nieżyjącego już, płodnego prozaika Andrzeja Chciuka, który przez wiele lat współorganizował i tworzył polskie życie kulturalne w dalekiej Australii. (W jednej ze swych autobiograficznych książek Andrzej Chciuk opisał wizytę swego brata, przybywającego z Monachium dziennikarza „Wolnej Europy”; Marek Celt nie pozostaje mu dłużny – ale o tym za chwilę). Lecz nazwisko Chciuk ma krótką historię, sięga tylko powstania listopadowego, kiedy to pradziad Andrzeja i Tadeusza na biwaku odrąbał sobie kciuk – powstańczy przydomek utrwalił się jako nazwisko. Z kolei kiedy w czasie wojny Tadeusz Chciuk chodził przez zieloną granicę z Węgier w rodzinne strony – do zajętego przez Związek Sowiecki Drohobycza i Lwowa – posługiwał się fałszywym dowodem osobistym, wystawionym na nazwisko Zdzisław Witkowski. A po wojnie, od roku 1952, Tadeusz Chciuk występował jako publicysta przed mikrofonami rozgłośni polskiej radia Wolna Europa pod pseudonimem Michał Lasota. Tadeusz Chciuk, Zdzisław Witkowski, Michał Lasota i Marek Celt to jedna i ta sama osoba.

Tematem książki Celta są właśnie dzieje wypraw kurierskich do Lwowa, Drohobycza i okolic i z powrotem do Budapesztu. Tytuł jeden z bohaterów wyjaśnia tak: „Biali, bo przeciw czerwonym... Biali, bo w białych kombinezonach po białym śniegu przez białą (choć „zieloną”) granicę”. Kurierzy z narażeniem życia przekradali się przez

pilnie strzeżoną (przez bolszewickich strażników i przez wrogo nastawioną ludność niektórych ukraińskich wiosek) strefę przygraniczną, przynosząc z Budapesztu polecenia i pieniądze dla organizującej się polskiej konspiracji, a przy okazji także listy i walutę dla osób prywatnych. Z powrotem zabierali meldunki o sytuacji w terenie, a niekiedy także uciekinierów, pragnących przedostać się do Francji, do polskiego wojska, organizowanego przez Sikorskiego. Komunikacja ta odbywała się nie bez poważnych przeszkód wewnętrznych.

Centrala w Budapeszcie np. nie mogła jakoś czy nie chciała przyjąć do wiadomości, że przedwojenne złote polskie są niemal nieprzydatne na terenach przyłączonych do Ukraińskiej SRS – trzeba je dopiero szmuglować do Generalnego Gubernatorstwa i tam wymieniać, co pociąga za sobą straty finansowe, a nawet ludzkie (prywatni korespondenci wiedzieli lepiej, wysyłając swoim bliskim dolary). W dodatku przemycane na Węgry raporty zdawały się ginąć w szufladach wiernych Rydzowi-Śmigłemu oficerów, nie docierając do Sikorskiego i nie wywołując oczekiwanych niecierpliwie zmian (chodziło tu m.in. o działania propagandowe: opinia publiczna wiedziała sporo o terrorze hitlerowskim i o konspiracji na terenach zajętych przez Niemców, nic prawie o aresztowaniach, deportacjach i rozstrzelaniach oraz o utrudnionej przez niejedność narodowo teren konspiracji na ziemiach przyłączonych do Związku Sowieckiego). Nie wystarczyło też przejść przez granicę węgierską, żeby czuć się całkiem bezpiecznie; trzeba było jeszcze, unikając „kogutów” (węgierskich żandarmów) dotrzeć do polskiej placówki w Budapeszcie – inaczej można

było trafić do obozu dla internowanych. W jednym przypadku zdarzyło się jeszcze gorzej: w obliczu sowieckiego ultimatum Węgry wydali NKWD całą grupę uciekinierów wraz z dwoma przewodnikami (żona komendanta straży granicznej wyblażała u męża, że nie wydano dwojga nieletnich — narzeczonej, obecnie żony Celta i jej brata). Opis tej wyprawy, po wielkich trudach i niebezpieczeństwach tak tragicznie zakończonej, czyta się ze ściśniętym gardłem.

Celt napisał książkę, która nie jest ani powieścią, ani dokumentem. Wszystkie tu opisane wydarzenia rzeczywiście miały miejsce, przedstawieni ludzie istotnie żyli, mieli nazwiska, które nie zawsze poznajemy — raz dlatego, że nawet autor ich nie zna, parę razy dlatego, że nie wie, jakie były dalsze losy tych ludzi, nie wie, czy im nie zaszkodzi, jeśli przeżyli i mieszkają dziś w Polsce, lub co gorsza na terenie Związku Sowieckiego.

„Biali kurierzy” to książka dla bardzo różnych czytelników. Przeczytają ją z zapartym tchem (no, może pomijając wydrukowany zresztą drobnym krojem pisma rozdział o dziejach Drohobycza) amatorzy literatury przygodowej, gustujący w opisach niebezpiecznych przejść przez górską granicę, ukrywania się, strzelanin i pijackich biesiad po szczęśliwym dotarciu do Budapesztu. Przeczytają ją z zainteresowaniem i z pożytkiem amatorzy tematyki wojennej i w ogóle historycznej — „Biali kurierzy” bowiem to książka wypełniająca kolejną „białą plamę” w literaturze dotyczącej dziejów najnowszych. Przeczytają ją także ze łzą w oku czytelnicy i czytelniczki, spragnieni książek patetycznych, odwołujących się do emocji, do takich uczuć jak patriotyzm i szlachetność, poświęcenie i inne harcerskie cnoty. Przeczytają ją z zachwytem ludzie pochodzący z kresów, zwłaszcza ze Lwowa i z Drohobycza — wdzięczni za sporą dawkę „bałaku”. A wreszcie przeczytają ją z satysfakcją odbiorcy o bardziej wyszukany guście literackim — dla nich prawdziwą ucztą będzie zonglerka cytatów z polskiej literatury, od Kochanowskiego przez większych i mniejszych romantyków po Leśmiana, Lieberta i drohobyczanina Wierzyńskiego.

„Biali kurierzy” są także książką dla młodszych twórczości Andrzeja Chciuka. Brał on udział w dwóch wyprawach kurierskich swego brata, dwa razy w kierunku południowym. Za drugim razem dotarł do Budapesztu obolały, z odbitą nerką

i czyrakami na karku. Za pierwszym kurierzy w ogóle nie dotarli do granicy, wygarnięci przez NKWD z pociągu. Uratowali się od łagru lub rozstrzelaniem w dość niezwykły sposób. W areszcie dworcowym w Stryju przyszedł do nich *śledowateł* z osobliwym żądaniem: żeby nauczyli go tanga. I oto przy improwizowanej na harmonijce melodii zwalisty Andrzej Chciuk tańczył w obskurnym dworcowym areszcie tango z enkawudzistą, najpierw po stronie mężczyzny, potem kobiety. Aż wytańczył sobie i kolegom zwolnienie. To pyszna scena, szkoda, że Andrzej Chciuk sam nie zdecydował się opisać bliżej swoich przejść pod okupacją sowiecką. Mielibyśmy wówczas portret podwójny, jak w dwóch pod różnym kątem ustawionych lustrach.

„Biali kurierzy” są książką wspomnieniową o ściśle zakreślonym temacie. Ale dalszy ciąg życia autora był co najmniej równie interesujący. W nagrodę za niebezpieczną pracę kuriera Tadeusz Chciuk został służbowym samochodem wyeksplodowany do Francji. Tam wprawdzie nie przyjęto go do upragnionej i przyobiecanej podchorążówki artylerii, ale marzenie mógł spełnić, gdy wraz z polskim wojskiem znalazł się w Szkocji. Nie zdążył jednak wykorzystać zdobytej wiedzy wojskowej, gdy, gnany wyrzutami sumienia, że prawdziwa walka toczy się w Polsce, został „cichociemnym”.

Oto jak sam to relacjonuje w jednym zdaniu: „Skok ze spadochronem do Polski w 1941 roku, powrót w połowie 1943, skok w 1944 i znów powrót, a w tych latach »po drodze« różne więzienia, obóz koncentracyjny, wiele »zielonych granic«, sutanna węgierskiego księdza, szczęście spotkania z Rodzicami we Lwowie, z Ewąmoją na Węgrzech, tajna radiostacja »Świt«.” Po wojnie Celt poleciał znów do kraju, działał w PSL, był aresztowany. W 1948 r. wraz z żoną i paroma przyjaciółmi uciekł przez zieloną granicę na Zachód. W 1952, jak mówiłam, rozpoczął pracę w monachijskiej rozłośni. O swej działalności cichociemnego Celt pisał w opowiadaniu „Koncert”, drukowanym w „Antologii prozy wojennej” (Paryż 1946) oraz, po angielsku, w książeczce „By parachute to Warsaw” (London 1945). O latach późniejszych bodaj nigdy. Książka „Biali kurierzy” zdążyła się już stać swego rodzaju bestsellerem wśród czytelników polskich, zwłaszcza w Niemczech. Może ten fakt skłoni autora do opracowania dalszego ciągu. ■

Młoda poezja

Wiesław Waruś. Urodzony w 1958 r. w Krościenku n/Dunajem. Absolwent Liceum Ogólnokształcącego w Krakowie. Współzałożyciel Pacyfistycznego Wydawnictwa Kraków (1981), które po ogłoszeniu stanu wojennego przekształciło się w „Bez cenzury”. Działający w podziemiu Wiesław Waruś został schwytany przez milicję w 1982 r. Tego samego roku zwolniony. Od 1986 r. przebywa w RFN. Mieszka w Neuburgu. Debiutował tomikiem wierszy pt. „Ciebie kochając...” w 1981 r. Jego wiersze znalazły się też w wydanej w podziemiu antologii pt. „W drodze” (1986).

szukam wyrazu
nie w pocałach pogodnych
rozsypanych na rozchyłonych ustach
zybkich pragnienia
nie w oczach bezdennych
chwilach cierpienia lub radości.

(...)

szukam wyrazu mocy
co na spacer wychodzi ze mna
pod burzliwym niebem
i wraca nad ranem
szukam wyrazu dnia i
piękniejszego i popularniejszego

szukam umiemia

1981

Epitafium

tu jestem
chodźcie po mnie
przebież się śmiałem z nieszczęść
waszym
tworzy nieskudnych
zaskoczyłem na to
że tu jestem
warto było umrzeć

1981

kamienie jak ludzie bez intuicji
z wielką energią milczenia
jak glazy
ludzie
o niepowtarzalnych nieuchwytnych...
milczące usta milczące serca
glazy z rozwienionymi włosami
z oczami z malachitu
i górskich kryształów
jak gwiazdy w ciemną noc

kamienie jak ludzie
kamienie jak serca
kamienie jak oczy
kamienie z rozwienionymi włosami
przez świat

1986

z imion i kwiatów
z przekleństw
zału i tułactwa
będzie wreszcie mój
dom

(...)

i znów
tam i jak zwykle tam bywa
gdy słowo HISTORIA czymś czerwonym się
plami
rozpakowujemy paczki żywnościowe na święta
z prawdziwymi patriotyzmami
LITWO! OJCZYŹNO MOJA...

nigdy tam nie byłem

1987

fragment wiersza na Boże Narodzenie '87

KRONIKA EMIGRACYJNA

ŚWIETLICA W WUPPERTALU

Powstała przed rokiem, efektem zmuśnych zabiegów polskiej społeczności w tym mieście. Udało się uzyskać na nią dotację od miasta. Do tej pory udzielono tu ponad 600 porad prawnych. Pomagano w sprawach azylowych, przy staraniu się o emigrację, o uzyskanie mieszkania, w sporach nowo przybyłych z miejscowymi urzędami. Do polskiej świetlicy, w której pracuje grupa zapaleńców pod przewodnictwem Piotra Siegranza, trafiali także Białorusini, Ukraińcy, Jugosłowianie. Działa też biblioteka. Ostatnio w wyborach do Rady Cudzoziemców działającej przy Radzie Miejskiej Polakom udało się ze wspólną listą z Włochami i Hiszpanami wprowadzić swojego przedstawiciela — p. Mariana Nowickiego, działacza „Solidarności”. W świetlicy gościli przedstawiciele rządu londyńskiego z ministrem Scholzem, polscy działacze opozycyjni, dziennikarze (m.in. Piotr Wierzbicki), a ostatnio pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego dr Andrzej Sulikowski, który przedstawił sylwetkę pisarki, wieloletniego redaktora naczelnego *Znaku* Hanny Malewskiej.

Fenomen świetlicy w Wuppertalu polega na tym, że istnieje ona, pomimo iż w mieście nie działają żadne organizacje niepodległościowe. Grupa zapaleńców dokonała tego, czego w innych miastach dokonać nie umieją zorganizowane, zarejestrowane stowarzyszenia. (st.b.)

UWAGA BYDGOSZCZANIE!

W dn. 5.10.87 został utworzony w Ottawie Związek Pomocy „Solidarności” — Solidarity Assistance Association, który postawił sobie za cel wspieranie finansowe i moralne opozycji zrzeszonej w szeregach „Solidarności” z Regionu Bydgoskiego.

(...) Pragniemy zjednoczyć wszystkich rozproszonych po świecie emigrantów, którym nieobce są problemy i kłopoty województwa bydgoskiego. Brak informacji z Regionu w prasie polonijnej obliżyje nas do wydawania *Servisu Informacyjnego*, „Solidarności” opracowanego w oparciu o prasę regionalną.

(...) Apelujemy do wszystkich byłych mieszkańców oraz sympatyków województwa o wstępowanie do Związku. (...)

Z upoważnienia Regionalnego Komitetu Koordynacyjnego oraz Związku Pomocy „Solidarności”, Jerzy Kulczycki
Adres: Związek Pomocy „Solidarności”, c/o Polish Combatant Associations (Branch 8), 379 Waverley Street, Ontario, K2P 0W4, Canada.

PROF. KUROWSKI O REFORMIE W PRL

Wschodnioeuropejskie Centrum Kulturalne IGNIS w Kolonii (Elisa-Brandstroem-Strasse) kierowane przez p. Liliannę Andrzejewską zorganizowało w dn. 17.11.87 dyskusję panelową o tzw. II etapie reformy gospodarczej w PRL, podczas

której prof. dr Stefan Kurowski z Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie stwierdził m.in., iż rząd PRL w celu utrzymania się przy władzy posługuje się metodami ekstensywnej polityki gospodarczej pozwalającymi tylko na krótko na „złapanie oddechu” rozpadającemu się systemowi socjalistycznemu. Podobna polityka cechowała reżim Gomułki, który po dojściu do władzy próbował środkami politycznymi (wycofanie się z kolektywizacji oraz częściowe dopuszczenie prywatnej gospodarki) przyhamować kryzys socjalizmu. Wobec katastrofalnej sytuacji gospodarczej w latach 70-tych Gierek „reformował” polski przemysł przy pomocy kredytów zachodnich. Również i obecna ekipa rządowa, podczas rządów której wszystkie działy gospodarki znalazły się w zupełnym upadku, sięga przede wszystkim do środków ekstensywnych (kredyty zagraniczne), bowiem tzw. II etap reformy nie przyniósł żadnych zmian gospodarczych struktur. Obecna ekipa zapowiada restrukturalizację gospodarki odkładając ciągle jednak jej najistotniejsze aspekty w swoim terminarzu na dalsze lata. Głównym „kierunkiem udrzenia” obecnego rządu w sferze ekonomii są działania po stronie popytowej w postaci tzw. polityki cenowo-dochodowej, co nie gwarantuje sukcesu, jako że wyłącznie podwyżkami cen nie można zwiększyć podaży.

Uczestniczący w dyskusji przew. Towarzystwa Solidarności Edward Klimczak stwierdził, w zgodności z oświadczeniami „Solidarności”, że nie wzięłyby udziału w referendum, bowiem rząd w dotychczasowych publikacjach nie odkrył przed społeczeństwem pełnego obrazu upadku polskiej gospodarki oraz dlatego, że przedstawiony projekt reform zawiera podstawowe braki: głównym jest niemożność uczestnictwa społeczeństwa w reformie, jako że nie przewidziano w jej projekcie kontroli poczynił reformatorów przez jakiegokolwiek instancje posiadające rzeczywisty mandat społeczny.

W kilkugodzinnej dyskusji prowadzonej w jęz. niemieckim dało się odczuć, iż w ocenie niektórych niemieckich uczestników proponowana przez Jaruzelskiego reforma gospodarcza uważana jest za „prawdziwie demokratyczną próbę znalezienia nowej drogi dla socjalizmu”.

Prof. dr Juliusz Stroyński z Kolonii wysunął wątpliwości co do „demokratycznego charakteru” reformy, jako że nie została ona zaproponowana przez demokratów lecz jest propagandowym dziełem komunistycznego rządu, który w celu otrzymania kredytów stara się na papierze zadośćuczynić wymaganom Banku Światowego. (stg)

WYSTAWA O DZIECIACH ODKOJKRAJOWCÓW W ZACHODNIM BERLINIE

Wystawa ta nosi bardzo znaczący i wymowny zarazem tytuł „Ich bin kein Berliner” — nie jestem berlińczykiem, i jest parafrazą słynnych słów prezydenta Kennedy'ego, wypowiedzianych podczas wizyty w Berlinie tuż po wzniesieniu muru w 1961 roku — jestem berlińczykiem — dla podkreślenia wiewdów tego miasta z wolnym światem Zachodu. Ekspozycja, poświęcona jest dzieciom uchodźców i emigrantów w Berlinie, także dzieciom polskim od końca XIX w. do dziś. Zebrane dokumenty pokazują historię walki o zachowanie polskości i przeciwstawienie się próbom tzw. asymilacji, czyli germanizacji.

Fakty są znamienne — pouczają i zastanawiają. Już w 1900 r. mieszkało w Berlinie 100 tys. Polaków, emigrantów, przybyszów „za chlebem”, głównie robotników, rzemieślni-

ków i kupców, a w 1908 r. zabroniono na mocy tzw. ustawy imigracyjnej nauczania w jęz. polskim i używania publicznie ojczystej mowy. Jeden z dokumentów to urzędowy zakaz odbycia się koncertu utworów Chopina, inny pokazuje wykaz pieśni polskich objętych indeksem, m.in. takich jak „Warszawianka”, „Boże coś Polskę”, czy „Marsz Strzelców” z 1831 r. W gablotach wystawy „Nie jestem berlińczykiem” oglądamy także polski elementarz-unikat wydany w 1899 r. w Poznaniu, legitymację PKO w Berlinie pod nazwą „Skarbona”, czy polskie pamiątki o charakterze religijnym.

Osobny dział poświęcony jest polskiemu tajnemu nauczaniu w latach hitleryzmu, opiece nad zachowaniem świadomości narodowej na emigracji.

Wystawa „Nie jestem berlińczykiem” zorganizowana została przez Muzeum Pedagogiczne w Berlinie Zach. i jest czynna do 23.12.87. przy ul. Turmstr. 75. (jh)

SŁOWIKI Z POZNANIA WYSTĘPUJĄ W THEATER DES WESTENS

W dn. 18.11.87 w „Theater des Westens” w Berlinie Zach. odbyła się premiera musikali „Oliver Twist” wg powieści Charlesa Dickensa, w której udział wzięło 32 chłopców z chóru popularnych „poznzańskich słowików”.

Aby umożliwić należyte przygotowanie premiery a z drugiej strony nie zakłócić realizacji szkolnego programu, chłopców (10-14 lat) zaproszono do Berlina wraz z nauczycielami. (jh)

11 LISTOPADA W BERLINIE ZACH.

W rocznicę odzyskanie niepodległości Związek Polskich Uchodźców zorganizował spotkanie towarzyskie rodzin polskich powiązane z projekcjami filmowymi występów polskich artystów estradowych i nowych kabaretów w kraju.

Klub Inteligencji Katolickiej, po mszy św. na intencję ojczyzny zorganizował część artystyczną z fragmentami „Pana Tadeusza” w wykonaniu młodzieży, następnie zaproszono uczestników wieczoru na spotkanie z przybyłym specjalnie z Warszawy historykiem i pisarzem Cezarym Chlebowskiem, autorem ośmiu książek o historii i działalności Armii Krajowej. W obszernej i barwnej prelekcji C. Chlebowski zajął się szczególnie jednym z rozdziałów historii AK — operacją „Wachlarz”, mającą na celu dywersję na tyłach armii niemieckiej i przeciwdziałaniu zajęciu w końcowej fazie II wojny światowej ziem polskich przez wojska sowieckie. Operacja „Wachlarz” objęta była w związku z tym w Polsce zakazem jakichkolwiek publikacji. (jh)

PARTIA WOLNYCH DEMOKRATÓW (FDP) CHCE POMÓC POLAKOM W BERLINIE ZACH.

Pod hasłem „Nadzieja dla uchodźców polskich” odbyło się w dn. 15.11.87 w ratuszu Zehlendorf Berlina Zach. spotkanie członków partii Wolnych Demokratów (FDP) z przedstawicielami emigracyjnych organizacji polskich. Podstawą problemowej dyskusji stał się odczyt wykładowcy historii i literatury polskiej na Freie Universität prof. Witolda Końskiego, który scharakteryzował dzieje i rozwój tzw. „mniejszości polskiej” w Berlinie od roku 1871 do chwili, obecnej. Podkreślił on, że obecnie powstała po raz pierwszy szansa pełnoprawnej i wszechstronnej współpracy społeczeństwa niemieckiego z polskimi uchodźcami także na płaszczyźnie kultury i sztuki.

Po roku 1981 przybyło tu bowiem wielu dobrze wykształconych i wykwalifikowanych zawodowo Polaków. Wnioski, które na podstawie zebrania skierowano do senatu są bardzo konkretne i istotne. (jh)

ODCZYT O BERLIŃSKIM OKRESIE STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO

W dn. 15.11.87 prof. Jan Papiór z Uniwersytetu Poznańskiego wygłosił w „Haus der Kirche” Akademii Ewangelickiej odczyt pt. „Stanisław Przybyszewski w Berlinie” z serii „Polskie akcenty w kulturalnym życiu Berlina”.

Stanisław Przybyszewski przybył do Berlina jako 18-letni młodzieniec, stał się nieco później jednym z przywódców tutejszej bohemy artystycznej. Napisał kilka powieści w języku niemieckim, wydawał pismo literackie.

Odczyt, ilustrowany przeźrociami, bogaty w anegdoty spotkał się z żywym zainteresowaniem słuchaczy m.in. naukowców i studentów berlińskiego Freie Universität. (jh)

KONCERTY CHÓRU AKADEMICKIEGO ZE SZCZECINA W BERLINIE ZACH.

W dn. 28-29.11.87 w kościele ewangelickim św. Mateusza w Berlinie Zachodnim wystąpił chór Politechniki Szczecińskiej pod kierownictwem Jana Szroyckiego. Chór, który zdobył dotychczas 15 różnych nagród na różnych konkursach międzynarodowych, po nader udanych występach zaproszony został do nagrania w berlińskiej rozłośni SFB. (jh)

JAN ANDRZEJ GÓRNY ARESZTOWANY!

Podziemny przywódca Regionu Śląsko-Dąbrowskiego NSZZ „Solidarność”, Janek Górny został aresztowany w Gliwicach w dn. 19 listopada. Władze wysuwają wobec niego absurdałne oskarżenia kryminalne.

Wzywamy wszystkich do podjęcia natychmiastowych akcji na rzecz uwolnienia Jana Górnego.

— Występujemy do polityków o pisanie listów protestacyjnych do ambasady PRL, do Kiszczaka i do Jaruzelskiego.
— Występujemy do przywódców związkowych o to samo.

— Piszmy listy do redaktorów gazet.
— Ogłoszmy zbiórkę pieniędzy na jego obronę.
— Roześlijmy komunikaty prasowe do gazet, radia i telewizji potępiając jego uwięzienie.

Nasza akcja w parlamencie brytyjskim przyjęła formę protestu poselskiego. Już w ciągu pierwszych kilku dni postulat podpisało 16 posłów. Akcja mobilizowania dalszych posłów do podpisywania postulału trwa.

Tadeusz Jarski — przew. Solidarity with Solidarity
7 Quintin Avenue,
GB-London SW208LD.

FRAGMENT OŚWIADCZENIA FRANCUSKIEGO BIURA KPN

Rada Polityczna KPN z zadowoleniem wita odbudowę Polskiej Partii Socjalistycznej — w 95-tą rocznicę jej utworzenia. Odrodzenie PPS wzbogaca zasadniczo panoramę życia politycznego w Polsce i zdecydowanie umacnia polityczną opozycję demokratyczną. Widzimy w PPS cennego partnera w walce o niepodległość, prawa człowieka i przywrócenia demokracji i wzajemnej tolerancji. (...)

MEMORANDUM RZĄDU RP

Jak podaje Polska Agencja Telegraficzna z Londynu w dn. 26.10.87 Rząd RP na Uchodźstwie postanowił przesłać na pohelską konferencję przeglądową w Wiedniu memorandum o treści przemyślanych przez oficjalnych polsko-sowieckich historyków tzw. „białych plam”. Jak poinformowano, Rząd ma zamiar wkrótce ogłosić broszurę pt. „O władzach RP na Uchodźstwie”.

PLASTYCZNE POLONIKĄ W BERLINIE

Przypadkowo, niezależnie od siebie odbyły się w listopadzie dwie wystawy młodych polskich artystów o podobnym spojrzeniu na sztukę — Piotra Sobieralskiego Nathana (od 1978 r. w Niemczech, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Hamburgu) i Tomasza Wilmańskiego, mieszkającego w Poznaniu, absolwenta tamtejszej WSSP. Obaj artyści urodzeni w 1956 r. wywodzą się z kręgów uprawiających sztukę nowoczesną w umownym tego słowa znaczeniu, gdzie następuje zatarcie granic między sztuką, muzyką a happeningiem, minimal art, minimal music, post-Fluxus.

Praca Sobieralskiego „Snowflakes” (Płatki śniegu) to wystrojona galeria-sklepiku „Gelbe Musik” (Schaperstr. 11) zajmującego się sprzedażą płyt z muzyką eksperymentalną i nowoczesną. Na dwóch ścianach artysta zaprezentował 528 wyciętych „laubzegą” postaci?, figur?, „płatków” z płyt długogrających.

Wilmański przedstawił w alternatywnym domu kultury „El Locco” (Kreuzbergstr. 43) kompozycję „The flesh became the word” (A słowo stało się ciałem), na którą złożyło się kilka płacht-przeźroczystej folii z namalowanymi srebrną farbą postaciami, motywami zwierzęcymi i roślinnymi.



Figury obu artystów symbolizujących ruch, taniec, walkę, miłość rozmieszczone były symetrycznie i równomiernie na jednorodnych białych płaszczyznach, wywołując ciekawe efekty optyczne i plastyczne. Oglądając jednak różne wystawy młodych „awangardowych” artystów nie można się oprzeć wrażeniu, że awangarda zatoczyła koło i wróciła do swego punktu wyjścia, początków dadaizmu, kabaretu Voltaire z 1916 r. (r)

ADAM MAKOWICZ W BERLINIE

W ramach berlińskiego festiwalu jazzowego „Jazz-fest '87” w dn. 11.11. wystąpił urodzony w Czechosłowacji, wychowany w Polsce, obywatel amerykański, pianista Adam Makowicz.

Makowicz grający jazz już w końcu lat 50-tych, założyciel i członek kilku najlepszych polskich zespołów jazzowych, w roku 1977 wyjechał z Polski do USA, gdzie zdobył pozycję jednego z najbardziej znanych i cenionych pianistów jazzowych. Muzyk ten grał różne gatunki jazzu, od tradycyj-



Adam Makowicz

nego po „pop-rock-jazz”, od dłuższego już jednak czasu konsekwentnie gra standardy z lat 30 i 40-tych oraz kompozycje własne. Występuje w małych zespołach, tercetach lub kwartetach, zdarzało mu się grać z dużymi orkiestrami, często występuje w duetach fortepianowych, najchętniej jednak koncertuje solo, i tak też wystąpił w berlińskim Muzeum Instrumentów Muzycznych.

Artysta wirtuozersko zagrał z właściwym sobie wielkim wyczuciem swingu i humorem kilka standardów jak i kompozycji własnych. Grę charakteryzowało nieprawdopodobne tempo, precyzyjna technika i wspaniała improwizacja. Adam Makowicz porównywany jest przez krytyków do niezujących już wirtuozów fortepianu — Arta Tatum'a i Errola Garnera, ale są i tacy, którzy uważają go za najwybitniejszego żyjącego pianistę jazzowego.

W muzyce tej pobrzmiewał chopinowski romantyzm i gdyby Chopin grał jazz, zapewne musiałby to robić tak jak Makowicz. (r)

POLSKO-NIEMIECKO-JAPOŃSKI FREE-JAZZ

W dn. 29.11.87 w znajdującym się w podziemiach stacji berlińskiego metra „Schlesisches Tor”, w klubie „Kato” odbył się koncert jazzowy, w którym wystąpił m.in. polski flecista Krzysztof Zgraja w duecie z niemieckim pianistą Berndtem



Krzysztof Zgraja

Köppen. Podczas koncertu dołączyli do nich spontanicznie niemiecki kontrabasista Wolfgang Gütler i bardzo dobrze grający japoński skrzypek Jason Hwang.

Muzyka zaprezentowana przez duet, a raczej kwartet, to free-jazz polegający na nieskrępowanym wykorzystaniu możliwości dźwiękowych instrumentów. Muzycy grali z wyjątkową ekspresją, fascynując słuchaczy swoimi pomysłami harmonicznymi i barwą dźwięków.

Zadziwiający było to, że koncert będącego dziś jakby w odwrocie free-jazzu zgromadził nieoczekiwanie liczną publiczność, która zapełniła ten mały klub o wyjątkowo dobrej akustyce. (r)

„MASKI” DZIDKA STARCZYNOWSKIEGO

Czteroczęściowy program (Party, Zwierciadło, Rzeźbiarz, Maski) pantomimiczny zaprezentuje w ostatnie dwa tygodnie stycznia 1988, od czwartku do niedzieli w „Etagie” na Kreuzbergu były członek sławnego zespołu Henryka Tomaszewskiego z Wrocławia — Dzik Starczyński.

Szerokie spectrum pantomimicznej siły wyrazu Dzik jest fascynujące. Ciało staje się środkiem wyrazu najintymniejszych wymiarów ludzkiego życia i cierpienia, a synteza klasycznej pantomimy prowadzi do powstania abstrakcyjnego, metafizycznego teatru ruchu, wciąż zaskakująco przekonującego, który nie tylko z racji braku słów przełamuje bariery językowe i daje świadectwo kosmopolityzmowi teatru. Paradozem tradycji wrocławskiej pantomimy, którą reprezentuje Dzik jest jej „gadatliwość”, co w odniesieniu do tej dziedziny sztuki trzeba uznać za najwyższej miary osiągnięcie. Dzik występuje ze swymi uczennicami — Idą Lükens-Klassen i Gudulą von Steht prezentując obok skeczu, jak w przypadku „Party”, całe bogactwo abstrakcyjnych idei — walkę jednostki o samoidentyfikację, przeciwstawienie „zbiorowemu” „indywidualnego” („Zwierciadło”), czy opowieść o powstaniu dzieła sztuki („Rzeźbiarz”). „Maski” natomiast stanowią syntezę, wszelkich możliwości i środków, jakimi może operować teatr ruchu.

MASKI. 21-24, 28.31.01.1988, godz. 20.30. Die Etagé, Hasenheide 54. (ute)



Dzik Starczyński

Czytelników zminiaturyzowanych wydań »Poglądu« przepraszamy za złą jakość reprodukowanych zdjęć. Utrzymanie jakości zbliżonej do normalnego wydania naszego dwutygodnika wymagałoby dużych nakładów finansowych, na które pozwolili sobie nie możemy.

Redakcja

„Pogląd” ukazuje się od stycznia 1982 (do października 1982 roku, jako „Biuletyn Informacyjny” Komitetu Obrony Solidarność) i jest niezależną publikacją Towarzystwa Solidarność e.V. — zrzeszenia zarejestrowanego w Berlinie Zachodnim, mającego na celu obronę prawa do zakładania niezależnych związków zawodowych oraz obrony praw człowieka w Europie Wschodniej.

Fragmenty § 2 Statutu Towarzystwa

Zrzeszenie jest ponadpartijne i realizuje w swej działalności wyłącznie cele użyteczności publicznej, jakimi są:

1. Popieranie niesienia pomocy dla osób prześladowanych z przyczyn politycznych, rasowych i religijnych, dla uchodźców i wysiedleńców, przede wszystkim z krajów Bloku Wschodniego, a w szczególności z Polski.
2. Propagowanie tolerancji w dziedzinie kultury oraz rozpowszechnianie idei porozumienia między narodami w celu pokojowego ich współistnienia. (...)
3. Propagowanie zbliżenia kulturowego, pomiędzy narodami, a w szczególności między Polakami i Niemcami. (...)
4. Popieranie ruchów demokratycznych w państwach totalitarnych, przede wszystkim w Polsce i w krajach Bloku Wschodniego. (...)
5. Zrzeszenie realizuje swoje cele poprzez upowszechnianie i popularyzowanie idei demokratycznych i kultury politycznej. W tym celu:
6. Zrzeszenie rozprowadza swoje czasopismo „Pogląd”/„Meinung” w kraju i za granicą. Zadaniem czasopisma jest informowanie o tendencjach rozwojowych w Polsce i w państwach totalitarnych, przede wszystkim w tych, które należą do Bloku Wschodniego, jak również ma na celu stworzenie forum dla prześladowanych, wysiedleńców oraz uchodźców z tych krajów. (...)
7. Zrzeszenie ma zamiar dokonywać analiz sytuacji w krajach totalitarnych, poprzez organizowanie sympozjów i wykładów oraz publikowanie ich rezultatów w celu informowania opinii publicznej. (...)

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto:

„Gesellschaft Solidarność” e.V.
„Pogląd”
Sparkasse der Stadt Berlin West
Konto Nr. 122 001 238 2
BLZ 100 500 00
lub

Postscheckkonto
586 90 - 102
BLZ 100 100 10
Postscheckamt
1000 Berlin (West)
dopisek: POGŁĄD

PRENUMERATA

RFN:
półroczna DM 40,-
roczna DM 75,-

Europa i kraje zamorskie
(poczta zwykła):
półroczna DM 45,-
roczna DM 80,-

Kraje zamorskie
(poczta lotnicza):
półroczna DM 55,-
roczna DM 100,-

Australia:
półroczna DM 65,-
roczna DM 120,-

Czytelników w Szwecji prosimy o dokonywanie wpłat na prenumeratę na konto:

Tadeusz Karoliak
Postgiro, Nr. 465 0809-9
dopisek: POGŁĄD

OFFSETDRUCKEREI
Hans-Jürgen Wichmann
Askaniering 155-156
1000 Berlin 20

CENA DM 6,-

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenie wyłącznie za pisemną zgodą redakcji. Zastrzeżenie się prawo skracania nadesłanych materiałów. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Materiały podpisane nawet nazwiskiem niekoniecznie oddają stanowisko redakcji. Odpowiedzialność prasową za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

IMPRESSUM

Verleger — Wydawnictwo
Gesellschaft Solidarność e. V.
Geblerstr. 10, D—1000 Berlin 62
Redaktor odpowiedzialny
Edward Klimczak

Adres redakcji
Postfach 82 02 24
D — 1000 Berlin 62
tel. 030/782 93 84

Stali współpracownicy

Ewa Darmas — PARYŻ, Paweł Gajowniczek — OSŁO, Wiktor Grotowicz — MONACHIUM, Jerzy Hoffmann — BERLIN ZACH., Krzysztof Kasprzyk — TORONTO, Maciej Rybiński — BONN, Roman Śmigieński — KOPENHAGA, Krzysztof Wądrodzki — FRANKFURT/M., Leszek Wyrwa — POLSKA, Andrzej Zwaniecki — WASHINGTON

Przedstawiciele, korespondenci i kolporterzy

AUSTRALIA — Andrzej Lewandowski, 905/32 Dumond Street, Bentley 6102, Tel. 09/3505094;

AUSTRIA — „Polskie Wiadomości”, A. Jaślikowski, Kolbengasse 35/15, 1030 Wien; Księgarnia Polska, Zofia Reinbacher, Burggasse 22, 1070 Wien;

DANIA — Roman Śmigieński, Worsaaesvej 7, 4tv, 1972 Frederiksberg C, Tel. 01/393330;

FRANCJA — Krystyna Szewczuk, 143, rue Etienne Poulot, 69400 Ville-franche s/S, Tel. 74/620945;

KANADA — Krzysztof Kasprzyk, 46 Fuller Ave., Toronto, Ontario M6R 2C3; Marek Przykowski, 4760 Cote des Neiges, Montreal P.Q. H3V 1G3, Tel. 514/7355974;

NORWEGIA — Paweł Gajowniczek, Linderberggassen 28c, 1068 Oslo — 10

RFN — Lucja Abramowicz, Schniederbergstr. 135, 4532 Mettingen, Tel. 05452/3878; Stanisław Brodnicki, Zum Luftschacht 17, 4600 Dortmund 15, Tel. 0231/374673; Zbigniew Długolecki, Grüne Str. 11, 6000 Frankfurt/M. 1, Tel. 089/436260;

Jerzy Jankowski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 München 83, Tel. 089/6371213; Lech Jarmuła, Postfach 801203, 2000 Hamburg 60; Jan Kustusz, Ahornstr. 39, 5760 Arnsberg 1, Tel. 02932/22798; Tadeusz Leń, Wienerstr. 307a, 7000 Stuttgart 30, Tel. 0711/8567415; Krzysztof Piecko, Neumarkt 1, 4722 Ennigerloh 2, Tel. 02587/1216; Grupa Robocza Solidarność-Eschweiler-Aachen, Z. J. Pilsarscy, 5190 Stolberg, im Hirschfeld 19, Tel. 02402/84348;

Marek Poliwski, Luxemburger Str. 124, 5000 Köln 41, Tel. 0221/413734; Dariusz Ścibor, Neumarkt 1, 4722 Ennigerloh 2; Waldemar Tymoszuik, Alster Arkaden 10, 2000 Hamburg 36;

SZWECJA — Tadeusz Karoliak, Box 83, 13525 Tyreso, Tel. 08/7421457;

USA — Piotr Calka, 4855 W 19th, Alsip 60658 Ill., Tel. 312/5972096; Mirosław Marecki, P.O. Box 2202, Holland, MI 49422, Tel. 616/3616648; Tamara Sochacka, 5025 Cariff Detroit, MI 48212, Tel. 313/8715377; Andrzej Wiśniewski, P.O. Box 1785, Benihany, OK 73008;

WIELKA BRYTANIA — Solidarity with Solidarity, 7 Quintin Ave., London SW20 8LD, Tel. 01/6734456;

Postvertriebsstück: A 9878 D
Gebühr bezahlt
Pogład, Postfach 620224,
1000 Berlin 62

SOLIDARNOŚĆ POLSKIE
BIAŁYSTOK
2 x TAK NA SOLIDARNOŚĆ

PPS WZYMA W SZYBKICH
DEKRETOCH
3 x TAK

SKUTKOWY PARLAMENT - GADULSTWO I ZAMET !

zdjęcie u dołu:
3 x tak — 30 czerwca 1946

zdjęcie u góry:
2 x tak — 29 listopada 1987

3 x TAK
TO POLSKA
KONSTYTUCJA
SUGATA
SPRAWIEDLIWA
SOBERENNA

TAK
TAK
TAK

Barbara Labuda

Podwyżki - i co potem?

Jaka są nastroje społeczne w przeddzień II etapu reformy? Dominuje lek przed kolejną generacją podwyżek... Jaką będzie wysokość rekompensat? Jakże dotkliwie będą gromiło zapowiadane zmiany polityczne?...

Nie chcą, bo się boją reakcji społeczeństwa i nawiązki dziłać przez zakazanie. Nie potrafią, bo ta rozdarcie obywateli i podobno planowe władze... Czyli nie chcą... Potwierdza to pytanie o modyfikacje czynnika i pytanie referend.

Amstuszt udzielając jasnej i świeżej informacji o zamierzonym, rząd ocenił ją do manipulowania psychiką społeczeństwa. Służy temu zastosowana już kilkakrotnie technika suspense, jakby zamieszanie toczące się akcji, wstrzymaniu oddechu... Nie dowiaza rzecz, ale w powiadach kryminalnych...

Drugim elementem tej taktyki jest wysyłanie w stronę społeczeństwa sygnałów alarmowych, czy raczej działających alarmując. Tak należy chyba rozniecić komunistki z 14 XI z posiedzenia KOK-u.

gdzie radzono nad stanem bezpieczeństwa kraju. KOK jest, jak wiadomo, organem o specjalnych kompetencjach, wojskowym i tajnym. Jest pożytecznym organem nazwane władzy. Do czego zmierzają, wobec czy przeciw społeczeństwu - pozostaje w sferze najczarniejszych domysłów. Sytuacja w kraju jest zatem niejasna i groźna. Jak może się rozwinąć?

Wariant I. Ludzie stanią w opór, władze wycofają się z podwyżek. Jest to wariant mało prawdopodobny, ponieważ działa eksportacyjny przymus. Władza, jak mówią Fedorowicz, "nie musi". Ruine kraju się powiększa, na kredyt żyć się nie da, trzeba go spłacić.

Wariant II. Podwyżki jeżeli wytrzymamy, bo dzięki reformie cofnię się gospodarczy paraliż, władze będą pracować jak sami zaplanują, a przede wszystkim dla siebie i zacząć wyrzucić łatwiej, więcej, a potem taniej. Hierarchii, ten wariant jest równie mało prawdopodobny. Przemała przeciw niemu doświadczenie. Katastrofa gospodarstwa na przytoczone polityczną. Aby gospodarczy paraliż ustąpił, komunistki musieliby podzielić się, choć trochę, swą władzę z poddanyimi. A to jest nie w interesem w przetrwanie i ich osobistym interesem - z czego będą żyli? Ich wyzwalaniem nigdy nie zdobyl się na to, by wziąć polityczną odpowiedzialność za swe błędy; i wreszcie z wyznawania przez nich filozofii - władze zdobywa się siłą, siłą sprężynę, siłą utrzymuje. Potrafił ustąpić tylko przed siłą, niekoniecznie militarna.

Wariant III. Podwyżki zostaje wprowadzona siłą - jak pierwsza - pod osłoną II etapu stanu wojennego czy czegoś w tym rodzaju. Ten wariant jest zgodny z naczymi doświadczeniami. Jak z interesem, zwyciężem i wyznawczą przez komunistów filozofii władzy.

Wariant IV. Lawrowanie między przemocą, a ustępowaniem, takie "ni to ni owo". Tu otwiera, tam zamknięcie, gdzieś popuszcza, gdzieś przywraca. Sprawał się to do "dalszej, postępującej" anarchizacji prawa i dyscia społecznego w kraju.

Może istnieje jakiś piąty wariant. Wymyśli się szczerzy od wszystkich, ale zwłaszcza, tak na wszelki wypadek, do tego trzeciego. Wrocław, 16 XI 1987

■ Komitet Organizacyjny „S” w Ursusie ogłosił 17 XI propozycje programu, który związek miałby realizować po rejestracji. Zawiera on 21 postulatów dotyczących poszczególnych wydziałów, 10 ogólnozakładowych i 4 ponadzakładowe: reforma systemu odzyskowała za wypadki w pracy, ograniczenie podwyżek cen i zwiększenie rekompensat, wzrost płac w służbie zdrowia i oświacie, przywrócenie pluralizmu związkowego („Dokumenty i Informacje” nr 11).

■ Wniosek o rejestrację NSZZ „S” pracowników Zakładów Rodu Górniczych w Łęcznej wpłynął 17 XI do sądu w Lublinie („DI” nr 11).

■ Polska Partia Socjalistyczna kontynuowała 22 XI swój zjazd założycielski, już ówczornię przerywany przez SB. Janusz Jędrzejko wybrano przewodniczącym Rady Naczelnej, Józefa Piłsudki i prof. Władysława Kunickiego-Goldfingera - wiceprzewodniczącymi, zaś Andrzeja Maloniewskiego sekretarzem RII. W liście do PPS na Obczyźnie Zjazd powitał z radością zjednoczenie i rozbiłte dźiad partii na Zachodzie. W innej uchwałie referendę nazwaną narodziła, jednak PPS „z rezerwą” przed realizacją tych samowolnych deklaracji, które zmierzają do demokratyzacji życia.

■ Studenci Uniwersytetu, Politechniki i Akademii Medycznej w Gdańsku wystąpili 5 XI o rejestrację Stowarzyszenia Akademickiego „Verbium”, które będzie działało w oparciu o świątobłogą katedrę „PWA” nr 40.

■ Trwa listopadowa akcja jawnego rozdzawania prasy związkowej i zakładowej. W Warszawie 16-18 XI przed „Kaszparkiem i Hutą” w i zmianie „nowocy” rozdawali „Robotnika” i „Radłowie”. MO zatrzymało na 48 godzin członów CKW PPS Grzegorz i Ilke i Cezarego Miękiewkiego. We Wrocławiu 19 i 20 XI również członkowie PPS kolportowali „Iskierkę” i „Jednością Silni” („DI” nr 11, inf. w.).

■ Grupy Oporu „Solidarni” przeprowadziły w ubiegły tygodniu w Ursusie i wielu innych ulotkowych przed referendum. MO zjawiała się natychmiast na miejscu i próbowała zbierać ulotki, w czym przeszkadzał jednak wiatr i przechodnie. Największym zwycięstwem cieszyły się tarty rysunkowe z komentarzami. „Solidarni” nie odpowiadała na گلچynie pytania („Ile etap”, to faktycznie kieszonki).

■ Rolnikom z Fajslawic, odbierającym w Banku Spółdzielczym wypłaty za sprzedanie państwa plody rolne, potracą się zaległe składki na ZUS. Przypomnijmy, że odmówili ich płacenia wnosną go bezpodstawnym podwyższeniem stawek ubezpieczeniowych. Skargi przeciw tej podwyżce rolnicy z Fajslawic wysłali indywidualnie do zespołu poselskiego ZSL żądając, by ten wystąpił do Trybunału Konstytucyjnego („Fajslawice”, informator Rolników nr 2).

■ Wojewoda gorzowski zwrócił się do PAM o zbadanie możliwości, najbardziej racjonalnego wykorzystania międzyzwiązkowego rejonu umocnionego. Uważa się to za pierwsze ustępstwo wobec społecznych protestów przeciwko planowi składowania tam odpadów radiaktywnych, istnieje już bowiem ekspertyza stwierdzająca, że rejon nadaje się na takie składowanie.

■ Łódzki Zespół Oświaty Niezależnej wspólnie z

--- Ciąg dalszy na stronie 3 ---

Rozmowa z Zbigniewem Bujakiem

--- Ciąg dalszy ze strony 1 ---

Z.B.: Wziątko, o czym mówiliśmy, to nie są pomysły polityczne. Czy mogą taki pomysł?

Z.B.: Teraz trzeba przedyskutować. Nawet najlepsze inicjatywy „Solidarności” będą przez generała odrzucane. Sądzę, że II etap zostanie szybko zwręfkowany. Już pod koniec przyszłego roku będą dane, czy tożnie eksport, czy przedsiębiorstwa parlistwo są samofinansujące itp. To już nie będą ogólniki, ale - jak powiedział Ilkowiński - władza albo za egzamin, albo nie. W tym momencie propozycje i programy „S” mają nabrac znaczenia. Będzie wtedy można zaproponować np. pakiet socjalny i pakiet polityczny dla dłażcowania reformy gospodarczej i politycznej kraju. Inne reformy np. wyobch społeczny i wprowadzenie stanu wyjątkowego. Ale najmniej prawdopodobny - że II etap się uda.

Z.B.: Długoce uważasz, że reforma się nie powiodzie?

Z.B.: Same akty prawne są połowiczne, zmiany personalne idą w kierunku faktycznego utrzymania dotychczasowego centralistycznego systemu. W zakładach trzeba by natychmiast zrehabilitować cale kierownictwo. Dyrekcja „Ursusa” zamówiła projekt reorganizacji zarządzania, który kazala zaraz schować do szuflady: projekt zakłada zmniejszenie 70% kadry kierowniczej jako niepotrzebnej. Oczywiście, żaden II etap ich do tego nie zmusi.

Red.: Jak widziałe rolę i zadania KKW?

Z.B.: Powołanie jednego kierownictwa jest istotne dla wewnętrznego funkcjonowania „S”. KKW musi w sytuacjach ważnych jasno odpowiadać, jak ma się zachować Związek. Długo uważam, że oświadczenie o referendum było dobre, bo to właśnie mówi. Moje i było ono nieaktualne wobec władz; czy polityków zachodnich, ale nie wobec ludzi. Tutaj nie wolno było pozostawić żadnych wątpliwości ani czekać z odpowiedzią.

Następnie, co nas czeka, to wykazywanie zagrożeń, jakie niesie II etap. Jeśli przedsiębiorstwa będą się tym niecierpliwi, powstaną wiele niejednoznacznych sytuacji. Dobrze byłoby KKW potrafiła odpowiedzieć, gdzie, jak się wobec nich zachowywać. Jestem np. za tym, aby nie przeciwstawiać się upadłemu przedsiębiorstwu nierentownym. „Solidarność” powinna jednak wyprzedzić fakty i sformułować program socjalnego zabezpieczenia pracowników, przekwalifikowania, a nawet zmiany miejsca zamieszkania. Uważam, że bez takiego udzielenia programu, uwzględniającego sytuację każdego pojedynczego pracownika, nie wolno się na rozwiązanie zakładu godzić. Chcemy też zwracać uwagę na sytuację socjalną pracowników różnych branż, aby wiedziano np. w fabrykach o tragicznej sytuacji w służbie zdrowia i oświacie. Solidarność międzybranżowa była i winna pozostać fundamentem naszego Związku.

Red.: Jesteś może widoczną jako przewodniczący rejonu. Rządsko się wypowiedział.

Z.B.: Jeśli coś chce zapropionować w regionie, to najpierw muszę pokazać, co się da zrobić w zakładach. Stąd sporo czasu poświęcam na Ursus - żeby tam wejść z programo pomysłami, co rozkieruję od tego się odbijać. Ja mogę uczestniczyć jeszcze w dziesiątku mszach, w dziesiątku spotkaniach więcej, tylko z tego nie będzie wynikało działanie. Nie chcę być tym Bujakiem, który przyszedł, pogadał i okazuje się, że nie ma nic do powiedzenia. A takie stają się moje spotkania na początku tego roku.

W tej chwili jak Związek żadnej regionalnej czy krajowej akcji, która by, powiedziałem, zmusiła do zmiany ustawodawstwa II etapu, nie jesteśmy w stanie przeprowadzić. Możemy wychodzić z naszymi propozycjami doradcami. Możemy do naszych pomysłów związanych z reformą przekonywać różnych dyplomatów, i to robimy.

W jaki sposób „S” miałoby odzyskać siłę na wymuszenie konkretnych zmian? Jedynym przykładem są samorządy. Kiedy próbowano wprowadzić pakiet ustaw cofających reformę, właśnie samorządy, które mogły się spotkać razem i wypowiedzieć, potrafiły to załobkować. Gdybyśmy chcieli w jakiegokolwiek innej sprawie zrobić tego typu nakład, to w tej chwili nie mamy dość siły. Możę tak siłą stanę się konfliktowo załobczyckie „S”.

rozmałwił P. Hofer

